

Czasem pragnienia stają się obsesją.
A cuda naprawdę się zdarzają.

Alina Krzywiec

Tu
jeszcze
nie
raj.

Prószyński i S-ka

Alina Krzywiec

Tu
jeszcze
nie
raj

Prószyński i S-ka

Ilonce, która wprowadziła do mojego słownika nową definicję słowa *zmiana*^{*}.

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest niezamierzone i przypadkowe.

^{*} Zmiana – coś dobrego, co dopiero się zdarzy.

ROZDZIAŁ 1

Sofa okazała się wygodniejsza przed rozłożeniem, zanim cienki materac przykrył podłogę. Eryka zmęczona przedłużającym się oczekiwaniem czuła, że wszystkie mięśnie ma napięte, ciążyły jej półprzymknięte powieki, którym nie pozwalała opaść, przeszkadzały wysuszone usta. Poduszka była zbyt twarda, by ukryć w niej twarz, otuloną przez rozpuszczone rudawe włosy. Drzwi do pokoju chłopców zostawiła otwarte. To prawdopodobnie nie najlepszy pomysł, żeby bawić się w piratów tuż przed zaśnięciem. Eryce wydawało się, że słyszy pomrukiwania i westchnienia, jakby dzieci wciąż przeżywały przygody na dalekich morzach. Ich nerwowe oddechy były jednak znacznie przyjemniejsze dla ucha niż syczenie, które nie ustawało ani na chwilę. Jak na złość Bajtakowie oddali jej do dyspozycji salon z ogromnym terrarium pod ścianą. Eryka zastanawiała się, czy nie przykryć go jakimś kocem, ale górę wzięło obrzydzenie do wielkiego węża przyklejonego do ścianki. Gospodarze uprzedzili ją, że pytony królewskie żerują nocą. Ten zza szyby (czy na pewno dość grubej?) wił się w poszukiwaniu zdobyczy. Cierpliwie czekał. Eryka, jedyny żywy obiekt w zasięgu jego wzroku, zrozumiała, że najlepszym wyjściem jest ucieczka. Albo to monstrum siłą naporu prawie dwumetrowego cielska skruszy terrarium, albo wcześniej wykończy ją sama myśl, że mogłoby do tego dojść. Starając się powstrzymać od gwałtownych gestów, jak najciszej złożyła zacinającą się sofę, przykryła ją pledem w łowicki wzór i przemknęła do dziecięcego pokoju.

Za zamkniętymi drzwiami, w całkowitej ciemności poczuła się bezpiecznie. Dochodziła północ, Międzynarodowy Dzień Świętości Życia dobiegał końca. Rodzice chłopców i Tomasz powinni zaraz wrócić z kościoła. Ile może trwać projekcja filmu, nawet połączona z dyskusją?! To prawda, że ich wspólnota miała skłonności do długich nasiadówek, podczas których o Bogu rozmawiano najmniej, dużo czasu poświęcając sobie nawzajem, kłopotom z dziećmi, z życiem, z pracą. Ot, zwykłe sprawy, przyjacielskie pogaduchy, które od innych różniło to, że kiedy w spokoju przyjdzie odmówić wieczorną modlitwę, uwzględni się w niej potrzeby braci i sióstr. Tym razem spotkanie było otwarte dla publiczności, do tego przewidziano dyskusję po filmie. Nie bez powodu zatem gospodarze tłumaczyli jej, jak ma rozkładać zdezelowaną wersalkę, aby uniknęła spędzenia całego wieczoru na siedząco.

Mogłaby zadekować się nawet w szafie, byleby z dala od paskudnego gada. Że też od razu nie wpadła na to, żeby zostać w pokoju chłopców. Młodszy syn Bajtaków, Pawełek, śpiący na dole piętrowego łóżka, podskoczył niespodziewanie i wykrzywił twarz, mamrocząc coraz głośniej.

– Ciii, wszystko dobrze – szepnęła Eryka, kładąc mu rękę na czole. Kiedy chwycił ją kurczowo, delikatnie wsunęła się na tapczan, aby go nie zbudzić.

– Ciociu – wyszeptał Piotrek z góry. – On robi siku do łóżka.

– To nic – uspokoiła go Eryka, starając się nie okazać zdziwienia. Jako pedagog wiedziała, że zdarza się to jeszcze chłopcom w tym wieku, ale nie podejrzewała, by dotyczyło akurat Pawełka. Nie pisnął ani słówka, ale który sześciolatek przyznałby się do tego typu dolegliwości? – Śpij już, Piotrze.

– Chodź na górę zobaczyć moje naklejki z piłkarzami – odezwał się po chwili niepokojąco dorosłym tonem.

Eryka zignorowała dwuznaczną propozycję trzynastolatka. On sam też zamilkł, pukał tylko przez chwilę nerwowo w stelaż łóżka.

Bajtakom dzieci rodziły się w odstępach siedmioletnich. Pierworodna Weronika miała dwadzieścia lat i po ukończeniu technikum gastronomicznego przeniosła się do babci. Eryka pomogła jej nawet w przeprowadzce, ale od tego czasu jej rodzice w ogóle o niej nie wspominali, jakby znikając im z oczu, zniknęła też z serca. Młodszy od niej o siedem lat Piotrek wchodził właśnie w okres dojrzewania, co napawało lękiem szczególnie Elżbietę, jego matkę, a Erykę raczej bawiło. Z takimi jak on miała do czynienia na dyżurach w szkole. Pierwsze wagary, pierwsze miłości, pierwsze papierosy na szkolnym boisku, pierwsze skręty w kiblu, pierwsze błędy i pierwsze pretensje do życia, że przynosi co innego, niż się zamawiało. Zresztą i Piotrka czasem wysyłali do niej nauczyciele, ale zawsze umiał ją podejść – „ciociu to” lub „ciociu tamto” – i nie informowała rodziców. Eryka niejednokrotnie czuła coś w rodzaju satysfakcji, że młody ma dość charakteru, by sprzeciwić się absurdom szkolnego systemu. Trzeci z rodzeństwa starał się naśladować brata, ale bez powodzenia. Odkąd zdał sobie sprawę ze swojego położenia, postawił na skuteczną strategię – donosicielstwo. Sprytem zyskał uznanie rodziców i względne poważanie brata. Gdyby Bajtakowie mieli dalej realizować system siódemkowy, kolejny potomek powinien być w drodze, choć Elżbieta właśnie przekroczyła czterdziestkę.

Ta refleksja towarzyszyła Eryce nawet po przebudzeniu, gdy mężowska ręka dotknęła jej ramienia. Nie do końca świadoma, kiedy usnęła i gdzie się znajduje, obrzuciła zwróconą profilem Elżbietę przelotnym spojrzeniem, zauważając zazdrośnie, że od kiedy pamięta, jej brzuch zawsze wyglądał na brzemienny, podczas gdy brzuch Eryki pozostawał wklęsły jak wysuszone koryto rzeki.

Tomasz pocałował żonę w policzek i ostrożnie uwolnił ją z objęć Pawełka. Pokój stołowy, rozjaśniony światłem żyrandola, nie wydawał się już tak posępny, szczególnie gdy wypełniły go ich głosy. Nagle z cienia wyłoniły się znajome elementy – obraz Maryi z oszpeconą bliznami twarzą. Matka Boska Królowa Polski była nieprzystępna i przerażająca. Wzrok Eryki powędrował na krucyfiks nad drzwiami, wypchaną przepiórkę, ogromny fotel z podnóżkiem i powieszony nad nim portret ślubny małżonków, prawie do siebie niepodobnych, choć dopuszczała myśl, że dwadzieścia lat temu mogli być promienni i zakochani. Nawet sofa sprawiała wrażenie wygodniejszej, gdy Eryka sapiąc, osunęła się na jej oparcie.

– Wymęczyli cię? – spytała Elżbieta z troską.

– Już ja sobie z Pawłem porozmawiam. Mazgaj. Kto to widział, żebyś musiała z nim spać. Dobrze, że jeszcze Piotrek na dół wam się nie wpakował – wtrącił gospodarz, nie dając Eryce dojść do słowa.

– To nie tak. Po prostu w salonie nie mogłam...

– Ale tak z młodym w łóżku! – zażartował rubasznie Bajtak. – Znasz ten dowcip, czym się różni pedofil od pedagoga?

Zaśmiał się, jakby przewidział, że zapadnie krępująca cisza. Po chwili wrócił z kuchni z paterą z ciastem.

– No, wiecie już? Czym się różni pedofil od pedagoga? – powtórzył wolniej, jakby miała się kryć w tym jakaś podpowiedź. – Bo ten pierwszy naprawdę kocha dzieci. Częstujcie się. Elżbieta tylko piecze i je. No... i potem wiadomo co. I w koło Macieju i od nowa...

Bajtakowa mimo późnej pory jakby na rozkaz wepchnęła do ust kawał sernika, Eryka również.

– Bardzo smaczny. – Pospiesznym komplementem próbowała przywrócić atmosferę, ale gospodarz nie ustawał w złośliwościach.

– Bałaś się długiego, co? – Wojciech wskazał na terrarium. – Przyznaj no się. Powiem ci, że każdy złodziej na jego widok od razu by zwiął gdzie pieprz rośnie. Taki potwór potrafi wessać człowieka. O tak. – Bajtak zademonstrował serię szybkich i głębokich wdechów. – I po kłopotcie. Wszyscy w bloku o tym wiedzą, mogą drzwi na noc nie zamykać.

– Nie gadaj! – Tomasz nie krył podziwu.

Eryka spojrzała na męża zdezorientowana. A więc jednak mu powiedział? Wydał ją. Ośmieszył, bo to przecież zabawne, żeby trzydziestolatka, która kawał świata zwiedziła, bała się pytona królewskiego. Podobno oswojonego. Do tego za grubą szybą. Ale Tomasz podniósł brwi, wysyłając sygnał, że dotrzymał umowy i nie pisał ani słówka.

– On tylko tak dziwnie syczy, szczególnie w nocy – wtrąciła Elżbieta.

– A jak spotkanie? – spytała Eryka, by zmienić krępujący ją temat rozmowy.

– Mam dla ciebie prezent. Powiedzmy uczciwie, gdybyś nie została z dziećmi, nie moglibyśmy pójść. Ludzie się zeszli chyba z całej Warszawy, ale dobrze. W takie święto! – Wojciech poderwał się z miejsca i podał Eryce wyjęty z kieszeni kurтки przezroczysty woreczek z jakimiś świecidełkami w środku. – Wziąłem kilka. Dzieciom w szkole rozdasz albo nauczycielom.

Eryka obracała w dłoniach woreczek. Poczowała niesmak.

– Wiesz, co to jest? Dzieciak dziesięciodniowy. Ha! Nie uczą o tym pedagogów na Sorbonie, co?

– Fundacja Jasny Początek. Znasz ją przecież – uzupełnił Tomasz. – Dostajemy od nich czasem newslettery mejlem.

Owszem, znała. I dbała o to, by otrzymane od nich na wspólną jej i Tomasza skrzynkę wiadomości lądowały w spamie. Czasem kusiło ją, by stworzyć dodatkowy folder i nazwać go „Folie”. Polsko brzmiące francuskie określenie szaleństwa nie wzbudzi raczej podejrzeń Tomasza, który wytrwale tropił newslettery i nieustannie się dziwił, że firewall traktuje je jak śmieci, nie podejrzewając ani przez sekundę, jak czynny w tym udział brała jego żona.

– Wiem, wiem – odpowiedziała. – Miło, że o mnie pomyślałeś.

– Ludzie nie wiedzą, jaka to zbrodnia, mówią o terminacji ciąży zamiast o zabójstwie, a faceta z brodą nazywają kobietą. Przez całe to gender świat powariował – wyjaśniła Elżbieta z powagą, wpychając w siebie kolejny kawałek ciasta. – Nawet ginekolog, który

skrobanki robił, nie wiedział. Ten, co z Niemiec przyjechał świadectwo dać, płakał jak bóbr, że go Bóg za grzechy bezpłodnością pokarał. Wcale mu nie współczuliśmy, wcale – zadeklarowała kategorycznym głosem w imieniu całej wspólnoty. – Aż dziwne, po co go zapraszali. Chociaż widziałam, że Kaśka Prochocka łzami się zalewała. Wiesz która? Ta, co za Wojtkiem chodziła, żeby jej pracę załatwił. Może ma coś na sumieniu?

Eryka spojrzała na nią sceptycznie, co zostało słusznie odczytane jako nagana.

– No dobrze, nie wiem, jak to z nią jest, ale od początku mi się nie podobała. Kobieta w moim wieku, ani męża, ani dzieci, ani kota nawet nie ma. Coś do picia lepiej zrobię, co będę sobie na sucho język strzępić – zaproponowała gospodyni. – To ciasto najlepsze maczane w kawie. Przepraszam, jakoś się zgapiłam.

– W tym domu się nie przeprasza, w tym domu postępuje się właściwie – wtrącił dobrze znaną zebranych regułą Bajtak i klepnął żonę w tyłek, żeby ją nieco pogonić.

– Kiedy indziej wpadniemy – uprzejmie odmówił Tomasz. – Jutro przecież idziemy do pracy.

– Chłopcy są u nas we wtorek na angielskim? – upewniła się Eryka, nakładając płaszcz.

Na klatce dogoniła ich Bajtakowa, wypychana przez męża za drzwi. Wręczyła Eryce pół blachy sernika w podzięce za przysługę.

– Na śniadanie zjecie. Ale z kawą koniecznie. – Potem położyła na blasze jeszcze kilka broszek w foliowym woreczku. – Mam ich chyba ze dwadzieścia, sąsiadki je w berety wpinają na widok Wojtka. Wiesz sama, jaki on jest.

Eryka wzruszyła ramionami. Jeśli ma tym jakoś pomóc Elżbiecie, może te broszki zabrać, ale niech nikt nie myśli, że kiedykolwiek je założy.

W windzie Tomasz objął żonę mocno i wyszeptał jej do ucha:

– Byłaś dzielniejsza od Joanny d’Arc. Dziękuję.

– To jakiś koszmar trzymać w domu potwora z mózgiem jak połowa przepiórczego jaja i twierdzić na dodatek, że jest oswojony. Od ostatniego razu urósł im chyba z metr. Mogli go zabrać ze sobą na ten show, też by coś mógł powiedzieć o kuszeniu Adama... – przerwała w pół zdania, czując, jak Tomasz sztywnieje. – Oj, no dobrze już, znam tę twoją minę, rozpędziłam się, ale naprawdę jestem zmęczona. Dzieciaki super, tylko rodziców mają szczególnych.

– Wiem. I ty też wiesz, czemu to dla nich robimy?

– Bo dobrzy z nas chrześcijanie? – zaśmiała się przekornie Eryka.

– Właśnie – potwierdził Tomasz, który byłby w stanie nakładać pytonowi na łapy skarpetki, byleby tylko udowodnić Bajtakowi, że dobrze wybrał, powierzając właśnie jemu kierowanie biurem sprzedaży osiedla, które niebawem firma Wojciecha miała wykańczać na Żoliborzu.

Objęci w pół przeszli do samochodu, Tomasz z przesadną nonszalancją otworzył żonie drzwi. Stary peugeot jak zwykle chwilę się z nimi przekomarzał, zanim odpalił. Podobno do samochodów należy przemawiać czule jak do kwiatów, ale żaden kwiat ani żaden akumulator nie zniosą wielomiesięcznych siarczystych mrozów, a zima tego roku nie odpuszczała mimo nadejścia kalendarzowej wiosny.

– Dobry Peżko – mruknęła Eryka.

Oboje pokleпали go w tym samym momencie po desce rozdzielczej, po czym

równocześnie sięgnęli po płytę Amalii Rodrigues. Eryka strąciła z kolan torebkę. Na podłodze wylądowała szminka w kolorze nude i koperta z zagranicznym znaczkiem.

– Znowu napisała? – Tomasz wykrzywił się z odrazą.

– Oj, nie zaczynaj. Pisze i będzie pisać. Ten typ tak ma.

– Nie chodzi mi o to, że pisze, tylko że ty to czytasz. Bałamutne opowieści lewackiej ciotki Matyldy.

– Lewacy to są, Tomeczku, u nas, ciotka Matylda jest libertynką. Pomyśl tylko, prawdziwą libertyńską paryską libertynką, która od sześciu lat namawia mnie, żebym zajęła pokój z widokiem na wieżę Eiffla. A ja trwam przy tobie. Więc chyba nie ma się o co tak pieklić?

ROZDZIAŁ 2

Zawsze po zarwanej nocy chodziła rozdrażniona. Próbowwała to ukryć, ale sześć lat małżeństwa wystarczy, by wiedzieć, kiedy nie wchodzić komuś w drogę. Tomasz omijał więc Erykę szerokim łukiem, na tyle szerokim, na ile pozwalało czterdziestometrowe mieszkanie. Dopiero po pierwszej kawie i toście z dżemem Eryka przeciągnęła się swobodnie, wypuszczając z siebie powietrze. Szlafrok, który wkładała co rano, od kiedy się poznali, był już nieco sprany, ale wciąż nie stracił swojego uroku. Jakby chciał sprostać urodzie właścicielki.

– Ale masz nogi, dzieciaku. – Tomasz pogłodził żonę po łydkach.

– Zostaw, muszę ogolić. Jutro to zrobię, na razie zakaz dotykania.

Rozchylił szlafrok i stwierdził zawadiacko:

– Mnie tam nie przeszkadza ten włos, ale dzisiaj piątek. I tak mogę tylko patrzeć.

– Nie napatrzyłeś się dość? – Nawiązała do narzeczeństwa, które na szczęście trwało na tyle krótko, że nie zdążyli złamać postanowienia wytrwania w abstynencji.

Pocałował ją w kolano. Eryka cofnęła nogę.

– Nawet paznokcie mnie bolą z niewyspania – marudziła tonem rozkapryszonej księżniczki.

– A mnie łupież boli – błaznował Tomasz i przesadnym ruchem podrapał się po głowie. Po chwili wrócił do kuchni z maszynką do golenia. – Wyglądasz zjawiskowo, jak paryżanka z przedwojennego plakatu.

– Opowiedz mi lepiej, jak wasze interesy z Bajtakiem. Ile jeszcze potrwa ten festiwal miłosierdzia?

– Jest szansa, że w kwietniu, góra w maju, uregulują sprawę gruntu i Wojtek ruszy z budową.

Tomasz skończył kurs pośrednika nieruchomości i po praktyce w biurach sieciowych założył własne, specjalizujące się w kompleksowych usługach. Poza wyszukiwaniem lokali i pośrednictwem sprzedaży nawiązał współpracę z prawnikami, bankami, a nawet projektantami wnętrz. Na etapie zakładania firmy Eryka chętnie służyła mu wsparciem, wysłuchiwała jego wątpliwości, czasem wyręczała w biurokratycznych czynnościach, pomogła urządzić biuro. Wszystko w nadziei na lepszą przyszłość. Nie na wiele się to zdało, bo konkurencja była ogromna, a koniunktura słaba. Pół roku temu Wojtek Bajtak zaproponował Tomaszowi, żeby poprowadził biuro sprzedaży nowej inwestycji na Żoliborzu, którą częściowo miała realizować jego firma. Eryce głupio było się przyznać, że nie do końca pamięta, co powodowało tak znaczne opóźnienia. Tomasz od paru miesięcy nie mówił o niczym innym i do tego ograniczył swoje zawodowe aspiracje, a ona dalej nie mogła pojąć, w czym tkwi szkopuł.

- Wysiedlenie dłużników nie jest proste – przypomniał jej Tomasz. – Lokale zastępcze, odwołania, matki z dziećmi, sieroty, starcy w stanie agonalnym.
- A ty znowu żartujesz... – Eryka nie dociekała szczegółów.
- Ależ skąd. Poważnie, takie historie. Bóg mi świadkiem! – zaperzył się i szelmowską minę zastąpiło marsowe oblicze.

Na temat Boga Eryka nie wypowiadała się wcale. To zupełny przypadek, że poznali się akurat w kościele. Była wtedy bezgranicznie zmęczona. Mniej studiami na Sorbonie, bardziej sobą. Ciotka Matylda, zadomowiona w Paryżu starsza od niego o dwanaście lat przyrodnia siostra ojca, pozwalała Eryce na wiele, co nie znaczy, że nie stawiała warunków. Chciała bowiem o wszystkim wiedzieć, jakby barwnymi opowieściami kompensowała sobie szarą młodość spędzoną w stalinowskiej Polsce. A Eryka miała o czym opowiadać! Korzystała z wolności jak człowiek wypuszczony po latach z klatki.

Matka była jak ogień, ojciec jak woda, a ona odreagowywała lata dzieciństwa, gdy jedno kazało jej stać się ogniem, którego nie ugasi żadna woda, a drugie wodą, która ugasi każdy ogień. Szukając własnej drogi, trochę flirtowała z krisznowcami, ale nie mogła znieść smrodu kadzidełek i orientalnych przypraw, jakimi przesiąkały jej ubrania i włosy. Spróbowała seksu. Nie ma lepszego miejsca na inicjację niż międzynarodowe środowisko na Sorbonie. Uświadomiona przez Matyldę korzystała z wolności wyboru do czasu, gdy przekonała się, że wiecznie dokonuje niewłaściwego. Jej koledzy wybierali różnie: Antonio – Hiszpan, z którym wiązała poważne plany, wybrał ciągły haj w Indiach. Włoch Fabrizio – misję lekarza bez granic, ale czarę goryczy przelał Rosjanin Olgierd, który wybrał Portugalczyka Gustava. Pod koniec studiów otrzeźwiała. Mąż. Dzieci. Kredyt na trzydzieści lat. Praca. Katolickie nauki matki rozpychały się coraz bardziej w jej głowie. Rozczarowała ciotkę Matyldę, gdy od razu po dyplomie wróciła do Warszawy.

Dziękowała matce, że wypchnęła ją do wspólnoty akademickiej, w której natychmiast wpadła w ramiona Tomasza. To on ją ocalił. Była tego pewna, choć chłopak nie miał pojęcia o burzliwym epizodzie francuskim i swoim udziale w naprowadzeniu Eryki na ścieżkę cnotliwego życia. Oświadczył się jej w Wielkanoc, pospiesznie ustalili datę ślubu na lipiec tego samego roku. Co do pryncypiów pozostawali zgodni – czystość aż do ślubu i wychowanie dzieci w wierze katolickiej. Eryka z gorliwością neofitki przyjmowała początkowo wszystkie reguły gry. Stworzyli związek symbiotyczny, ale nie pozbawiony rys. Oboje musieli sobie poradzić z poczuciem osamotnienia, które osaczało ich, gdy w idealnie uporządkowanym przez religię świecie dochodziły do głosu różnice. A to tańce w piątek, a to mięso na wigilijnym stole, a to komunia na rękę zamiast bezpośrednio do ust. Eryka żartowała, że nic ani nikt tak ich nie podzielił jak sobór watykański drugi. Tomasz stawał się tradycjonalistą wręcz fundamentalnym, Eryka w dniu ślubu wybrała (tym razem świadomie i dożywotnio) pokorę i posłuszeństwo. Ludzie lubią piosenki, których często słuchają, wierzą w często powtarzane im kłamstwa. Eryka nie była wyjątkiem – najmocniej trzymała się tego, co oswojone. Nawet jeśli marzyła, by od tego jak najdalej uciec.

Przyglądała się Tomaszowi. Ruszał się zbyt żwawo, można by rzec – nerwowo. Chociaż stał w miejscu, wciąż przebierał nogami, stawiając stopy na okruszkach, które spadały mu z kanapki na podłogę. Kanapka na pewno była z pomidorem, tylko czekać, aż ześlizgnie się

z plasterka żółtego sera. Tomasz uważał, że na stojąco je się szybciej. Eryka przejechała dłonią po gładkim policzku męża i zaproponowała, siląc się na powagę:

– Może mi ogolisz nogi? Jak pokuta, to pokuta.

– Im większa ofiara, tym miłsza Panu. Pamiętasz? Ale teraz to już się spieszymy. Za późno – zamruczał i pocałował ją w stopę, zostawiając na niej masło.

Eryce przypomniało się, co kiedyś powiedziała pewna znana psycholog. Że kiedy komuś przeszkadza, jak partner je, to powinna się zapalić czerwona lampka, bo to krok do rozpadu związku. Ale ponieważ psycholog znana była przede wszystkim z walki o prawa gejów, Eryka lampkę szybko zgasiła i dała Tomaszowi całusa prosto w maślane usta.

– Zbieraj się – zamlaskał.

Jak co piątek Tomasz został w domu, by odwieźć Erykę na dziesiątą do szkoły, zmierzwić jej włosy i pomachać z auta, zanim zniknie w tłumie uczniów na dziedzińcu. Z przekrzywioną czapką, burzą loków w kolorze rudym w dni słoneczne i rdzawym w dni pochmurne, w płaszczyku z zielonymi guzikami w kształcie motyli wyglądała wśród gimnazjalistek jak jedna z nich.

Odebrała z portierni klucz do gabinetu, przeszła przez korytarze i odsłoniła rolety w gabinecie. Uśmiech zastygł jej na ustach, gdy wyjrzała przez okno. Grupa wyrostków waliła pokrywą kubła od śmieci, z którego co chwilę wystawiał łeb czarny kot. Zwierzę próbowało czmychnąć, ale bez skutku. Systematyczne uderzenia odurzyły je widać na tyle, że nie miało już siły podejmować kolejnych prób. Dzwonek na lekcję wezwał chłopaków w stronę wejścia. Jeden cofnął się jeszcze do kubła, kopnął z całej siły, a kiedy napotkał karcący wzrok młodszego ucznia, podbiegł i ryknął mu prosto w twarz. Dziecko uciekło przestraszone i Eryka z niedowierzaniem odnotowała, że scena rozegrała się między braćmi Bajtakami.

Kiedy wybrzmiał dzwonek, rozległo się pukanie do drzwi i bez zaproszenia do środka weszła Malwina Kicińska.

– Będziesz, kochanie, na tym zebranku w południe? – Dyrektorka często używała zdrobnień, szczególnie wydając polecenia w formie pytań.

– Tak, oczywiście. Iza Kostecka przesłała mi materiały z konferencji. Strasznie długo to trwało, nie zdążę ich gruntownie przestudiować – usprawiedliwiła się.

– Marzanna wyszła z Wisły i wróciła? – zażartowała przełożona, widząc, że Eryka nie odrywa wzroku od okna.

– Pani dyrektor, w kubie jest kot, trzeba go uwolnić.

Eryka wyjaśniła pokrótce, co zaobserwowała, i po chwili obie, trzęsąc się z zimna, bo w pośpiechu wybiegły bez płaszczy, podnosiły klapę. Kot jednak nie wyskoczył. Nie zamierzał im nawet się pokazać. Kobiety zbliżyły się nieco, ostrożnie, w obawie przed atakiem pazurów, ale z góry śmieci spoglądały na nie ledwo otwarte białe ślipia czwórki ssących mleko młodych i czujne oczy ich karmicielki.

– A to dopiero. Nie zauważyłam, że Poziomka była kotna – zdziwiła się dyrektorka. – Też sobie miejsce znalazła. Trzeba kartkę napisać, żeby z kubła nikt nie korzystał. Albo niech pan Staszek przesunie go w ustronne miejsce, bo kartka tylko dzieciarnię prowokuje do wygłupów. Zaraz go przyślę. A my widzimy się w południe – powtórzyła i zwawym

krokiem wróciła do budynku.

Eryka stała jeszcze chwilę skonsternowana. Może chłopcami powodowała zwykła dziecięca ciekawość, brak wyobraźni; niemożliwe, by zamierzali skrzywdzić kota. Zauważyła, że na gałęziach żywopłotu, poruszanych chłodnym wiatrem, wystąpiły nieśmiałe pąki. Wciąż narzekała na zimę, tymczasem bocznymi drzwiami zakradła się już wiosna. Gdyby nie marzła tak strasznie, pąki być może ucieszyłyby ją, ale teraz wyrzucała im w duchu, że leniwe są i jakieś niedorozwinięte, skoro pod koniec marca wciąż nie mogą przerodzić się w liście.

Mimo chłodu zwolniła kroku, by nie zetknąć się w drzwiach z wuefistą. Źle zaczęła się ich znajomość. Kpił z niej otwarcie, że broni mazgajów, kiedy stanęła po stronie uzdolnionej sportowo Aldony, która odmówiła udziału w koedukacyjnych zawodach sportowych. Od czasu, gdy spotkali się na cyklu biegów górskich w pobliskiej Falenicy, zaczęli się nawet trochę przekomarzać. Wpadła na niego przy dyżurce, gdzie jak zwykle przywitał się z nią z przesadą wymawianym *bonjour, madame*.

Odpowiedziała również po francusku, i wiedząc, że nie zrozumie ani słowa, poczęstowała go wiązką wyszukanych przekleństw, które w języku Moliera brzmiały jak poezja. Pobiegła na pierwsze piętro do swojego gabinetu na samym końcu korytarza. Słońce tak mocno świeciło jej w monitor, że zasunęła rolety i oddała się analizie materiałów pokonferencyjnych przed zapowiedzianym przez dyrektorę spotkaniem.

Choć konferencja odbyła się pod koniec ubiegłego roku, długo trwało opracowanie referatów do druku. Najwyraźniej każdy z prelegentów chciał je uzupełnić, czasem o najświeższe dane, czasem o cytaty. Umieszczenie wypowiedzi specjalistów gwarantowało ich przychylność w późniejszych działaniach, szczególnie przy opiniowaniu rozmaitych projektów o dofinansowanie. Eryka, czytając jeden z tekstów, zatrzymała się przy analizie badań dotyczących typowych reakcji dzieci dotkniętych przemocą. Wyniki zainteresowały ją, ponieważ odświeżyły już nieco przykurzoną wiedzę o strategiach przetrwania w rodzinie. Autorem okazał się profesor Bernard Stroicki. Ekspert z zakresu psychologii dziecięcej. Doskonale znany Eryce osobiście. Jej ojciec.

Senność natychmiast ją opuściła. A więc nadal publikował, chociaż przeszedł na emeryturę! Myślała, że po rozwodzie nigdy nie stanie na nogi. Matka nie kryła satysfakcji, gdy opowiadała Eryce, że „profesorek”, jak się o nim całe życie pogardliwie wyrażała, nie radzi sobie nawet z ugotowaniem wody, w najlepszym razie przypala czajnik, w najgorszym osmala całą kuchnię. Podzielili się domem w Milanówku dokładnie po połowie. Piętro zajęła matka, parter – ojciec. Podwórko rozdzielili murem godnym Cześnika i Rejenta, a i przykrości, jakimi matka nie przestawała uprzykrzać ojcu życia, nie ustępowały największym sąsiedzkim sporom w literaturze. Regularnie podlewała kwiaty na balkonie w ten sposób, by woda z ziemią ściekała z doniczek piętro niżej. Przypadkiem akurat wtedy, gdy Stroicki suszył pod balkonem pranie.

Największe pretensje matka miała o to, że ojciec się nie wyprowadził. „A przecież parter miał być dla ciebie, pokój dziecienny byś miała”, powtarzała jak mantrę. W mniemaniu Krystyny Stroickiej tylko złe warunki lokalowe powstrzymały córkę przed macierzyństwem. Eryka nie wyprowadzała matki z błędu.

Ta sytuacja, choć od rozwodu minęło ponad dziesięć lat, nie uległa polepszeniu. Jakby

ziściła się boska groźba, by człowiek nie ważył się rozwiązywać tego, co Bóg złączył. Więzy między małżonkami pozostały zaciśnięte, rurami między parterem a piętrem sączyły się toksyny. Nic więc dziwnego, że Eryka unikała wizyt w Milanówku, podczas których matka najpierw narzekała na byłego męża, a zaraz potem wypominała córce, jaka jest do niego podobna.

Lekturę materiałów z konferencji przerwał Eryce telefon.

– Cześć, Eryko, tu Agnieszka. Możemy zamienić słówko?

Agnieszka, Agnieszka, Agnieszka – Eryka robiła szybki przegląd wspólnotowej grupy. To przede wszystkim znajomi Tomasza, jej funkcja ograniczała się do towarzyszenia mężowi. Nigdy nie angażowała się bardziej, niż było to konieczne.

– Agnieszka...? – Zawiesiła głos.

– Siostra Basi od bliźniaków. Z edukacji domowej.

– Przepraszam, nie skojarzyłam od razu – powiedziała Eryka bez entuzjazmu, przeczuwając kłopoty. – Coś się stało?

– Nie, nic takiego. Potrzebujemy opinii, że Antek nie nadaje się jeszcze do szkoły. Diagnoza przedszkolna wypadła korzystnie, a raczej fatalnie, bo twierdzą, że jest gotów, ale to nie oni przesiedzieli rok w domu z chorym dzieckiem.

Teraz sobie przypominała. Taka mała, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, kontrastującym ze zmrużonymi nieufnie oczami. Już wcześniej poprosiła Erykę o zaświadczenie, że ich sześciolatek nie powinien jeszcze iść do pierwszej klasy. Odesłała wtedy Agnieszkę do poradni i niezręcznie było zrobić to ponownie. Co jej właściwie szkodzi? Poprosi Iżę dziś na zebraniu o wzór i może napisać, co trzeba.

– Wpadniesz do mnie z Antosiem? Zdrowy jest? – Sięgnęła po kalendarzyk w słoniki. – Na przykład w poniedziałek będę do szesnastej.

– Czy to naprawdę konieczne, Eryko? Przez ospę Antek ma już masę nieobecności w przedszkolu – powiedziała takim tonem, jakby jej syn na zawsze był naznaczony konsekwencjami swojego wcześniactwa.

– No dobrze, ale wiesz, że się tym nie zajmuję. Daj mi tydzień, coś wymyślę.

– Bóg zapłać. Im więcej świstków, tym lepiej. To rzeczpospolita papierkowa.

Eryka poczuła ścisk w żołądku. Powinna popracować nad asertywnością. Ludzie to potrafią. Ona nie. Tym ze wspólnoty się nie odmawia. Przyparta przez nich do muru zgodzi się popełnić drobne grzeszki dla świętego spokoju. A jedyne na co ją stać, to zniesmaczenie, jak łatwo przychodzi im usprawiedliwić kłamstwo. Staje się wtedy na chwilę osobna. Na chwilę krótką, jak krótkie jest jej wahanie.

Przeszła do gabinetu dyrektorki. Zebranie, jak co miesiąc, dotyczyło głównie spraw bieżących i Eryka tym razem nie miała zbyt wiele do dodania. Żaden z uczniów nie był szczególnie kłopotliwy, żaden z rodziców nie krytykował pracy nauczycieli, co czasem też miało miejsce i szczególnie wśród starszej kadry budziło oburzenie. Nie do pomyslenia bowiem było, żeby to rodzice dyktowali nauczycielowi, jak ma wykonywać swoje obowiązki. Ich zadanie polegało na dopilnowaniu, by to latorośl posłusznie wypełniła zalecenia wychowawcy. Eryka nie do końca podzielała ten pogląd, rozumiała mamę Stasia, który mimo zdiagnozowanej dyskalkulii wciąż stał pół lekcji przy tablicy, podczas gdy

matematyczka celowała w niego kredą, czy rodziców Franka, którzy domagali się lekcji etyki na początku lub pod koniec dnia zajęć. Wszyscy oni weszli w konflikt z systemem i pedagog postanowiła wziąć ich w obronę. Licząc się naturalnie z konsekwencjami, bez których się nie obeszło – matematyczka w jej obecności wciąż dowcipkowała, że humaniści, szczególnie ci po zagranicznych uniwersytetach, to tumaniści, a katechetka w ogóle odpuściła sobie dyskusje z Eryką i poskarżyła się Tomaszowi. Najmniej uciążliwy okazał się wuefista, z jego przekomarzaniem Eryka szybko się oswoiła.

Zebranie byłoby zapewne typowym przeglądem plotek między pedagog a dyrektorką, ale tym razem przybrało bardziej oficjalny charakter ze względu na obecność pracownicy poradni psychologiczno-pedagogicznej, prywatnie koleżanki Eryki z liceum francuskiego, Izy Kosteckiej. Najpierw omówiła materiały pokonferencyjne, umiejętnie stopniując napięcie, przypomniawszy o zadaniach gmin w zakresie przeciwdziałania i zwalczania przemocy w rodzinie, zauważyła z niedowierzaniem, że w całej dzielnicy w ciągu roku w żadnej szkole nie założono ani jednej Niebieskiej Karty, po czym przeszła do sedna, wnioskując o oddelegowanie reprezentanta szkoły do interdyscyplinarnej grupy działającej na rzecz pokrzywdzonych dzieci, zrzeszającej specjalistów z różnych dziedzin. Erykę to wzburzyło. Uważała, że jej podopieczni są pod troskliwą obserwacją, i choć nie wykluczała, że czasem ich rodzicom po ludzku puszczają nerwy, nie wierzyła, by mogło dochodzić do jakiegokolwiek poważniejszej przemocy w tych rodzinach. Argument z Niebieską Kartą uznała za nietrafiony. Procedurę wszczynało się w razie uzasadnionych podejrzeń zaistnienia przemocy, a nie jakichś pogłosek czy plotek. Wierciła się na krześle, czekając na dogodny moment, lecz kiedy doszła do głosu i wyraziła swój pogląd na forum, została natychmiast przywołana do porządku ripostą Izy.

– To nie jest kwestia wiary, ale faktów, z jakimi radzę się zapoznać – usłyszała od dawnej koleżanki, która przy każdej okazji wypominała jej kościelną aktywność. Dlatego Eryka dokładała starań, by takie okazje zdarzały się jak najrzadziej.

Nauczona milczenia, czekała na poparcie dyrektorki, ale Kicińska, dowiedziawszy się, że członkami zespołu są pediatrzy, policjanci i psychologowie, uznała pomysł za sensowną realizację wytycznych dzielnicy.

– Nie możemy stać z boku, gdy dzieciom dzieje się krzywda! – zadeklarowała tonem, jakim dawniej skandowano: „Dobro człowieka – nadrzędnym celem działania partii!”. Potem zwróciła się bezpośrednio do Eryki: – Pracujesz, koteczku, z uczniami, jesteś świetną specjalistką od spraw beznadziejnych, ale trzeba sprawdzić, co się dzieje w tych rodzinach. Na wszelki wypadek, zanim coś, nie daj Panie Boże, się wydarzy i ściągnie nam na głowę media. O tym nie pomyślałaś, prawda?

Eryka zaczerwieniła się aż po czubki uszu, trochę z powodu pochwały, a trochę ze względu na niespodziewaną publiczną reprimendę.

– Obserwujemy jedną rodzinę z waszej szkoły – powiedziała Kostecka z naciskiem na „waszej”.

– Eryko, nie ma w naszej szkole odpowiedniejszej osoby. Wiele razy udowodniła pani, że staje po stronie prawdy – akcentując „naszej”, podkreśliła Kicińska.

– Dobrze, ale nie ukrywam, że w tej chwili uważam to za bezcelowe – mruknęła Eryka, wiedząc, że obie z Kostecką i tak usłyszą tylko jej zgodę.

Na korytarzu Iza chwyciła ją za ramię.

– Musisz być dobra. Kicińska sładzi kuratorium, ale żeby skały srały, to nie pochwali swoich pracowników. Biegasz jeszcze? – spytała nagle.

Eryka właściwie odczytała to jako zaproszenie do wspólnego joggingu i odrzekła krótko:

– Teraz wszyscy biegają.

– Będę się za tobą rozglądać.

– Zawsze robię przerwę na zimę.

– Przecież już wiosna. – Iza, jakby na potwierdzenie, sięgnęła do lnianej torby w kwieciste bohomy i wyjęła teczkę. – Chciałabym z tobą o nich pogadać.

Eryka wróciła do swojego pokoju z nowymi materiałami, w których – jak się spodziewała – jej panińskie nazwisko odmieniane było przez wszystkie przypadki. Dorobek profesora Bernarda Stroickiego, jego badania lub wnioski, nie interesował jej wcale. Nie zdał egzaminu z ojcostwa, gdy wycofał się w pracę i ciężar wychowania przekazał matce. I żadnymi zasługami w nauce nie mógł już tego nadrobić.

ROZDZIAŁ 3

Może weźmiemy do domu kotka? – zagaiła Eryka podczas kolacji.

Tomasz oderwał wzrok od planów architektonicznych i spojrzał zdezorientowany na żonę.

– Przepraszam, miałem nie pracować w domu.

Uśmiechnęła się. Najwyraźniej usłyszał co innego, niż powiedziała. Czyżby naprawdę nie zauważył, że od walenia głową w mur nabawiła się wyłącznie guzów? Od paru tygodni nie robiła mu już wymówek, gdy czytał przy jedzeniu, najpierw ukradkiem korespondencję, a potem całe segregatory dokumentów. Postanowiła jednak wykorzystać okazję i odpowiedziała tylko:

– Znowu Bajtak, co? Czasem mam wrażenie, że z nimi mieszkamy. Kiedy dostaniesz tę pracę, to się skończy czy na dobre zacznie?

– Masz jakiś konkretny powód, dlaczego tak bardzo go nie lubisz?

– Oj, mogłabym wymieniać do jutra. Nie znoszę tej jego świętoszkowości, tego wypominania mi Sorbony. Poza tym zobacz, jak on traktuje Elżbietę. Zwykła solidarność jajników każe mi brać ją w obronę, ale nie mogę. Ona jest jak skazaniec wypatrujący światełka nadziei w lufie karabinu.

– To są ich sprawy. To tak, jakby ktoś żałował cię, że przeze mnie musisz się udzielać we wspólnocie.

– Ha! – wykrzyknęła Eryka. – Ależ oni żałują cię, że ciągle musisz mnie nawracać.

– Niezła szkoła charakteru. – Roześmiał się.

– Powiedz lepiej, co tak studiujesz.

Tomasz ponownie sięgnął po mapy. Po raz kolejny usłyszała opowieść, jak to w gęsto zabudowanej Warszawie każdy kawałek gruntu jest na wagę złota. A ten miał być na tyle tani, że dawał dużą dowolność w ustalaniu ceny sprzedaży apartamentów. Tomasz przypominał Eryce chłopca, któremu rodzice obiecali na gwiazdkę upragniony prezent. Czekał więc, a ona z nim. Im dłużej to trwało, tym atrakcyjniejsze roztaczał przed nią wizje.

– Jak się uda, najpierw pojedziemy na rajd konny. Najedziemy Ukrainę albo Kaukaz. Stepy, góry, bagna, a pod nami dobry koń.

– Tomciu, to taka ułańska rozrywka dla chłopców. Ja bym wolała...

– Wiem, spa z twoją przyjaciółką Asią. I masażysta przesuwający dłonie w dół pleców posuwistymi ruchami. *Never, ever, mon chéri.*

Zgromiła go wzrokiem.

– *Ma chérie*, jeśli już.

– Czepiasz się gramatyki, a ja ci mówię – Hiszpania odpada. Zachód słońca i brzeg

morza fajna rzecz. Znajdź no tylko kawałek wolnej plaży w Andaluzji. Nie interesują nas przejażdżki pół godziny za sto euro. Ja mówię o przygodzie, Ryśko drogi, grupa jeźdźców napiera, a spod kopyt unosi się pył.

Eryka nabrała powietrza i wypuściła je ze świstem cierpiącego na przewlekłą infekcję gruźlika. Może to i lepiej, że mają tyle, ile im wystarcza, i ani grosza więcej. Może to i lepiej, że jedyną realną perspektywą poprawy sytuacji finansowej stanowiłoby przyjęcie u ciotki Matyldy posady osobistej opiekunki, za którą zapłaciłby francuski podatnik.

– Nikt normalny nie jeździ teraz na Ukrainę i nazywanie mnie Ryśkiem tego nie zmienia. Ale Hiszpania... to jest myśl... – Uśmiechnęła się i zamilkła. Nie mogła, czy też raczej nie chciała przyznać, że już to przeżyła. Pocwałowała ślepo za Antoniem, który prowadził ją trzydziestokilometrową trasą po Andaluzji, wśród oliwnych gajów i wzgórz, po piasku i po wodzie. Jak nomadzi przywiązywali konie do drzew, pomiędzy którymi rozwieszali hamak. Wtuleni w siebie pod gwiazdami marzyli o wspólnym domu. Trzeba przyznać, że Antonio miał wizje. Radosne snuł po marihuanie. Po grzybach – katastroficzne. Po LSD – w zależności od dawki – albo zasiedlał z Eryką niebo, albo piekło. Próbowwała rozmawiać z nim stanowczo. Nie pomogło. Cóż zostało, jak tylko się pomodlić. To wtedy Bóg zawiódł ją po raz pierwszy. To wtedy szatan jej podszeptał, że widać modliła się nie dość żarliwie. Cierpliwość, wytrwałość, modlitwa. Posag wyniesiony z rodzinnego domu. Antonio, którego matka Hiszpanka na kolanach czyściła paryskie salony, zdawał się te wartości dzielić, a nawet chwycił się czasem tej nadziei, że kiedyś będą mieli małego Jesusa, którego ubiorą w strój w koronki i pójdą przedstawić Panu Bogu i Najświętszej Pani. Wszystko zepsuła Matylda, która – gdy Eryka po andaluzyjskiej wyprawie przedstawiła jej Antonia – nie kryła niechęci. Cwałem po piasku? Czemu nie? Po brzegu? Proszę bardzo. Byleby tylko nie ulec pokusie usypiania wydm na dnie morza. A tak ciotka określiła zabiegi Eryki, by z nieuleczalnego Piotrusia Pana uczynić wzór cnót. Ojca. Głowę rodziny. A że miała język ostry jak brzytwa, Eryka nie mogła chwycić się nawet strzępka nadziei, gdy ciotka kategorycznie oświadczyła: „Wybrałaś, jakbyś ojca nie miała. Dobrze, że twój ma siostrę. Nie pozwolę, żebyś z narkomanem życie sobie zmarnowała”.

Tak rzekła ciotka Matylda, francuska libertynka. I dała Eryce do myślenia. Nie na długo, bo Antonio wyjechał do Indii uprawiać rośliny albo ćwiczyć umysł. A może jedno i drugie. Eryka następnym razem musiała wybrać rozważniej. Miała przecież nie tylko ojca, ale i matkę.

Kiedy po raz pierwszy zabrała Tomasza do stadniny, bał się podejść do konia, nie mówiąc o pogłaskaniu go czy osiodłaniu. Wydał jej się słaby, niemęski, napompowany podszytą lękiem powagą, którą lekcewały sobie wyczulone na fałsz zwierzęta. Z czasem ośmielił się, a nawet coraz częściej wspominał o własnym wierzchowcu. Nie zdecydowali się po części z powodów finansowych, a po części dlatego, że Eryka unikała długoterminowych zobowiązań. To jednak odpowiedzialność na kilka lat, a ona bałaby się galopować, gdyby akurat... Z tego samego powodu wysłuchiwała męża cierpliwie, oparła mu głowę na ramieniu i nie wspominała więcej o kocie. Wiadomo, toksoplazmoza, a później sierść i te przeklęte alergię, na które zapadają dzieciaki. Ich dzieci także mogłyby cierpieć z powodu lekkomyślnej zachcianki.

– Chcesz trochę macy? – przypomniała sobie. Zadała pytanie cicho, jakby liczyła się z odmową.

– Chętnie. I miód możesz od razu przynieść.

Taki był zgodny, że może powinna znowu poruszyć kwestię badania nasienia. Raz się przełamała. Kilka lat wcześniej wbrew woli męża poprosiła o modlitwę wstawienniczą w intencji poczęcia ich dziecka. Część członków wspólnoty – zgodnie z przewidywaniami – zbeształa ją, że intencja to nie koncert życzeń do Pana Boga, ale pozostali po prostu położyli Papickim ręce na głowy i modlili się o łaskę Ducha Świętego dla nich. Tomasz aż kipiał z upokorzenia i złości. Eryka cieszyła się, że modlą się za nią ciężarne, bo ponoć Maryja łaskawszym okiem spogląda na ich prośby. Niestety nic to nie dało i ona sama patrzyła na Matkę Boską z coraz większą niechęcią. Przypomniały jej się zarzuty ojca, że dla katolickich kobiet nie ma innej drogi do świętości, jak tylko poprzez płodność lub czystość. Nigdy nie chciała opowiadać się ani po stronie katolików, ani protestantów, w rzadkich chwilach, gdy musiała określić swoje stanowisko, twierdziła po prostu, że wybiera Boga.

– Ale którego? – dręczyła ją matka, jakby dwóch bogów chrześcijaństwa miało na ringu walczyć o zwycięstwo jedynej prawdziwej wiary, choć miała katolicki chrzest, bierzmowanie i sakrament małżeństwa w katedrze.

– Tego miłosiernego – odpowiadała Eryka i kończyła dyskusję. Ale coraz mniej miłosierdzia okazywał jej ten Bóg, którego wysławiała matka.

Po modlitwie wstawienniczej docierało do niej wiele słów pocieszenia, usłyszała kilka historii ku pokrzepieniu serc o pojawiających się zniecka, zupełnie medycznie nieuzasadnionych ciążach. Niektórzy przebąkiwali o adopcji. Tomasz kiwał głową, że to bardzo szlachetne, że to jest rozwiązanie miłe Bogu, niepytany krytykował in vitro, niczym kryptogej, który staje się zatwardziałym homofobem. Ale jego zgoda zamiast przynosić ukojenie, rozpalala w niej bunt, że cudze dzieci to cudzy problem, a ona wbrew wszystkim kłatwom świata chce własnego rozwiązania. Dla siebie i Tomasza.

Ktoś wspomniał o naprotechnologii, więc Eryka – znów przy dziwnym uporze Tomasza, by pozostawić kwestię płodności w boskich rękach – przez parę miesięcy systematycznie monitorowała cykl na USG pod okiem certyfikowanego instruktora, doradcy życia rodzinnego. Nauczyła się obserwacji organizmu na tyle dobrze, by stwierdzić, że przyczyna może tkwić po męskiej stronie. Nie, nie wina, trudno mówić o winie w przypadku choroby. Podstępem raczyła więc męża miodem, macą, propolisem i ziołowymi mieszankami wszelkiego typu. A on udawał, że nie wie, dlaczego jak ciasto, to miodownik, jak herbata, to mieszanka numer trzy, jak chlebek na przekąskę, to maca. Tak trwali, ona w swojej milczącej nadziei, a on w przekonaniu, że to czysta szarlataneria, gusła, uroki.

Kiedy weszła z herbatą, uprzątnął ze stołu papiery, które zdążył na nowo porozkładać.

– Nie denerwuj się, ale jest jeszcze jedna sprawa związana z projektem Wojtka – zaczął nieśmiało.

– Niech to nie będzie to, o czym myślę. Miałeś już nie wyjeżdżać.

– Jeszcze tylko raz, najwyżej dwa. Wiesz, to mi pomoże się przygotować, w końcu na początku będę sprzedawał dziurę w ziemi.

– Bez obaw, ludzie dużo płacą za marzenia o lepszym życiu. Jak to osiedle ma się

nazywać?

– Raj.

– Poważnie? Raj? Na to zawsze są chętni.

Eryka ugryzła się w język, zanim dodała, że to powszechna praktyka w Kościele. Ludzie latami okupują mrzonki o raju rezygnacją z pozostałych pragnień.

– Wojtek naciska, żebyśmy pojechali jutro.

– W niedzielę? A konie? – przypomniała, starając się, by nie brzmiało to jak wyrzut.

– Przesunę wyjazd na wieczór.

– Dobrze. Na długo?

– Najwyżej dwa dni. Do wtorku się uwinę. Umów się może z Asią. Dobrze ci to zrobi.

Po co to mówi? Czyżby nie zauważył, że Asia, bliska Eryce od dzieciństwa jak siostra, której nigdy nie miała, go unika? Że ma go za nadętego hipokrytę?

Bo ona, Eryka Papicka, nie mogła tej świadomości znieść.

Choć Eryka Stroicka dobrze by to rozumiała.

ROZDZIAŁ 4

W niedzielę ośrodek Patataj przyjmował podopiecznych z wawerskiego poprawczaka i z fundacji pomagającej dzieciom z zespołem Downa. Była to osobliwa mieszanka. Eksperyment w założeniach miał w pierwszej grupie wywołać empatię, a drugiej dać szansę na kontakt z dziećmi zdrowymi. Eryka nie cierpiała tłoku, dość miała dzieciarni w szkole, ale od czasu, gdy Tomasz założył firmę, w tygodniu ciągle był zajęty. Nie narzekała, bo lubiła jego towarzystwo w terenie, poza tym, co próbowała ukryć nawet przed sobą, liczyła na to, że może umęczony jazdą zrezygnuje z uczestnictwa w zebraniu kościelnym, na którym mieli ustalać scenariusz zbliżającej się wielkimi krokami drogi krzyżowej. Maskarada, w jakiej Eryka brała udział. W zeszłym roku on był Chrystusem, a ona Marią Magdaleną. Źle to zniosła. Nawet się nie spodziewała, że zwykły performance mógł w takim stopniu poruszyć jej sumienie, i wcale nie miała ochoty na powtórkę w tym roku. Łudziła się, że gdy nie pojawi się „Chrystus”, pomysł, będący śmiałą inicjatywą małej części wspólnoty, upadnie.

W stajni panował rozgardiasz. Dzieci puszczane samopas szturchały się, otwierały bramę i przymierały wiszące przy bramie toczki. Udawało się to tylko niektórym, większą część energii marnowali bowiem na wrywanie ich sobie nawzajem z rąk. Nerwowość udzieliła się koniom, które parskają głośno w boksach. Eryka przyglądała się jak zauroczona dziewczynce z zespołem Downa, która zupełnie pozbawiona nawet nie tyle lęku, co instynktu samozachowawczego, odeszła od grupy i próbowała nakarmić Pioruna marchewką wprost ze swoich ust. Musiała ją przynieść z domu. Ktoś, kto ją troskliwie wyprawił, niewątpliwie kochał to dziecko, lecz pojęcia nie miał o koniach. Piorun, nie bez powodu nazwany tym imieniem, zachowywał się jednak bardzo wyrozumiale. Cierpliwie paraskał, próbując dobrać się do warzywa. Mimo to Eryka była bliska interwencji. Nie ufała ani dzieciom, a już takim dzieciom (one są znane z nadmiernej łagodności, a z końmi trzeba stanowczo) w szczególności, ani ogierowi, który nieraz już pokazał niezależny charakter nawet wobec tak doświadczonych jeźdźców jak ona. Ruch Eryki uprzedził nastoletni łobuz, który wyrwał koleżance marchewkę, przyłożył sobie w okolice krocza i wrzeszcząc: „patataj, patataj, kto nie chce jeździć, ten nie ma jaj”, wybiegł na padok. Eryka podeszła do dziewczynki i zobaczyła, że oczy jej lśnią. Z zachwytu. I jak tu jej powiedzieć, że jest obiektem żartów, nie partnerką w zabawie?

- Zabieram Pioruna na spacer. Pomożesz mi go osiodłać? – zaproponowała Eryka.
 - Jesteś gotowa? – Tomasz wychylił się z końca stajni. Widząc, że rozmawia z dzieckiem, uśmiechnął się i pomachał do małej.
 - Jak ma na imię? – mówiły jego usta, ale głos ginął w hałasie.
- Eryka się zawstydziała. Dla niej to była bezimienna dziewczyna z zespołem Downa.

Genetycznie wyposażona w dodatkowy chromosom na całe życie. Czy to dlatego nie mogła puścić jej ręki, dopóki pełzający ku wyjściu tłum ich nie minął? Kiedy w ślad za dziećmi pojawili się wychowawcy i pojedynczy rodzice, by sprawdzić, czy nikt nie pozostał w budynku, zwolniła uścisk. Zajęła się rozkładaniem czapraka pod siodło, zerkając na dziewczynę, która przykucnęła, by się ukryć, nic sobie nie robiąc z nawoływania: „Aneta! Aneta!”. Eryka została współniczką w tej tajemnicy i dziecko stało się dzieckiem. Z „Downa” stało się Anetą, więcej niż „Anetą” – Anetką. Kiedy zagrożenie minęło, a coraz bardziej zaniepokojony głos zniknął za murami stajni, Eryka podała dziewczynce rękę, pomagając jej wstać. Mała podeszła do siodła i zrobiła coś, na czym zawsze wstydziła się dać przyłapać Eryka – zaciągnęła się zapachem pasty do czyszczenia siodła, aż drgały jej nozdrza. Klepnęła Pioruna, chcąc się go chyba podtrzymać, ustąpił jej, choć wyraźnie już zniecierpliwiony wysoko postawił uszy. W szeroko otwartych drzwiach stajni, rozjaśnionych słońcem, Eryka dostrzegła kobiecą sylwetkę i przypomniała sobie, że to tamta, a nie ona przyprowadziła tu Anetę.

– Tutaj! – krzyknęła i wskazała na dziewczynę.

– No chodźże, dziecko, wszędzie cię szukam. Flaga już czeka, a ty tu pewnie pani siodło wachasz.

Eryka wyprowadziła Pioruna, dała sygnał Tomaszowi, że czeka na zewnątrz, i dosiadła konia. Żaden ruch nie sprawiał jej takiej przyjemności, jak swobodne kołysanie, napięcie mięśni ustępowało pod wpływem chodu wierzchowca. Piorun był partnerem zbyt wymagającym, by mogła mu pozwolić się nieść, dokąd zechce, dlatego przyglądała się z zazdrością Anecie, która objęła za szyję starą i pokorną Flagę i podskakiwała na oklep, kolebiąc się na boki, do przodu i do tyłu. A gdyby tak małą posadzić w siodle? Od razu zmieniłaby się w królową.

– Fajne dzieciaki, co? – usłyszała tuż przy uchu głos Tomasza. Rozgrzewał się w ten sposób, wychylając się do niej w niebezpiecznych, nieomal kaskaderskich akrobacjach.

– Fajne, fajne, wszyscy tak mówią, a nikt by takiego fajnego nie chciał – mruknęła tak, by nie zrozumiał. Milczał chwilę, ale w końcu przyznał:

– No dobra, ja bym nie chciał. Ja to nie nikt ani wszyscy. Ale można przecież wziąć zdrowe.

– Można czy możemy? – zdziwiła się Eryka. O czym on, do cholery, mówi? O adopcji psa? Szczeniak czy dorosły, mieszaniec czy rasowy, ze schroniska czy z hodowli?

– Można. Ogólnie mówię, że można – zaczął się wycofywać.

– W kosmos też już można polecieć, można zbadać DNA, nawet przeszczepić twarz. Dużo można, ale pewnych rzeczy robić nie należy. Na przykład pleść bez sensu.

Poirytowana spojrzała jeszcze raz w stronę Anety i wrócił do niej obraz spotkanego tu niedawno mężczyzny po urazie kończyn. To już nie było dziecko. Matka z pomocą dwóch innych osób próbowała go usadzić na koniu. Przykład ofiary z życia, do jakiej Eryka byłaby zdolna tylko dla kogoś z jej krwi.

Prowadziła Tomasz stałą trasą, aż dojechali nad brzeg Wisły. Jej mała Hiszpania. Jego mała Ukraina. Ich wielki wyścig, bo w czasie jazdy konnej ujawniały się porywcze charakterystyki obojga. Zawrócili w miejscu, gdzie Bug wpada do Wisły. I od nowa się rozpędzili, czując w uszach tylko szum, pod sobą uderzenia kopyt, a wewnątrz przetaczanie

krwi przez rozkołataną serce. Eryka tym razem walczyła o wysoką stawkę. Zwolniła na ostatniej prostej i dała się prześcignąć.

– Brawo, Strzała! Wygraliśmy! – Tomasz cieszył się jak młody rekrut po pierwszym celnym strzale. – Cholera! Opuścimy spotkanie – zaklął po chwili, wracając do rzeczywistości.

Rozłożyła bezradnie ręce, a z wysiłku i emocji drgały jej jeszcze uda.

– Opuścimy.

Pogratulowała sobie w duchu. Ona również wygrała.

Choć przed Bogiem stawali czasem w dużo gorszej kondycji, przed wspólnotą nie mogli sobie na to pozwolić. Na dobrą sprawę mieli jeszcze szansę zdążyć. Ale dłonie cuchnęły im końską sierścią, plecy potem, włosy, gęste u niego jak u mocno upierzonego kruka, a u niej puszyste jak wiewiórczy ogon, pozostawały w nieładzie. No i, co chyba w tym wszystkim najgorsze, Eryka zapomniała o spódnicy. Nie było w ich wspólnocie drugiej obdarzonej tak słabą pamięcią w tym względzie, na dodatek Erykę bawiły te pretensje, jakoby noszenie spodni nie przystało kobietom. „Niewiastom”, pokpiwała czasem w duchu.

– Co robimy? – spytała, gdy trzasnęły drzwiczki samochodu.

– Musimy udawać, że coś zatrzymało nas poza Warszawą.

Zachichotała jak psotna dziewczynka.

– Nie musimy udawać, przecież tak było.

– Pojedźmy na mszę do Milanówka – zaproponował.

– Eee... po co od razu na koniec świata?

– No chodź. Wtedy będziemy mogli powiedzieć, że odwiedziliśmy rodziców. W parafii matki zdążymy na osiemnastą.

Eryka nie przyznawała się, że najchętniej poszłaby do dominikanów. Lubiła ich słuchać, ale Tomasz nawet nie chciał o tym słyszeć. Wydawali mu się zbyt postępowi, za mało w Polskę wpatrzeni, za bardzo w człowieka. Gdyby jednak pojechali do matki teraz, wizyta nie trwałaby długo i mieliby ten przykry obowiązek na jakiś czas z głowy. To ją przekonało.

W drodze przysnęła. Obudził ją głos Tomasza.

– Tak, nie, no jasne... rozumiem... Wszystko gra... Dobrze, nie mogło być inaczej... Nie, skąd, nic się nie zmieniło... Punkt dwudziesta druga, jesteśmy umówieni.

Mrugnął do niej zadziornie i wzruszył ramionami, próbując się wytłumaczyć. Nie wiadomo, czy z tego, że ją obudził, czy może z tego, że znowu nie używa zestawu głośnomówiącego.

– Już prawie jesteśmy – powiedział.

– Bajtak dzwonił?

– Skąd wiesz?

– Tylko dla niego łamiesz przepisy.

– Musiałem się z nim umówić. Pojedziemy naszym peugeotem, dasz radę parę dni bez

samochoду?

– Jasne, mnie przecież będzie łatwiej dostać się autobusem niż Elżbiecie z dziećmiakami – zauważyła z przekąsem.

– To samo powiedział. Słysząc go było?

– Już mnie wcześniej uraczył tą złotą myślą. Pieklił się, że nie dotarliśmy?

– A wiesz, że nie.

– Sam chce być w tym roku Chrystusem – orzekła bez wahania.

– Tak – potwierdził Tomasz i przyjrzał się Eryce. – Gdybyście grali w tej samej drużynie, bylibyście nie do pokonania. Ale nie życzyłbym nikomu stanąć między wami.

Przyspieszył na skrzyżowaniu na żółtym.

– Prosisz się o mandat – zrugła go, choć ten dziwny komplement sprawił jej przyjemność.

– Ale ty mi krzywdy nie zrobisz, co? Ty mnie trochę kochasz, Wiewióra? – dopytywał Tomasz.

Eryka wiedziała, że jest zadowolony. Za sprawą jednej przejażdżki dała mu potwierdzić swoją przewagę w jeździectwie, uwolniła od bycia Chrystusem i zorganizowała obiad, bo matka, nawet nieuprzedzona, zawsze trzymała jakieś smakołyki dla zięcia. Sama pozytywnie naładowana endorfinami wzięła głęboki oddech i zanuciła w stylu gospel:

– *Jesus loves you. Oh yeeeeeeee!*

Świetny nastrój zastąpiony został przez sztywnienie w karku, gdy tylko dojechali do Milanówka. Eryka zauważyła, że światło pali się zarówno na parterze, jak i na piętrze. Zerknęła na zegarek. Kwadrans po szesnastej. To znaczy, że czeka ją półtorej godziny udręki. Czy uda jej się uniknąć pretensji? Dobrze знаła schemat odwiedzin i nawet niespodziewane najście nie mogło zmienić ich przebiegu. Okna na piętrze były uchylone.

– Zastaliśmy ich oboje – zauważył Tomasz.

– Nie wiadomo, mogła zostawić otwarte okna i wyjść.

– Przecież ona się boi złodziei.

– Dlatego zostawia włączone światło. Dla zmyłki. Chociaż chyba jest. – Zanim Eryka zdążyła wcisnąć dzwonek, usłyszała dźwięk przekręcane go klucza.

– No proszę. Pomyślałabym, że wpadliście z niedzielną wizytą, ale wyglądacie tak, jakby wóz się wam zepsuł, a cuchniecie tak, jakby trzeba go było końmi ciągnąć.

Tomasz uściskał teściową.

– U mamy jak zwykle węch i wzrok niezawodne.

– Człowiek nabiera pewnych zdolności, jak ciągle siedzi na bombie. Mówię wam, że profesorek kiedyś wysadzi całą ulicę w powietrze. Czujecie gaz?

– Mamo, przecież gaz jest bezwonny – odezwała się Eryka do pleców matki, bo ta przeszła już w głąb mieszkania, prowadzona pod rękę przez Tomasza.

– No, mówię właśnie. Bezwonny, dlatego trzeba zachować czujność.

Zbyt rzadko bywała u matki. Mało też rozmawiała przez telefon. Nawet darmowe minuty ich nie zachęcały, skoro nie było o czym. Stroicka działała na rzecz lokalnej parafii, od kiedy Eryka sięgała pamięcią. Początkowo miało to charakter niepodległościowy, antykomunistyczny. Komunista był gorszy od diabła, przeciwko niemu zawiązać mogła sojusz z samym kusym, trudno się więc dziwić, że zbliżyła się do dzielającego jej

patriotyczne przekonania protestanta. W wolnej Polsce zabrakło jej wroga, z pomocą przyszedł nie Kościół, lecz religia. Wymagała od męża, by stał się kimś innym, ale po '89 dostała prawdziwej obsesji na punkcie życzenia, którego nie był w stanie spełnić – chciała, by z wyznania protestanckiego przeszedł na katolicyzm. Z „nawrócenia” go uczyniła swoją życiową misję. Z góry skazaną na porażkę, bo ewangelik wychowany w umiarkowaniu realizował się w nauce. Paradoksalnie, jak to często bywa, konflikt z żoną pomógł mu przyjąć radykalne stanowisko i rozbudził religijne zaangażowanie, które w czasach wczesnego dzieciństwa Eryki ograniczało się do kreślenia znaku krzyża przed podróżą i krótkiej formułki przed posiłkiem. Atakowany, bronił się. Szukając argumentów, utwierdzał się w przekonaniu, że z polskim ludowym katolicyzmem, z Matką Boską i świętymi jak pigułki na każdą przypadłość jest mu nie po drodze.

Nie pojmował, co się dzieje. Nie zauważył, jak frustrujące stały się dla jego małżonki teologiczne dysputy. Im mniej z nich rozumiała, im bardziej nie umiała mu dorównać, tym silniejsze przypuszczała ataki, uprzykrzając mu życie na każdym kroku. W chwilach autorefleksji kajał się, że nie myje po sobie kubków albo zostawia pod poduszką zużyte chusteczki higieniczne, lecz czara goryczy przelała się, gdy zapowiedział, że gotów jest się z tego wypowiadać. W spowiedzi powszechniej, oczywiście. Kiedy podejmowane przez małżonkę, ocierające się o szantaż wysiłki ewangelizacyjne spełzły na niczym, zupełnie nie po katolicku wniosła pozew o rozwód. Tylko ksiądz ją poparł. Za jego namową, a może z podszeptu diabła, wniosowała o anulowanie małżeństwa. Skutecznie. Choć ślubnego nazwiska nie zmieniła. Za dużo zachodu. Eryka oficjalnie została dzieckiem małżeństwa, którego nie było, co czyniło ją wyjątkowo nieszczęśliwym okazem nawet na tle całej galerii samotnych dzieci, poczętych w związkach, do jakich dojść nie powinno. Mimo że cały czas czuła się pionkiem w grze, starała się utrzymywać poprawne stosunki z obojgiem rodziców i nigdy, choć zapytana zapierałaby się rękami i nogami, że to nieprawda, nie pozbyła się tęsknoty za matką. Matką z bajek, troskliwą i ciepłą, co to po głowie pogłaszcze, warkoczyki uplecie, przygotuje ciasto, włoży do kieszonki ulepionego z kasztanów ludzika.

Gdy dorastała, potrzebowała matki-przyjaciółki, ale kto mógłby zaprzyjaźnić się z potworem, który wybudza córkę ze snu, by odpytać ją z katechizmu? Podejmowane w dorosłości próby przypominać by mogły postronnym rezygnację. Eryka wyrzucała sobie, że zaniedbuje matkę. Niepotrzebnie. Sama Stroicka nigdy nie miała o to pretensji. Nie uważała bowiem, by w życiu Eryki mogło dziać się cokolwiek, co dałoby się porównać z wagą duchowej adopcji, całonocną adoracją Najświętszego Sakramentu albo chorobami i innymi wypadkami życiowymi, dotyczącymi obcych jej ludzi, których gorliwie polecała boskiej opiece. Czasem, powodowana rodzicielskimi zobowiązaniami, przyglądała się córce badawczo, aż Eryka topiła się w mgle jej niepokoju. Pytała wtedy siebie: Czym zawiniłam, że tak na mnie patrzy? Czy kołnierzyk wymięty? Bluzka upaprana czekoladą? Czy nie popuściłam w zabawie? Ale nieee... to byłoby zbyt prostackie. Stroicka tropiła plamy na duszy. Uspokajał ją tylko fakt, że jej zięciem jest Papicki. Tym samym Eryka, poślubiając Tomasza, przypieczętowała związek z matką. Co z tego, że toksyczny? Czyż nie takie bywają najtrwalsze?

Kiedy weszła do mieszkania boso, od razu została skarcona, że ma włożyć kapcie.

Surowy palec matki wskazał tradycyjnie na skrzynię z miękkim siedziskiem, w której trzymała chodaki. Matka sprytnie to sobie wymyśliła. Dwa w jednym – dziecko od razu spokojnie, jak mu stopy obtłucze twarde drewno, a przy okazji jeszcze nastuka ojcu.

Tomasz chciał zrobić herbatę, ale teściowa nie dała mu nawet dotknąć czajnika. Wstawiła wodę, po czym rozsiadła się wygodnie na fotelu, wyjątkowo pozwalając Tomaszowi podsunąć sobie podnóżek.

– Marysiu, Tomasz pije czarną, ja poproszę zieloną. I chleb przynieś ze stołu.

Eryka powędrowała do kuchni niczym Kopciuszek. Nic nie mogło się zmienić. Matka przestanie nazywać ją „Marysią, Marynią, Manią” dopiero po swojej śmierci. Chyba że urodzi jej się wnuczka. Wówczas z dużym prawdopodobieństwem to ją obciąży tym absurdalnym zaklęciem. Eryka miała być Marią, ale zaprotestowała protestancka babcia, która na łożu śmierci wymogła na synu, by w urzędzie zarejestrował pierworodną wnuczkę jako Erykę, a na drugie pozwoliła jej dać nawet Marian. Stroicki najpierw się upił, zapewniając sobie usprawiedliwienie, a potem plan zrealizował. Matka całe życie czarowała rzeczywistość, używając boskiego imienia, przypisując mu cud nawrócenia córki z drogi kariery naukowej, która śladami ojca doprowadziłaby dziewczynę do psychicznego skrzywienia, każącego wierzyć, że dobro i zło mają prawo istnieć poza katolickim odczytaniem dekalogu.

Eryka podając herbatę, starała się unosić nad podłogą. Cała nadzieja w tym, że ojciec siedzi w swoim gabinecie, jak zwykle ze słuchawkami na uszach, w świetle Mozarta. Matka poderwała się, tupiąc złośliwie.

– Mówiłam, chleb zrób. Taki z jabłkami, watykański, co życzenia spełnia. O, tu masz przepis, do portfela ci wkładam. – Stroicka bez żenady grzebała córce w torebce. – I zaczyn masz w słoiku, ale w ciągu tygodnia trzeba wykorzystać. Inaczej grzech śmiertelny. Tomaszku, przypilnuj jej. Już dawno przestałam słodzić – dodała matka, widząc, że Eryka sięga po cukiernicę.

– A ja nie.

– Cukier to biała śmierć.

– Wszystko jest dla ludzi.

– No właśnie. Tak kusy ludzi podpuszcza, żeby sobie szkodzili. A ja powiadam wam, świeże powietrze i brak cukru przedłużają...

– Ojciec jest? – przerwała matce Eryka. Znowu zaschło jej w gardle. Musi wyjść, zanim dopadną ją dreszcze i duszności, których doświadcza tylko w tym miejscu, jakby podłogi były wyłożone nagrobnymi płytami, a ściany azbestem.

– Ukrywa się. Siedzi i majstruje coś przy gazie. Zobacz, tymi rurami mnie podtruwa. Jak przyłożysz tam kawałek papieru, to drga.

Eryka westchnęła ciężko na widok wiklinowego koszyka pełnego pociętych pasków bibuły i zwróciła się do męża:

– Zaraz wrócę. Zajrzę tylko, czy wszystko w porządku.

U ojca drzwi były otwarte całymi dniami i nocami, nie obawiał się żadnych złodziei.

Siedział pochylony nad pustym talerzem. Talerz mógł stać na stole od tygodnia, jak i od godziny. Na profesorze jego widok nie robił większego wrażenia niż truchła much zasuszone między brudnymi oknami. Mrużył oczy, wpatrując się w gazetę.

– Cześć. – Eryka chrząknęła.

Podniósł wzrok znad dziennika i odgarnął ręką spadającą na oczy czuprynę. Rudawą, jak u jego córki. Uśmiechnął się życzliwie i zmienił okulary na inne.

– Erysia moja. Dawno nie zaglądałaś.

– Przecież wiesz, że daleko mieszkam.

– Chyba częściej z Paryża przyjeżdżałaś.

Eryce zrobiło się duszno w tym ciemnym mieszkaniu z zamkniętymi oknami, przypominającymi piwniczne lufciki. Znowu poczuła, że świat jej dzieciństwa rozpadł się na kawałki. Matka oszalała, a ojciec od zawsze był dziwakiem. Wciąż nie stracił ogromnego brzucha, na którym opierała się niczym na miękkiej poduszce, kiedy w tajemnicy przed matką zjeżdżali na sankach z wyjątkowo wysokich jak na nizinę gór. Nie było wtedy telefonów komórkowych, wymówki współczesnych tatusiów, którzy na placach zabaw powierzają opiekę nad swoimi dziećmi innym matkom. Zawsze znajdzie się jakaś gorliwa strażniczka bezpieczeństwa, która będzie nad sierotką czuwać, żeby nie wsadziła głowy do piasku, gdy tata zanurzy się w internecie. Tak, dawniej nie było komórek, ale – na nieszczęście Eryki – były książki. Bernard Stroicki wszędzie targał ze sobą plecak wypchany woluminami, które musiał koniecznie zrecenzować. Rozkładał je wokół siebie z takim zaangażowaniem, z jakim matki na skraju ławki i załamania nerwowego wpychały w swoje dzieci kolejne porcje warzywnych papek. W Erykę też. Nigdy nie marudziła. Nawet przetykać nauczyła się cicho, żeby go nie rozpraszać. Pracując nad habilitacją, w ogóle nie wystawiał nosa z biblioteki, a po uzyskaniu profesury zauważył ze zdumieniem, że jego mała córeczka dorosła.

– Herbaty? – zaproponował ochrypłym głosem.

– Chętnie. Przeziębileś się? – Zdziwiła się, że ją to zaniepokoiło.

– E, takie tam, drapanie w gardle. Nawilżymy i będzie dobrze. Jak w pracy? – Ojciec postawił przed nią kubek z wyszczerbionym uchem. – Jesteś zadowolona?

– Tak sobie. Dzieciaki są w porządku, z dorosłymi ciężko wytrzymać. Czytałam ostatnio o twoich badaniach.

– To jeszcze ktoś mnie cytuje? Myślałem, że odkąd zostałem biegłym sądowym, słuchają mnie tylko protokolantki – ucieszył się szczerze Stroicki. – Które badania?

– Omówienia sądowe. Te o rolach, jakie przyjmują dzieci w skonfliktowanych rodzinach, czy coś – dodała, jakby chciała uciąć temat.

Sama mogłaby stanowić niezły przypadek do analizy. Dorosłe Dziecko Skłóconych Rodziców. Czy już ktoś opracował taki syndrom? Może powinna się tym zająć – doktoratem, w który zapadnie się tak głęboko, jak jej matka uciekła w religię.

W kompletnej ciszy słyszała stukanie chodaków. Najwyraźniej Stroicka przeszła do kuchni podgrzać obiad. Prawdopodobnie jak tylko Eryka opuściła pokój, dosypała sobie do herbaty dwie małe łyżeczki cukru. Zawsze tak robiła, co z pewnymi oporami potwierdził Tomasz, broniąc teściowej, która jakoby chciała pokazać córce właściwy wzorzec postępowania.

– A może ty głodna jesteś? Mam pomidorówkę.

– Umieram z głodu. Byliśmy w stadninie. Pomóc ci?

Pokręcił przecząco głową, wyglądał na zadowolonego, że może coś dla niej zrobić.

– A jak ten twój koń, Wicher czy Wiatr, jeździsz jeszcze na nim? – dopytywał z kuchni. Czasem podejrzewała, że ojciec po jej wizytach sporządzał notatki, tak dobrze pamiętał ich rozmowy. Gdyby był taki wtedy, gdy jako mała dziewczynka chowana na chwałę Boga i swojej matki potrzebowała go najbardziej...

– Nie. Właściciel go przeniósł gdzie indziej.

Dopiła herbatę, wzięła ze stołu talerz, zdecydowanie nie po pomidorówce i zdecydowanie nieświeży, i powędrowała do kuchni. Jej wzrok padł na rurki od gazu, ale się powstrzymała, by nie wspomnieć o obsesjach matki. Zdrowe żywienie w połączeniu z lękiem przed śmiercią.

– Teraz jest Piorun.

– Piorun? Też nieźle. Opowiedz mi o nim.

Ojciec mało się odzywał, ale słuchał uważnie. Na koniec, zdziwiona tym, że rozmowa sprawia jej przyjemność, i tym, jak bliski był jej przez chwilę, spytała:

– Potrzebujesz czegoś...? – Nie dodała „tato”.

Żachnął się.

– Ja? Nie, skąd. Ale do ciotki Matyldy mogłabyś się czasami odezwać.

– Narzeka, że do niej nie piszę?

– Brakuje jej ciebie. Po zawale mieszkanie chciała ci zostawić. Postanowiła żyć tak długo, aż zmądrzejesz. To jej słowa, nie ma co się najeżać. Mogłabyś się do niej czasem odezwać. Zainteresowanie bliskiej osoby to najlepsze lekarstwo na choroby.

– Muszę lecieć na mszę.

– Matka nigdy ci nie odpuści! Jeszcze zanim się urodziłaś, miała na ciebie gotowy pomysł – prychnął.

Eryka nie odpowiedziała. Wychowanie córki pani Stroicka przekazała z ulgą Tomaszowi.

Teraz nie musiała już jej formować, zaprzętać sobie nią głowy. Obawiać się skandalu albo potępienia. Wystarczyło, że dba o zięcia. To na nim spoczywał obowiązek ujarznienia niesfornej jak jej rude włosy żony, pomyślała z goryczą Eryka.

A jednak się pomyliła. W salonie czekały na nią równo rozłożone na kanapie ubrania. Spódnice, jedna identyczna jak druga, wszystkie czarne, długie i zbyt szerokie.

– Wybierz którąś – mruknęła matka. – Nie pójdziesz do Domu Bożego ubrana jak świniopas.

Kiedy Tomasz zamknął za sobą drzwi, zapadła się w wielki, zajmujący pół ciasnej sypialni fotel. Nawet w słabo oświetlonym mieszkaniu jedno widziała wyraźnie – chciała mieszkać inaczej. Przeglądała „Werandę” i wyobrażała sobie, jak mały balkon zmienia się w częściowo oszkloną oranżerię. Po rozsunięciu szyb z okien rozpościerałby się widok na łąki pokryte kępkami kolorowych traw i kwiatów. Z rzadka człowiek przecinałby teren, przechodząc wydeptaną przez nielicznych spacerowiczów dróżką. Kiedy padałby deszcz,

niebo byłoby ciasno zasłane chmurami. Eryka zasuwałaby wtedy szyby i siedząc wśród tropikalnych roślin, kaktusów i palm, cieszyła się, że donikąd nie musi już iść, ponieważ jest u siebie. Tymczasem rzeczywistość dotkliwie rozmijała się z marzeniami. Nie dość, że balkonu nie można było zabudować – sąsiedzi robili to nielegalnie, Papiccy jako jedyni poprosili o zgodę, której naturalnie im odmówiono – to jeszcze zmieściła się na nim ledwo donica z aloesem, który szybko usechł.

Na placu przed domem najmocniej rzucającym się w oczy elementem architektury była altanka. Śmietnikowa. Postawiono ją centralnie tylko po to, żeby w tym miejscu nie urządzić placu zabaw, o jaki upominali się lokatorzy z dziećmi. Sprzeciw osób starszych był tak ogromny, że woleli wdychać smród wyrzuconych odpadków. Eryka w głębi serca wówczas się z nimi zgadzała. Nie miała nic przeciwko dzieciom pod oknem, o wiele bardziej obawiała się ich matek, rozjeżdżających wózkami-czołgami trawniki i stopy sąsiadom.

Otoczenie boleśnie drwiło z pragnień, ale i w mieszkaniu Eryka musiała pójść na kompromis z życiem. Sama była minimalistką. Wystarczały jej kwiaty, szczególnie ukochane tulipany, parę książek, które najchętniej puszczałaby nieustannie w obieg i wymieniała na nowe tytuły, jasna i czysta podłoga, na której można rozłożyć matę do jogi. Małżeńskie łóżko i jedna szafa z przesuwanymi drzwiami, kryjącymi cały bałagan, dopełniłyby całości. Jej mąż był dla odmiany typem antykwariusza-kolekcjonera. Zbierał nie tylko stare meble – do tego zdążyła przywyknąć. Zamiast położyć płytki w łazience, zajmował się dekoracją wnętrza – a to przytargał jakąś komodę, a to fotel, a to obraz, kleił stare wazoniki i obwieszał ściany kilimami niewiadomego pochodzenia. Do rozpaczki doprowadzało Erykę jego zamiłowanie do przechowywania paragonów w kartonach po butach, starych biletów w puszkach po pierniczkach, pocztówki trzymał pospinałe gumkami, a coraz to nowe półki zarastały segregatorami, w które upychał gazetowe wycinki. Segregatory, najczęściej czarne, z czasem zaczęły przypominać archiwum domu pogrzebowego. Zawarli niepisaną umowę, że Tomasz pewnego dnia, jak już spłaca kredyt, bo w życiu należy kierować się rozsądkiem, a rozrzutność to grzech, sprawi im tę przesuwaną szafę na najdłuższej ścianie salonu i tam, za fototapetą ze zdjęciem ukwieconych łąk, pochowa wszystkie szpargały. Z czasem Eryka wymyśliła bardziej prozaiczne rozwiązanie i realizowała pomysł z przebiegłością lisa oraz konsekwencją żuka gnojownika. Sprzyjały temu właśnie wyjazdy Tomasza.

Mimo późnej pory zwlekła się z fotela, wyjęła z szafy dużą torbę i spakowała do niej zalegające w łazience stare gazety, do których nigdy nie zaglądała. Były to prawicowe dzienniki, zawsze z numerem wydania niższym niż dziesięć, co w Eryce budziło wątpliwości. Czy tak szybko padają, czy też nowe mnożą się w takim tempie? Nawet ich nie przeglądała, wystarczyły jej strony tytułowe. Choć śmiało szafowały boskim wsparciem, nawet matka Eryki by się zgodziła, że mniej było w nich Boga niż w pismach Lutra. Eryka przejrzała też gazetnik, do którego wrzucali z Tomaszem pocztę. Pięć listów od ciotki Matyldy tylko z ostatniego miesiąca. Niepokojące. Albo pogorszyło jej się zdrowie, albo szaleństwo grozi w tej rodzinie po mieczu i po kądzieli. Pobieźnie przejrzała treść. Matylda pisała o niczym. Czyli o pogodzie, zatruwających pieszym życie kierowcach i polityce. Nigdy o sobie. Częściej o Eryce. Że pokój na nią czeka, że pozdrawia ją Tarub,

wesoła Tunezyjka z piekarni, że handlarze pod wieżą Eiffla przekroczyli już granice dobrego smaku, ale wciąż można u nich dostać dobrze wypieczone kasztany. To była jej przeszłość, którą Matylda bezskutecznie próbowała zaczarować w czas przyszły. Eryka nie przyznała się Tomaszowi, że wszystkie listy ciotki skrzętnie przechowywała jego sposobem w pudełku po butach. A właściwie – z butami. Na ściśniętym gumkami pliku korespondencji układała nabożnie szpilki z czerwonymi podeszwami.

Na stertę przeznaczoną do wyrzucenia powędrowały też kolejne zaproszenia na pielgrzymki z obowiązkowym postojem i prezentacją wszelkiej maści uzdrawiających specyfików, leczniczej pościeli albo elektrycznych kapci. Ulotki zachęcające do zakupu leków przyrządzanych według klasztornych receptur, no i – oczywiście – zaproszenia na spotkania z różnymi stowarzyszeniami i fundacjami, które zajmowały się debatami nad ocaleniem kraju. Nie do końca wiadomo przed czym. Te Eryka czasem przeglądała, z rosnącym niepokojem. Musiała zostawić choć kilka z nich, w przeciwnym razie Tomasz gotów byłby sam wyszukać informacje. Na zebraniach zawsze był witany z szacunkiem, jak na byłego radnego Młodzieży Wszechpolskiej przystało. Mimo że nie skończył studiów, uchodził wśród swoich za intelektualistę. Doradzał lektury, z jakimi powinni się zapoznać prawdziwi patrioci, a czasem uczestniczył w zebraniach koła, by przysłuchiwać się referatom, nierzadko zaskakująco zgrabnie opracowanym, choć według szkolnych schematów, innym razem żenująco prostackim.

Zdziwiła się, że jedno z zaproszeń zaadresowano na jej nazwisko. Dotyczyło rekolekcji dla nauczycieli. Nie zamierzała na nie pójść. Bez skrupułów wywaliła też zrobione dziecięcą ręką zaproszenie do wspólnego odbycia drogi krzyżowej w domu osoby, nazwisko której nic jej nie mówiło. Po wstępnej selekcji wypchana po brzegi torba czekała przy drzwiach na opróżnienie, a mieszkanie stało się ciut przytulniejsze. Eryka zanurzyła obolałe po wysiłku jeździeckim ciało w wannie z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku tajnego agenta działającego wbrew władzom swojego państwa, lecz dla jego dobra. Woda opływała ją zewsząd jak nagła tęsknota za Tomaszem. Wróci, pomyślała. Wróci i znowu nabałagani.

A jednak ukłuła ją świadomość, że wolno jej więcej. Więcej nalać wody. Dłużej zajmować łazienkę. Głośniej puścić radio. Zostawić na domagających się płytek ścianach odbicie mokrych stóp. Bez lęku, że w ich miejscu wyrośnie zaraz straszny, rakotwórczy grzyb. Raczej z dreszczykiem odkrywcy – czy wyrośnie i jaki.

Sięgnęła po telefon i wybrała długi francuski numer. Szybko się rozłączyła; to nie świadczy o dobrym wychowaniu – budzić w nocy staruszki. Zobaczyła Matyldę, jak po ciemku szuka włącznika lampy u wezglowia łóżka, potem kapci pod nim, jak stawiając małe kroczki, idzie do telefonu, który zwyczajem arystokracji trzyma w przedpokoju. Przedpokoju wielkości jej sypialni. A gdy dosięga słuchawki i słyszy w niej tylko głuchy sygnał, klnie pod nosem „*merde*, psiamać”.

Eryka wysłała esemesa do Aśki: „Możesz jutro? Nie ma go do wtorku”. Przyjaciółka odpisała od razu, jakby telefon był jej czwartym dzieckiem, które zawsze musi mieć na oku: „Właśnie o tobie myślę. Telepatia! Mam kłopot. Nie dzwoń. Jerzyk ząbkuje, Kaśka ma gorączkę, a Antek rzyga. Jutro”.

ROZDZIAŁ 5

Upchnęła śmieci jak najgłębiej, by nawet maleńki fragment papieru nie wystawał poza kontener. Droga do szkoły zajmowała jej pół godziny. Wstała wcześniej, by przespacerować się spokojnym tempem. Lubiła poniedziałki, może dlatego że z początkiem tygodnia najbardziej lubiła swoją pracę. Osiągała w szkole sukcesy, ale często brakowało jej pewności siebie, żeby przeciwstawić się dyrektorce. Chociażby sprawa interdyscyplinarnego zespołu, który miał się zebrać już za cztery dni. Eryka czuła, że zaciska się na niej supeł mocny jak pętla skazańca.

Skrycie marzyła, żeby zrobić doktorat, ale obawiała się krytyki ze strony matki oraz obciążonej nadmiernymi oczekiwaniami zachęty ze strony ojca. Spodziewała się też wyrzutów Tomasza, którego w swoim czasie tak zaabsorbowały obowiązki radnego, że do tej pory nie skończył architektury.

Zobaczyła kościół i postanowiła zajść na chwilę pod ulubiony obraz Matki Bożej Rozsupłującej Wężły. Maryja z łagodnym wyrazem twarzy cierpliwie rozwiązywała ludzkie problemy. Może rozluźni także jej pętlę. Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Ojciec zawsze jej powtarzał, że Bóg jest wszędzie. Matka postępowała tak, jakby to ksiądz był Bogiem. Eryka dawno przestała słuchać obojga i pozwoliła prowadzić się za rękę Tomaszowi.

Planując w kalendarzu dzień, zarezerwowała czas, by zapoznać się z materiałami od Izki. Rzadko zaglądała do szuflady w biurku, jeszcze rzadziej do leżącej w niej Biblii. Nie to co dawniej, kiedy w Piśmie szukała wskazówek na życiowych rozstajach. Czytała wtedy przypadkowy fragment. Potem porównywała fragmenty przekładów – Biblii Tysiąclecia i „Brytyjki”. To ją zniechęciło do studiów. Przekartkowała księgę i zatrzymała wzrok na wersecie psalmu: „Wszyscy odstąpili, wespół się splugawili. Nie ma, kto by dobrze czynił, nie ma ani jednego”. Poirytowana z trzaskiem zasunęła szufladę. Kto to widział, niby słowa boskie, a brzmi to jak hip-hopowy słam.

Przyjrzała się testom gotowości szkolnej, jakie dostała od Izki, oczywiście z przypomnieniem o piątkowym zebraniu. Wydrukowała je i wpisała fikcyjną ekspertyzę. Wymagania wobec uczniów wydały jej się zaniżone, zdziwiło ją, że mimo tego wielu rodziców godzi się, by ujmować zdolności ich dzieciom. Nie odróżnia prawej strony od lewej, nie zna dni tygodnia, nie umie wiązać sznurówek, nie radzi sobie z trzymaniem nożyczek. Opisany chłopiec był dzieckiem tak głęboko zapóźnionym, że według wszelkich reguł powinna zaproponować jego rodzicom pomoc w wyrównaniu tych deficytów. Nie było to jednak konieczne. Antoni z jej ekspertyzy nie istniał. Tylko dane wpisze prawdziwe i gotowe. Reforma szkolna została wprowadzona na łapu-capu, sprzeciw rodziców dodatkowo hamował adaptację dzieci, co obserwowała w tym roku na własne oczy. Jeśli

Agnieszka sądzi, że Antos powinien zostać jeszcze rok w przedszkolu, nie zawaha się przed oszustwem. Eryka próbowała pozbyć się poczucia winy z powodu własnego w nim udziału.

Teczkę z materiałami na piątkowe zebranie spakowała do torby i zajęła się przeglądaniem dzienników ocen. Robiła to na wyraźną prośbę dyrektorki, wbrew woli kadry nauczycielskiej, która – choć oficjalnie nie została poinformowana – w zawołowany, lecz czytelny sposób wypominała jej inwigilację. Eryka nie wiedząc, czego szuka, zawsze potrafiła coś znaleźć. Najprostsze do namierzenia były wagary. W przerwie odpaliła komputer, odebrała mejla od Aśki. Umówiły się na spacer. Potem zajrzała na forum, na którym udzielał się Tomasz. Nie spodziewała się go zastać, ale raz na jakiś czas śledziła jego wpisy. Jedyne bezpieczny sposób poznania mężowskich poglądów. Kiedy nie mogła przejść obok nich obojętnie, ani jako kobieta, ani jako chrześcijanka, logowała się pod anonimowym nickiem Prawdziwa_ryba i wchodziła z mężem w polemikę. Nigdy nie przyznała, ani przed sobą, ani przed nim, że było to jedyne miejsce, w którym otwarcie dzieliła się z nim swoimi wątpliwościami.

Jej przewidywania okazały się słuszne. Od razu po przyjeździe do hotelu zabrał głos w dyskusji na temat zbliżającej się rocznicy katastrofy smoleńskiej, zdrowej diety bez pszenicy oraz in vitro. Nie ma sensu poruszanie tego tematu, powtarzała sobie w myślach, niestety palce były szybsze niż głowa. Złośliwa riposta, że Bóg protestantów na in vitro zezwala, nie mogła pozostać bez odpowiedzi. Jadowici rozmówcy przypomnieli jej, że forum jest katolickie. Zepsuło jej to humor. Czy już zawsze będzie się odnosić do protestantyzmu? Ślub brała przecież katolicki. A nie mówił jej ksiądz na kazaniu, że ma być żoną posłuszną mężowi? Tak sobie skomplikuje małżeństwo, że nawet Matka Boska przy otwartych na oścież wrotach kościoła jej nie pomoże. Ktoś dopisał, że ryby głosu nie mają. Wylogowała się wraz z dzwonkiem na przerwę i ruszyła na dyżur na swoim piętrze.

Sprawa męczyła ją na tyle, że w domu, czekając na Aśkę, ponownie włączyła komputer. Tomasz bezlitośnie szydził z jej poglądów. Wyzwał Prawdziwą_rybę od trolli i feminazistek.

A potem zadzwonił na Skypie. Czują i dowcipny, zadowolony ze swoich ripost. Czują się jak nakłuta armią igieł laleczka wudu, którą ktoś próbuje na odległość przytulić po przebicciu jej ostrzami na wskroś. Podzielona na dwie połówki samej siebie, ledwo trzymając się pionu, z przerażeniem obserwowała jego dobre samopoczucie, drwiący półuśmieszek, dyskretne odświeżanie forum na ekranie komputera.

„Morderstwo w białych rękawiczkach”, „zabawa w Pana Boga”, „egoizm producentów wyrobów dzieciopodobnych” to najłagodniejsze z określeń, jakich użył.

Pozbawił ją złudzeń, że może i dla nich istnieje szansa na pachnącego mlekiem różowego bobasa. Po raz kolejny.

Nie pozostawało jej nic innego, jak nigdy więcej nie poruszać tego tematu.

To nie było dobre.

To nie było właściwe.

To nie było zdrowe.

A jednak nie mogła się powstrzymać. Jeszcze jedno podejście. Ostatnia próba. Pisała od początku całe elaboraty, tłumaczyła się ze swojej winy, z tego, że nie uniesie już dłużej

cierpienia, pustki, która jak chmura – zamiast deszczu pełna miesięcznej krwi – ciąży na jej brzuchu. Potem usuwała wpisy. Po kwadransie skasowała konto. Prawdziwa_ryba zniknęła z forum. Eryka została pod znaną mężowi tożsamością. Pełna obaw. Nie tyle nawet o poglądy Tomasza, co o własne. Pojawił się niepokój, kim faktycznie jest – feministyczną zdziwą, jak określił ją własny mąż, czy katolickim betonem, jak zarzuciła jej niegdyś Kostecka, najlepsza przyjaciółka z liceum, z czasów, kiedy wierzyła, że zamiast w katolickim getcie w Marysinie wylądować w dyplomacji. Czuła potrzebę, by ustalić to raz na zawsze i ogłosić wszystkim jak prawdę objawioną. Pozbyć się wątpliwości, odzyskać spokój ducha, który ten w sumie niewinny incydent – obyło się przecież bez większych wyzwisk i obelg – naruszył. Do głosu doszły wyrzuty sumienia, wspomnienie początku studiów, gdy zajmowała się głównie piciem wina na cmentarzu Père Lachaise z tymi, którzy złamali wszelkie tabu i opluli wszystkie świętości. I ona pluć na odległość, ale trafiała celnie. W matkę dźwigającą krzyż. Jej własną. Bunt nie trwał długo, ale tak do towarzystwa, jak i do samej siebie, która brała w tym cyrku udział, zachowała dozę ciepłej wyrozumiałości. Nawet jeśli w tamtym czasie popełniła błędy, o które nikt jej nie podejrzewał.

Rozmowę z Tomaszem szybko zakończyła. Sprzyjały temu usterki techniczne, w pewnym momencie szumy i trzaski zakłóciły odbiór. Widziała, jak porusza ustami, i po raz kolejny pomyślała, że wcale nie ma ochoty go słuchać. Posłała mu w emotikonach serduszka i uściski. Odebrała kwiatki, które na monitorze z pąków rozwijały się w róże, i z ulgą się rozłączyła.

W tym stanie ducha wylogowała się ze Skype'a i włączyła Facebooka. Pod pozorem odświeżenia francuskiego weszła do grupy starych rozpuśników z Sorbony. Ledwo jednak zamieściła parę postów, znowu zadzwonił Tomasz, tym razem na komórkę, dopytując, o czym pisała. Pożałowała, że grupa ma status otwartej i nie da się w niej anonimowo schować. Zaraz potem dopadł ją wstyd, gdyż po dokładniejszym przejrzaniu wpisów francuskich znajomych po raz kolejny się przekonała, że więcej ją z nimi dzieli, niż łączy.

– Czytasz? – podpuszczał ją Tomasz nieco żartobliwie. – *Czerwone korale*? Przyznaj się, przyniosłaś ze szkoły? Znowu jakaś historia o starej Żydówce?

Uwaga Tomasza dziwnym trafem kolejny raz okazała się zgodna z prawdą. Wzięła z biblioteki *Czerwone korale*. I zamierzała przeczytać je od deski do deski.

– Ty to się musisz tam nudzić – odpowiedziała nieco urażona.

– Nie narzekam na nudę, a ty co robisz?

– Aśka jest u mnie – skłamała, aby szybko zakończyć rozmowę.

– O! To pewnie po mnie posprzątałaś – zakpił w swoim stylu. – Nie wtrącam się w twoje przyjaźnie, ale z Aśką to bym uważał.

– No, a ja z Bajtakiem w jednym pokoju bym na noc nie została.

– Słusznie, kochanie, słusznie. – Rozłączył się.

Tymczasem propozycję Aśki, żeby na bieganie spotkały się na parkingu przy lesie, przyjęła z entuzjazmem. Aśka dopiero wracała do treningów po urodzeniu trzeciego

dziecka, które ledwo skończyło czwarty miesiąc. Eryka nie biegała zimą, bo nie lubi marznąć. Śniegu nie lubi, ale skoro ta wiosna taka nierychliwa, trzeba udawać, że już jest.

Ledwo okrążyła blok, by skręcić w kierunku Lasów Wawerskich, a już zabrakło jej tchu. Nie należała jednak do tych, którzy łatwo się poddają. Przebiegła trzy maratony i zdążyła się upewnić, że moc tkwi w głowie. Od tego przekonania zależy, jak szybko, a czasem – czy w ogóle – osiągnie cel. Założyła sobie teraz, że mają dobiec tylko do pierwszej tablicy informacyjnej, tam się porozciągać i zawrócić, zanim całkiem się ściemni. Bieg w ciemności mógł skończyć się nieprzyjemną kontuzją. Skoncentrowana na tych przemyśleniach Eryka z ulgą zauważyła, że oddech jej się wyrównał i zeszło z niej napięcie po sprzeczce z Tomaszem. Bez szarpania się z piachem, z samą sobą, lekko stawiała kroki.

Tuż po rozwodzie rodziców, na początku studiów, kiedy przechodziła kryzys tożsamościowy w laickiej Francji, wzięła udział w treningu interpersonalnym w małej wiosce na Podlasiu. Tam też biegano, ale obowiązywała technika dość nietypowa i niemająca nic wspólnego z trenowaniem przed zawodami. Celem było absolutne odprężenie, należało rozluźnić całe ciało, wręcz pozwolić mu się telepać, a najmniejsze nawet napięcie zneutralizować krótkim okrzykiem. Grupa rozdygotanych warszawiaków na ulicy tej wsi nie wprawiała już nikogo w zdumienie. Gdy tylko przyjechała kolejna ekipa szkoleniowa, mieszkańcy rozsiadali się wygodnie na ławeczkach i dumali, co też stało się z tym światem, że ludzie grube pieniądze płacą, żeby trochę sobie powrzeszczyć. Eryka całkowicie podzielała to zdziwienie, ale to nie trening, lecz właśnie ci prości ludzie mówiący mieszanką nieznanym jej dialektów, z nieco pokiereszowanymi życiorysami i zmarszczkami nieskażonymi francuskim botoksem, uświadomili jej, że jej miejsce na ziemi jest tutaj. W Polsce. Z jej wartościami, które na chwilę pogubiła, a które otrzymała od Tomasza w prezencie ślubnym z instrukcją obsługi własnego życia. Pobyt na emigracji stał się o wiele prostszy, gdy nadała mu pewien kierunek. Cel – wykształcenie. Reszta była kosztem rozwodu rodziców, który musiała ponieść.

– *Bonjour!* – usłyszała nagle Eryka. W pierwszej chwili pomyślała, że przyjdzie jej biegać z wuefistą. Głos był jednak damski i zbyt wyraźny, by mogła uznać, że się przesłyszała. Aśka pchała wózek z wysiłkiem, z jakim starsi ludzie pchają przed sobą balkonik. Na twarzy ze zmęczenia wystąpiły jej czerwone plamy. Rozpięta bluzę i wyjęczała:

– Boże, chyba zaraz wykituję.

Eryka pocałowała ją po francusku w oba policzki i zajrzała do wózka. Maluch ubrany był w kombinezon, co wydało się Eryce przesadą, sama bowiem miała ochotę zrzucić wszystkie warstwy ubrania.

– Jak on urósł. Ząbkuje?

– W najlepsze, albo ssie pierś, albo ryczy. No, chyba że śpi, a śpi tylko w biegu.

Aśka. Najlepsza koleżanka z Milanówka. Całe dzieciństwo ścinana jak od garnka, bujne włosy schowała pod czapeczką z daszkiem. W czasach, gdy rodzice Eryki jeszcze wspólnie przyjmowali gości, rodzice Aśki, ona sama i jej rodzeństwo zawsze byli mile widziani. Dom Eryki był dla przyjaciółki mieszkającej w bloku nie lada atrakcją, z kolei Eryka zazdrościła dzieciom dwóch piętrowych łóżek postawionych w ciasnym pokoju. Aśka

z trzema siostrami zajmowały jedno pomieszczenie, w drugim piętrzyły się różne kłamoty i telewizor, a w trzecim, które właściwie stanowiło wydzieloną parawanem część drugiego, stało łóżko małżeńskie państwa Sosnowskich, w którym czasem zalegała cała szóstka. W porównaniu z tym oddzielne sypialnie rodziców Eryki wydawały się zakązkami wirusem wiecznej samotności izolatkami.

Z nostalgią wspominały czasy, gdy pokrywka od garnków udawała kierownicę, zdezelowany fotel był samochodem napędzanym parą cudzych rąk. Za benzynę służyły słodczyki, najczęściej ciasteczka owsiane własnej produkcji albo domowej roboty krówki, które Aśka przemycała przed czujnym wzrokiem obu matek: swojej, która twierdziła, że ją Stroicka wyklnie, jak meble jej pomażą karmelem, i matki Eryki, która faktycznie byłaby do tego zdolna i metodą dość nieprzyjemnej rewizji na wejściu próbowała zapobiec dewastacji. Aśka wносиła więc cukierki w ustach i poddawała się przeszukaniu bez protestów, żeby nie zdążyły się roztopić. Eryka pomyślała, że podczas kolejnych odwiedzin koniecznie musi sprawdzić, czy ich ulubiony mebel z dzieciństwa rzeczywiście jest taki ogromny i miękki. A potem, całkiem mimo woli, a nawet wbrew sobie, przywołała obraz obitego przez Tomasza przytulnym zamsem fotela z ich mieszkania. Kółka ruszały się w nim gładko, z łatwością przeszedłby przez szerokie drzwi. Można by go pokierować do kuchni, zawrócić, następnie długim korytarzem na inny kontynent, czyli do stołowego. Tam dłuższa rundka wokół ławy, którą zaczarowałiby w ocean pełen rekinów, dotknąć jej, to jak dotknąć zębów żarłacza.

Można by.

Tylko małego kierowcy brak.

Dziwne, że ta ich przyjaźń się ostała. Aśka rodziła jedno dziecko po drugim, a Eryka zupełnie pozbawiona była zazdrości. Tak się szczęśliwie złożyło, że teściowie Aśki mieszkali w pobliżu. I choć teściowa kusiła, że odda młodym piętro, Aśka wolała dzieciakom sprawić piętrowe łóżko w klitce na Ochocie. I dziwne, że Eryka nigdy nie przyznała, że kiedyś mogłaby mieć takie niemowlę. A Aśka nigdy nie pytała, tylko wiedziała. Tak po prostu. Jak wie się bez zbędnych słów, czy ktoś jest głodny lub zmarznięty. Eryce też nie zajęło dużo czasu dostrzeżenie, że przyjaciółka jest niespokojna.

– Co ci jest? Też ząbkujesz? – zagaiła.

– Chciałabym. Wyrósłby mi ząb mądrości, może bym wiedziała, co robić. Chociaż ja wiem co. Nie wiem – jak.

– Może zwolnimy? – Eryka trochę się już zasapała.

– Nie – stanowczo zaprotestowała Aśka. – Młody się obudzi, a ja muszę cię o coś poprosić. No, kochana, jak by to ująć, żeby dać ci przykład? Biegam od pięciu lat. Zaczęłam, gdy osiągnęłam po Antosiu rozmiar, jaki znałam tylko z opowieści o smokach. Przestałam jeździć konno. Do kina chodzę tylko na filmy o księżniczках i rycerzach. Od kilku lat nie przespałam ani jednej nocy, a moim najbardziej nienawidzonym słowem jest słowo „mamusia”. Zakłęcie wytrych, tylko nie mów nikomu.

– Nie przesadzasz?

– Nie. Na dodatek nie toleruję hormonów, a Łukasz nie lubi w gumce.

– Przecież karmisz piersią...

– Gówno prawda. Pieprzony mit. Powinnam o tym wiedzieć.

Powinna. Jest przecież położną. Ale nie wiedziała. To doprowadziło Erykę do jednego wniosku.

– Cholera.

– No właśnie. Czwarte w drodze.

– Który tydzień?

– Szósty. Musisz mi pomóc.

– Pomogę. Zajmę się starszakami. Lubią mnie przecież.

– Nie tak pomóc.

Niemowlę spało spokojnie i Erykę, która ledwo nadążała za koleżanką, zirytowała zagadkowość Aśki.

– Ej, a może ty nie powinnaś w tej ciąży tak zapieprzać?

– Wiewióra, masz jeszcze we Francji jakieś koleżanki?

– Kilka, czemu pytasz?

– Potrzebne mi są tabletki. Takie na poronienie.

– Jezu, co ty wygadujesz?

– Dziwisz się?

– Przecież ty w szpitalu pracujesz.

– No właśnie. Teraz nie skrobią nawet wariatek. A ja chcę dyskretnie. Dyskretnie to mogę to w Londynie zrobić, ale nie mam takich pieniędzy.

– Wiesz, o co prosisz?

– Tak.

– A wiesz kogo?

– Ciebie. Wiewiórę. Najbliższą mi osobę.

– Kurwa.

– A ciotka Matylda?

– No, co z nią? – Eryka stanęła i oparła się rękami o uda.

– Tobie pomogła, pamiętasz?

– Tak, ale wolałabym zapomnieć. To było w dawnym życiu.

– Wolałam ciebie w dawnym życiu. Dawałaś ludziom prawo do błędu.

Śpiworek w wózku poruszył się, nóżki uniosły go do góry, a po chwili rozległ się ryk, który przestraszył je obie.

– Koniec przerwy – oznajmiła Aśka.

– Nie możemy udawać, że tej rozmowy po prostu nie było? Kurwa. Powtarzam ci, Aśka, mówimy o człowieku. A Jerzyk, jego też mogłoby nie być?

– Zapomnij już. O co ci chodzi? Jest internet. Kurierzy. Podziemie. Promocje w tanich liniach. Myślałam, że przyjaciele też...

– Nawet nie wiesz, jakie są potem konsekwencje. Gdyby chorowało twoje dziecko, mąż, teściowa nawet, poruszyłabym niebo i ziemię. Ale z tabletkami, akurat takimi, ci nie pomogę. *Pardon.*

– Taaak, jasne. Przez takich jak ty w ogóle muszę się prosić. Czwarty rok z rzędu planuję pobiec maraton. Albo mam cycki cięższe od dupy, albo brzuch cięższy od cycków. Mam dość. I znowu jestem z tym sama.

– Dałabym wszystko za twój problem. Pomyśl trochę.

– Pieprzysz. Na moim miejscu zrobiłabyś to samo. Ja chciałam dziecka, pierwszego, drugiego, po drugim zaczęłam brać pigułki, chociaż rozsadzało mi łeb. Raz zapomniałam. Jeden cholerny raz zapomniałam. I jest on. A teraz pieprzone karmienie. Do dwudziestego tygodnia teoretycznie mieliśmy być bezpieczni. Ale ono rośnie. Rośnie i nie mam czasu na pedagogiczne połajanki. Zapomnij o tym, co powiedziałam. I żyj sobie w tym swoim rajku, gdzie wszystko jest błogosławione. Nawet hemoroidy na dupie i strupy na cyckach.

– Aśka!

– Albo je sobie weź, jak taka święta jesteś! – Aśka wrzeszczała już głośniejszym głosem od Jerzyka.
– Zostaw mnie. Zostaw! Mogłaś być matką, ale stchórzyłaś. Inaczej byś śpiewała.

Eryka walnęła pięścią w pień. Zabolało. Mniej niż słowa przyjaciółki.

Ponad osiem kilometrów, a ona nie czuła zmęczenia w nogach. Ciężka jej za to głowa, jak rzeczywistość, od której próbowała uciec, i choć znowu biegła, coraz szybciej i szybciej, ta krępowała jej stopy. Dobiegłszy do oświetlonego parkingu, rozpoczęła ćwiczenia. Fizyczny ból przyjemnie absorbował jej myśli. Mo-głam-być-mat-ką-mo-głam-a-mo-że-na-wet-by-łam. Dudniło jej w głowie jak kolejno odliczane przysiady. Docisnęła mocno stopę do uda, czując, jak rozciągają jej się łydki. Naszła ją nagła ochota, by położyć się na tej brudnej ziemi i gapić w niebo, aż wypatrzy na nim jakiś boski znak. Poczwała skurcz w samym środku pustej macicy.

Ruszyła. Ciągnęła z wysiłkiem ciało jak zepsutą część siebie. Dostała esemesa. Aśka? Opamiętała się? Ale nie. Tylko Izka: „Zajrzyj do tych papierów ode mnie”. „Skąd wiesz, że nie zaglądałam?” – odpisała. Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Zacząła jej ciążyć sprawa interdyscyplinarnego zespołu. Nic nie zauważyła, więc nic nie było. Mogłaby podać kilka przykładów, gdy ręka państwa sięgnęła głębiej, niż było to konieczne. Teraz jednym z jej palców miała stać się ona.

Małżeństwo odmawia kontynuowania terapii. Po sześciu miesiącach uczęszczania na sesje oboje twierdzą zgodnie, że problemy, z którymi się zgłosili, zostały rozwiązane. Zdaniem terapeuty zachowanie pacjenta nosi znamiona przemocy psychicznej wobec żony. Zachowania patologiczne obejmują przede wszystkim obszar związany z jedzeniem, podejrzewa się, że mąż wymusza na żonie tzw. „feeding”. Pacjent przyznaje się m.in. do wypluwania podanego przez żonę obiadu do jej talerza, wyłączania korków podczas przygotowywania posiłków na kuchence elektrycznej, zmuszania żony do zjedzenia podwójnej porcji po przesadnym doprowadzeniu dania (np. przesoleniu, przesłodzeniu) itp. Swoje postępowanie argumentuje troską o rodzinę. Kobieta cierpi na otyłość, która może być efektem takich działań, jednocześnie nie czuje się z ich powodu upokorzona. Pacjent nie wykazuje skruchy, wręcz przeciwnie, chełpi się, że „w jego domu się nie przeprasza, tylko postępuje właściwie”. Ze względu na to, że obserwatorami domniemanej przemocy są małe dzieci (chłopcy: 6 i 13 lat), zaleca się wnikliwe rozpoznanie sytuacji i odseparowanie od sprawcy przemocy do czasu powtórnego poddania się przez rodzinę terapii.

Eryka czuła, jak ciasto staje jej w gardle. Zupełnie straciła apetyt, choć po bieganiu

zawsze wracała piekielnie głodna. Masa serowa wydała jej się nagle rzadka, przetkana śliną, przemielona nie w maszynie, a w cudzych ustach. Cały kawałek świeżo odmrożonego sernika wylądował w koszu. Jeszcze raz przeczytała notatkę, którą dostała od Izki. Choć dane rodziny zostały na kopii utajnione, od razu przypomniała sobie Elżbietę goniącą ich w kapciach z blachą w dłoniach, jej zachłanne połykanie jedzenia na rozkaz.

Nie trwało jednak długo, a Eryce włączył się tryb naprawczy, porzuciła analizy, jakby pewne kwestie przerastały możliwości percepcji. Chwilę wcześniej wzięła prysznic, ale teraz przydałby się jej kubeł zimnej wody na głowę. Sięgnęła po telefon, żeby natychmiast zadzwonić do Tomasza, ale coś ją powstrzymało. Czy nie dość już dzisiaj dowiedzieli się o sobie? Tomasz w towarzystwie Bajtaka, z którym zapewne ze względów finansowych dzielił pokój, i tak nic jej nie powie, albo – nie daj Boże – podzieli się tym doniesieniem. Przez kogo wskazanym? Przez nią samą. Nie inaczej.

Sięgnęła po szklankę, napełniła ją po brzegi kranową i jeszcze raz zajrzała do teczki. Przeczytała ponownie treść notatki. Skąd podejrzenie, że chodzi o Bajtaków? Poza wiekiem chłopców i tuszą żony nic nie pozwalało na identyfikację rodziny. Znany bon mot mógł obowiązywać w wielu rodzinach. Eryka próbowała myśleć racjonalnie. Po pierwsze – ani Elżbieta, ani Wojciech nie darzyli psychologów zaufaniem, czego sama doświadczyła, gdy tylko odwoływała się do pedagogicznych teorii. Oboje solidarnie twierdzili, że rodzice znają swoje dzieci najlepiej i pomoc z zewnątrz prowadzi jedynie do kłopotów. Dziesięć przykazań wystarczy – mówiła Elżbieta. I pas – dodawał czasem jej mąż, na co słuchacze reagowali zazwyczaj śmiechem. Po drugie – Bajtakowa świetnie gotowała.

Wiele razy chłopcy częstowali kolegów na domowych lekcjach smakołykami i były to rzeczy bardzo apetyczne. Niczego im nie brakowało. Ani cukru, ani soli. Eryka pożałowała impulsywnego gestu. Wyrzuciła sernik. Zachowała się jak przewrażliwione dziecko, które podczas rozmowy o wszach odczuwa swędzenie głowy. Co zrobi z kawałkiem dla Tomka, tym, który czeka w zamrażarce? Czy i ten powinna wyrzucić? Z przyjemnością trzymała dla niego przysmaki, gdy wyjeżdżał. Dzielenie się stanowiło fundament ich małżeństwa i nie chodziło wyłącznie o dziesięćcinę przekazywaną co miesiąc na rzecz klasztoru felicjanek. Dzielili się tym, co ich spotykało, i tym, co dobrze smakowało. Wszystkim, z wyjątkiem wątpliwości. Za sprawą tej jednej notki Eryka złamała obie zasady. Sama myśl tak bardzo ją przeraziła, że podeszła do kosza, wyjęła sernik, włożyła do ust mały kawałek, po czym z obrzydzeniem wypluła go z powrotem.

ROZDZIAŁ 6

Z trudem zwlekła się z łóżka, zmęczona, jakby nadciągała zima, a nie wiosna. Włączyła w radiu wiadomości, wyjęła matę i wykonała kilka asanów. W obecności Tomasza narażona byłaby na tyradę, że igra z siłami nieczystymi. Dopytywałby się, czy wysłuchała wreszcie polecanej przez niego audycji o zgubnym wpływie jogi. W końcu poszłaby ćwiczyć do drugiego pokoju i żeby zabezpieczyć się na wszelką ewentualność, odmawiałaaby w myślach różaniec, który pozostawał jej ulubioną modlitwą. Mimo skomplikowanego stosunku do Matki Boskiej, jaki odziedziczyła po ewangelickiej linii. Kiedy w podróż poślubną wybrali się na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, spędziła cały dzień na tarasowych zboczach Ain Karem, gdzie Elżbieta spotkała Maryję i gdzie „poczuła życie”. Poza zachwycaniem się krajobrazem, dającym wytchnienie od dusznej i pełnej napięć Jerozolimy, Eryka przeznaczyła ten czas na żarliwą modlitwę za ciotkę Matyldę, którą obciążyła winą za grzechy własnej młodości. Z drugiej strony, jakby obawiając się, że Pan Bóg nie da się oszukać, całą pielgrzymkę odbyła w intencji swojej płodności. Jedynym efektem było rozczarowanie brakiem efektów. Tym większe, że zawarła małżeństwo gotowa na macierzyństwo, wręcz niecierpliwa, kiedy zostaną rodzicami, a Bóg z niej szydził, słyszała prawie, jak czynił o nią z diabłem zakłady. „Nie uda jej się przykryć kłamstw welonem”, przekonywał nie wiadomo który. Gdy wyznała spowiednikowi, że złości się na Boga z powodu jego opieszałości, usłyszała, że być może nie bez powodu pobłogosławił ją zdolnościami pedagogicznymi. Miała się zastanowić, czy może obdarować inne dzieci swoim talentem, który nie jest przecież jej prywatnym dobrem, lecz własnością całej wspólnoty. To za jego sprawą Eryka zainteresowała się edukacją domową i w nauczaniu odnalazła powołanie. I za jego sprawą zaniechała szukania posady w którejś z francuskich szkół w Warszawie. To w Marysinie była jej wspólnota i to tu jej potrzebowali.

O ile kontakt z dziećmi dawał jej satysfakcję, o tyle frustracja spowodowana kontaktem z rodzicami i systemem szkolnym pogłębiała się z każdym tygodniem. Pozbyła się zazdrości, nawet podstępny smutek dopadał ją rzadziej, w „kobiece dni” zdarzało jej się uronić parę łez, ale w porównaniu z tym, jak obniżony miała nastrój jeszcze parę lat temu, sytuacja wydawała się opanowana. Aż do wczoraj. Od kiedy jej przyjaciółka została mamą i tak większość ich rozmów obracała się wokół dzieci – Sosnowskich lub szkolnych. Nigdy jednak nie sądziła, że ta kwestia może je poróżnić. Na szczęście przez noc ochłonęła. To prawda, usłyszała wiele przykrych słów i raniących ocen. Aśka wywlekła na światło dzienne dwie jej największe tajemnice – że kiedyś dziecko mieć mogła, ale nie chciała, i że teraz dziecko mieć chce, ale nie może. Nie było jednak sensu unosić się honorem, gdyż to Aśka miała prawdziwy problem. A problemy Aśki od zawsze były problemami Wiewióry.

Wyszła do pracy z bólem głowy. Dziś nieoczekiwanie spadł śnieg. Puszył się dumnie i Eryka klęła na nieodśnieżone chodniki, ogromne płatki roztopiały jej się na powiekach i wpływały do oczu. Jej matka twierdziła, że świat budzi się do życia dopiero po Wielkanocy, a ta w tym roku wypadła w ostatnim możliwym terminie, pod koniec kwietnia. Tylko dzieci uradował powrót zimy. Eryka przystanęła na Jagodowej, za płotem pogotowia opiekuńczego. Kiedyś tu zaszła, pod wpływem impulsu, z pytaniem, czy potrzebują pedagogów. W rzeczywistości miała nadzieję na miłość od pierwszego wejrzenia, na spotkanie z jej dzieckiem z chmur, jak nazywano dzieci adopcyjne. Musiała sprawdzić. Dzieci stały wzdłuż ścian albo biegały środkiem korytarza, ale ani te zahukane, ani te rozwrzeszczane nie budziły w niej instynktu macierzyńskiego. Dziecko z chmur, nawet najbardziej anielskie, było nie dla niej. Ona chciała mieć dziecko z brzucha. Upaprane mazią płodową i krwią.

Mimo wczesnej pory grupa wychowanków korzystała z uroków śniegu, który sam kleił się w rękach. Spod płotu, tuż przy chodniku, bacznie obserwował ją około sześciolatek chłopaczek. Wyglądało na to, że z całą gromadą czeka na transport do szkoły. Próbowwała się do niego uśmiechnąć, choć na jego widok zrobiło jej się smutno. Tyle dzieci zostało napoczętych i odstawionych. Przypomnił jej się Pawełek. Jego niespokojny oddech i ręka przy jej policzku. Bajtakowie nie podejrzewali nawet, ile mogą stracić. Nie wiedzieli też, że to, co mają, nie należy do nich.

– Hej – odezwała się przyjaźnie.

– Hej – mruknął chłopiec. – A ty masz tatę?! – zawołał za nią, gdy go minęła.

Zawahała się i zawróciła.

– Mam.

W odpowiedzi oberwała śnieżką. A potem jeszcze raz. Z wrogim wyrazem twarzy rzucał celnie ponad ogrodzeniem. Wbita w ziemię, nawet nie uchylała się przed ciosami.

Dzieciak został przywołany przez czujną wychowawczynię do grupy, Eryka dała sygnał ręką, że nic się nie stało, choć opiekunka troszczyła się raczej o podopiecznego. Czego chciała ta drobna ruda dziewczyna, zatrzymując się w miejscu, które większość sąsiadów najchętniej oddzieliłaby od chodnika gęstym szpalerem drzew lub wysokim betonowym murem?

Zadzwoił telefon. Z nadzieją, że to Aśka, wyjęła aparat z kieszeni płaszcza. Tomasz. Ostatnia osoba, z którą mogłaby porozmawiać o wydarzeniach poprzedniego dnia.

– Jakiś dzieciak rzucił we mnie śnieżką. – Tymi słowami odebrała połączenie.

– Mam cię obronić? A w ogóle, o czym ty mówisz? Jaki śnieg?

– U nas zimowisko. Pospieszyles się z wymianą opon.

– Może do jutra trochę odpuści. Zostanę jeden dzień dłużej, dobrze?

Ucieszyła się. To znaczy, że po angielskim pojedzie prosto do Aśki. Wymknie się z pustego mieszkania, ucieknie przed nieobecny mężem. Na jeden wieczór.

Zdziwił się, że nie protestuje. Zresztą, jak miałoby to zmienić sytuację? Skoro przedłużył pobyt, miał ku temu powody.

– Dziwne plotki słyszałam o Bajtaku – powiedziała.

– Może opowiesz mi na Skypie wieczorem?

– Będę zmęczona po lekcji. Porozmawiamy, jak wrócisz.

– Nie słuchaj, co ludzie gadają. Wojtek mówił, jaka konkurencja panuje w branży. Włosy się łysemu na głowie jeżą.

Zdała sobie sprawę, że Tomasz broni Bajtaka, zanim padły zarzuty. Poprosić go o wsparcie w wyjaśnieniu sprawy Bajtaka, to jakby poprosić o adopcję dziecka Aśki Sosnowskiej. Najpierw sama odkryje prawdę. Na podstawie opinii terapeuty sąd miałyby prawo odebrać dzieci Bajtakom. Ten świstek papieru i ujawnienie szczegółów z terapii, którą przecież rodzice podjęli w dobrej wierze, wystarczały, by ruszyła cała machina państwowej nadopiekuńczości. W napięciu czekała na wieczór, by przyjrzeć się chłopcom. Oby tylko nie zaczęła ich wypytywać!

Dzwonek zastał Erykę pochyloną nad podłogą w kuchni. Do lekcji zostało pół godziny. Czasem rodzice podrzucali dzieci w drodze na zakupy albo wioząc pozostałą trzódkę na inne zajęcia. Byle nie dziś, pomyślała, byle nie zanim zacznie działać tabletki na ból głowy.

Nie zdołała ukryć zdziwienia, gdy za drzwiami ujrzała Elżbietę. Już od jakiegoś czasu Pawełka przyprowadzał Piotrek. Ani Elżbieta, ani tym bardziej Wojciech nie bywali częstymi gośćmi u Papickich. Zaskoczona zaprosiła Elżbietę do środka i zaproponowała jej herbatę.

– Po co zmywasz podłogę? Przecież zaraz ta horda wpadnie i wszystko zdepta – podsumowała Elżbieta, nie zdejmując butów.

– A gdzie chłopcy? – spytała Eryka.

– No właśnie, w ich sprawie przychodzę. Przyjdą prosto po lekcjach. Sama jesteś i ja jestem sama, to dobra okazja, żeby coś wyjaśnić.

Usiadły, a Eryka pomyślała, że niebawem ma tu gościć grupę dzieci, i kuchnia, która przed chwilą jeszcze wydawała jej się niemal sterylna, teraz odkryła przed nią zacieki na kranie i rdzę na kubeczku do sztućców. Drzwiczki piekarnika wyglądały jak opalone tłuszczem wrota do piekieł.

– Masz może kawę? – spytała Elżbieta, skubiąc zmechacenia z białej wełnianej chusty, jaką zostawiła sobie na plecach po zdjęciu kurtki.

– Tylko rozpuszczalną.

– To nie, nigdy nie wiesz, czy to nie papier, czy zmielone zarodki. Ludzie dla zysku sprzedadzą nerkę i włosy, nasienie i krew.

– Zgoda, ale czy dalej mówimy o kawie? Człowiek by zwariował, gdyby wszystko analizował – broniła się Eryka, nie chcąc przyznać, że Tomasz bez pytania jej o zgodę wyniósł ekspres do biura.

– Od tego przecież zależy jakość życia, czystość myśli. Od tego, co jesz. Powiedz mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś – znasz to powiedzenie. Jak się chłopcy sprawowali?

– Dobrze. Normalnie chyba. Jak to chłopcy. – Eryka w napięciu czekała, do czego zmierza Elżbieta.

– Bo wiesz, Paweł zaczął fikać. Ucieka na łóżko i udaje pirata, śpiewa jakieś szanty czy inne pieśni o złych kamratkach; twierdzi, że ty go nauczyłaś. Pewnie ty, bo kto?

– „Ja jestem pirat Samo Zło” – zanuciła Eryka dla rozładowania atmosfery.

Ale Elżbieta nie ustawała w pretensjach:

– Wojtek musiał ich na nowo poustawiać. Jesteśmy wdzięczni, że z nimi zostałeś, ale następnym razem wolałabym ustalić warunki.

Następnym razem? Nachodzi ją w domu, strofuje jak małą dziewczynkę i jeszcze daje jej szansę na kolejną przysługę, pod warunkiem poprawy. Nie będzie następnego razu.

– Co to znaczy „poustawiać”? Wydaje mi się, że i tak chowacie ich surowo.

– No wiesz, taka ocena w twoich ustach to komplement. Nie chcemy, żeby się rozpasali.

– Ach tak – przełknęła sarkazm Eryka, czekając na ciąg dalszy.

Z Elżbiety dopiero zeszło napięcie. Przestała ugniatać zmechaconą kulkę, przypominającą puchowy śnieg, i odłożyła ją na stół.

– Widzisz, Pawełek jest bardzo wrażliwy i z nim nie można bawić się w piratów. Potem Wojtek cały następny dzień musi mu tłumaczyć, że piraci to grzeszni ludzie. Mały go przedrzeźnia: „grzeczni”, „grzeczni?”. Ojciec musi na takie coś zareagować, ale po co dziecko ma cierpieć?

Eryka nie mogła się przesłyszeć. Wyczuwała w jej głosie podziw dla męża. Żadnego żalu, wątpliwości, wyłącznie uznanie dla jego skuteczności. Zdumiona przyglądała się Elżbiecie.

– Przepraszam – szepnęła, nie wiedząc, co lepszego może zrobić. Ona stawiała „b”, Bajtakowa czytała „d”; ona pisała „w”, a tamta widziała „m”. Żadne tłumaczenia nie przyniosłyby efektu. Poczula się jak w dyskusjach z matką, w których każda próba wyjaśnienia czegokolwiek prowadziła do kolejnych nieporozumień.

– Nie masz dzieci, więc nie wiesz, jakie to ważne – wyrobić sobie autorytet. Jaka to harówka. A Wojtek potrafi. Tak chłopaków ustawi, że się słuchają.

Eryka chciała spytać, czy bawią się w Świętą Rodzinę, czy autorytet ojca wzrósłby, gdyby przewiózł Pawełka na osiołku, a może zabrania małemu zaglądać do elementarza i nauka alfabetu odbywa się z pomocą Biblii. Poczzerwieniała, co zostało odnotowane przez gościa.

– Nie chciałam cię urazić, ale wiesz, każda rodzina ma jakieś swoje zasady. Trochę mnie niepokoi twój wpływ na małego. Boję się... – zawiesiła głos i poprawiła od razu – nie chcę, żeby Pawełek miał z tego powodu nieprzyjemności.

– Wezmę to pod uwagę.

– Dziękuję. Bo szkoła to dopiero dramat. Ale sama wiesz najlepiej. Co macie w planach na dziś? Chłopcy nic nie opowiadają o tych lekcjach, choć, oczywiście, robią postępy.

Grupa była na tyle zżyta, że Eryka nie stosowała sztywnych scenariuszy. Zachęcała do swobodnego wyrażania swojego zdania. Dzięki temu chłopcy, bo tak się śmiesznie złożyło, że poza dwuletnią Lilą, którą mama także czasem zostawiała na lekcjach, skład był wyłącznie męski, osiągnęli świetne efekty, więc Erykę namawiano na stworzenie drugiej grupy. Tylko dla dziewczyn. Co za zbieg okoliczności, że akurat dziś zaplanowała lekcję gotowania. Mieli robić naleśniki nadziewane jabłkami. Same mąka, jajka i jabłka wystarczyły, by wypełnić frazeologizmami, idiomami i różnymi angielskimi powiedzonkami dwie godziny, jakie miała do dyspozycji.

– Naleśniki? Z mąki ryżowej?

– Nie. Pszennej.

– Na patelni żeliwnej?

– Nie. Teflonie.

– Teflonie? – fuknęła z oburzeniem Elżbieta. – A jajka masz jakie? Jedyńki?

Od odpowiedzi wybawił Erykę dzwonek domofonu. Kiedy wróciła do kuchni, zastała Elżbietę przy otwartej lodówce. Ta, wyraźnie speszona, próbowała się usprawiedliwiać:

– Tak już mam, że lubię robić przegląd w lodówce, ale w cudzym domu to pewnie przesada. Nie mogłam się powstrzymać.

Zanim na górę wdrapali się Filip i Franek, zwani przez wszystkich dla uproszczenia bliźniakami, bo jeden był ze stycznia, drugi z grudnia tego samego roku, Elżbieta zdążyła się ubrać i pożegnać.

– Nie mów chłopcom, że byłam, dobrze? Wojtek zamierzał się z tobą rozmówić, ale on potrafi być taki porywczy, od razu chciał ich z angielskiego zabierać. I nie miej pretensji. Muszę dbać o rodzinę. Jeszcze to kiedyś zrozumiesz.

Zajęcia rozpoczęły się krótką modlitwą o pożytek z nauki i powitalną piosenką. Eryka z przyjemnością obserwowała, jak dzieciaki, małe i większe, chętnie tańczą, trochę się po chłopcemu przepychają, a trochę mimochodem wykorzystują tę okazję do przyjacielskiego kontaktu cielesnego. Na kłaśnięcie wszystkie ustawiły się w rzędzie i niczym siedmiu krasnoludków w drodze do kopalni diamentów przemaszerowały do ciasnej kuchni. Paweł i Piotrek nie odstawali humorem od reszty ani nie sprawiali wrażenia umęczonych rygiorem w domu. Zrobiła krótką powtórkę z poprzednich zajęć i w nagrodę pozwoliła najlepiej przygotowanej trójce wyłożyć na stół składniki.

Pawełek znalazł się wśród wyróżnionych i przypadło mu w udziale wyjęcie z lodówki jajek. Specjalnie wszystkie umieściła w koszyczku, żeby wyjaśnić znaczenie przysłowia *Don't put all your eggs in one basket*. Teraz zdumiona patrzyła, jak białka wyciekają przez wiklinowy koszyczek na niższą półkę. Postawiła koszyk na talerzu, a potem talerz na stole i wprowadziła idiom zgodnie z planem. Była pewna, że wszyscy zapamiętają jego znaczenie, a Paweł, który mógł bezkarnie ubabrać się surowymi jajkami, wyjmując z nich skorupki, zyskał uznanie w oczach starszych kolegów. Patrzył na Erykę brązowymi oczami swojej matki, tak samo pełnymi uwielbienia, jak oczy tamtej pretensji.

Kiedy wyszli, Eryka uprzątnęła bałagan ze stołu. Spod skorupki wystawał z kosza sernik. Nie do przeoczenia przez kogoś, kto był na tyle spostrzegawczy, że wyrzucił jej z lodówki wyschnięty topiony serek. Ale czy fiksacja na punkcie zdrowego żywienia to wystarczający powód, by odebrać komuś dzieci?

ROZDZIAŁ 7

Było tuż po północy, gdy Eryka delikatnie nacisnęła kłamekę. Aśka zarzekała się, że przy trójce dzieci to najlepsza pora na rozmowę, i specjalnie zostawiła otwarte drzwi. Całe mieszkanie zdawało się być pogrążone we śnie. W pokoju panował półmrok. Rozparta na fotelu w pozycji półleżącej, z przymkniętymi powiekami, bezwstydnie rozłożonymi nogami, odsłoniętą piersią i niemowlakiem na rękach przyjaciółka wyglądała jak skrzyżowanie dziwki ze świętą. Eryka przyglądała jej się przez chwilę w poczuciu winy, zastanawiając się, czy nie powinna się wycofać, ale Aśka, jakby czytając jej w myślach, otworzyła oczy i szepnęła z ulgą:

– Jesteś.

– Coś ci podać? – zaproponowała Eryka.

– Nie. Siadaj. Zasnęły nareszcie. Kaśka by ci żyć nie dała, jakby cię zobaczyła. Stawiam, że przefarbuje się na rudo, zanim skończy sześć lat, tak jest w ciebie wpatrzona.

– Słodczy moja. Spadła jej gorączka?

– Jest lepiej. Zaczekaj w kuchni, spróbuję odłożyć małego do łóżeczka.

Po chwili Aśka, otulona w wymiętą bluzę z kapturem narzuconą na nocną koszulę, weszła do kuchni. Uśmiechnęła się.

– Jak za dawnych czasów, co?

– Też o tym pomyślałam. Jak się trzymasz?

– W sensie ciąży czy w ogóle?

– Przepraszam cię. – Eryka zdjęła kurtkę i spojrzała uważnie na przyjaciółkę. – Nie mogę załatwić ci tych tabletek.

– Nie chcesz?

– Nie mam jak. Zresztą wiem, co się stało między mną a ciotką. Taka rzecz zmienia wszystko. Przyjaźń też.

Aśka Sosnowska nalała sobie szklankę wody, nie proponując nic Eryce. Przepłukała usta w zlewie, usiadła naprzeciwko gościa i spytała:

– To szlachetne, że dbasz o naszą przyjaźń, ale czy tak ją rozumiesz – jako podejmowanie za kogoś decyzji? Zrozumiałabym, gdybyś powiedziała, że to kwestia sumienia, na pieprzoną klauzulę powołują się w tym kraju wszyscy, nawet baba w spożywcza nie sprzeda ci coli w ciąży, tak jej na sumieniu leży zdrowie dziecka. Zrozumiałabym, gdybyś powiedziała, że ci się nie chce. W sumie każdy ma prawo do lenistwa. Najlepsza przyjaciółka też. Ale do szału mnie doprowadzasz, gdy twierdzisz, że lepiej ode mnie wiesz, co jest dla mnie dobre.

– Bo ja po prostu przez to...

– Znowu mówisz o sobie. Czy ja jestem studentką Sorbony, która ma przed sobą całe

życie pełne możliwości? Czy ja byłam w ciąży z jakimś najaranym pseudofilozofem, który na wieść o tym wieje do Indii?

– Tak to widzisz?

– A jak? Nie zwiął? Nieważne. Ja jestem trzydziestopięcioletnią kobietą z trójką dzieci, która zajmuje mieszkanie po dziadku męża.

Eryka była pewna, że Aśka też słyszy marudzenie Jerzyka, a mimo to nie przestała wyliczać.

– Jestem położną, której zasiłek macierzyński wystarcza tylko na pieluchy i lizaki dla starszaków, a pensja na tyle, żeby nie zdechnąć. Bo żeby żyć, to już nie. Jerzyk się obudził. Chodź.

Chłopczyk zanosił się uporczywym płaczem. Nie pomogło przystawienie do piersi ani tulenie. Eryka pomyślała, że pewnie dziecko wyczuwa niepokój matki. A potem zaraz, czy to malutkie w brzuchu też. Ono też? Nie. Do któregoś tam tygodnia to tylko nic nieczujący zlepek komórek – tak ją uczyli. I wcale nie byle gdzie. Na Sorbonie tak uczyli. I nie byle kogo, bo przyszyłych pedagogów.

– Przynieś mi czopek, w górnej szufladzie w kuchni. Oszaleję przez te zęby. Jerzu, czemu ty, Jerzu, tak się drzesz, chłopie? Ciii...

Eryka pobiegła na paluszkach po lekarstwo, Aśka wprawnym ruchem zaaplikowała je małemu, ale nie na wiele się to zdało. Już po chwili czopek wypłynął prosto na przewijak w gęstym musztardowym sosie.

– Daj jeszcze jeden – zarządziła Aśka, zbierając kupę z piżamy syna i starając się usuwać na bieżąco świeże porcje wydalanego kału. Jak tylko skończył, przyjął nowy czopek i kompletnie już rozbudzony przyglądał się cioci Eryce.

– Przebierzesz go? – spytała Aśka. – Ja się zajmę zbieraniem śmieci z podłogi.

Faktycznie, porozrzucane wokół chusteczki i zabrudzona pielucha cuchnęły jak przepełnione szambo. Eryka włożyła chłopcu body i ledwo zdążyła odskoczyć do tyłu, gdy niespodziewanie trysnął moczem.

– Cholera, body mam niewyprasowane, w pokoju dzieciaków. Na parapecie.

– Przyniosę.

Gdy wróciła, Jerzyk owinięty w kocyk spał na odkrytych piersiach mamy. Wypuścił już brodawkę z ust, ale oddychał niespokojnie i klatka piersiowa to opadała, to się podnosiła. Aśka wprawnym ruchem matki wielodzietnej włożyła niemowlakowi body, nie zdejmując go z kolan. Zapadła błogosławiona cisza.

– Kasia się obudziła – odezwała się Eryka. – Chyba majaczy.

– Czemu?

– Powiedziała, że szkoda, że to nie tata wrócił.

Mina Aśki służyła za wystarczający komentarz. Odważyła się jednak powiedzieć na głos to, czego Eryka domyśliła się w mig.

– Znowu polazł do tamtej. Próbowałam go na seks zatrzymać, bo przecież nie na dziecko. Doskonale wiedziałam, że karmienie to żadna antykoncepcja, nawet w zgodzie ze sztuką, z przerwami krótszymi niż trzy godziny. Ile ja się napatrzyłam na okrągłe z niedowierzania oczy młodych matek, kiedy potwierdzały się ich ciążę. Jakoś łudziłam się, że sama

wyczerpałam limit wpadek. Raz z nim spałam po porodzie. Raz wystarczył. Trochę mi głupio było ci powiedzieć, tyle razy mnie ostrzega...

– Daj spokój. Ale on wie? – spytała wstrząśnięta Eryka.

– Powiedział, że będzie płacił alimenty. Honorowy, co?

– Skurwysyn. To koniec?

Aśka kiwnęła głową.

– Pomożesz mi? – spytała niepewnie.

– Pomogę.

Tomasz wrócił z Krynicy na tyle zadowolony, że nie zauważył smutku Eryki. Przywiózł z północy powiew wiosny i nie dowierzał żonie, że jeszcze dzień wcześniej chodniki w Warszawie pokrywał śnieg. Kasłał dużo. Gdyby wszystko było jak zwykle, Eryka wypomniałaby mu, że pewnie chodził bez szalika, zgubił czapkę i za długo spacerował po plaży. Ale nic nie miało być jak dawniej. Najlepszy kumpel Tomasza został oskarżony o znęcanie się nad rodziną, a jej najlepsza przyjaciółka zamierzała usunąć ciążę. Eryka niby słuchała Tomasza, ale zatopiona w myślach układała na obrusie kuchennym muszelki i kamyki, jakie dla niej przywiózł. Ogarnęła ją czułość. Skąd mogła wiedzieć, że podobnej do niej dziewczynce dał parę groszy na cukierki za to, że mu te skarby w piasku wyszperała?

– Wykąpałem się w morzu – powiedział Tomasz, jakby chcąc sprawdzić jej czujność.

Ocknęła się z letargu.

– Nie – zaprotestowała. – Nie zrobiłeś tego.

– Ja, ja bym tego nie zrobił? Nie doceniasz mnie. Wypożyczyłem piankę i popływałem na desce. Szkoda było zmarnować okazję. No i wpadłem do wody.

Eryka rozważała to, co usłyszała. Owszem, Tomasz był jej zdaniem gotów zachować się tak lekkomyślnie, jeśli tylko miał widownię. Podeszła do szafki, przejrzała lekarstwa i zdecydowała się na musującą tabletkę, którą rozpuściła w ciepłej wodzie z czajnika. Patrzyła, jak bąbelki znikają jeden po drugim, i zauważyła melancholijnie, że za jakiś czas i w jej życiu znowu zapanuje spokój.

– Przecież wypożyczalnie jeszcze zamknięte – zauważyła przytomnie.

Na tak postawioną sprawę Tomasz musiał przyznać, że prowokacja nie do końca mu się udała, nie mógł już dłużej powstrzymać śmiechu, pociągnął za sobą na fotel Erykę. Cieszyli się oboje, każde zadowolone z czego innego – on z tego, że nieomal ją nabrał, ona z tego, że mu się nie udało. Słynna anegdota, jaką Tomasz chętnie dzielił się ze znajomymi przy każdej możliwej okazji, nawiązywała do tego, jak Eryka w osadzie w południowym Hebronie wzięła zwykłe cerowanie paki w jeepie za tradycyjny beduiński ścieg. Do tej pory, kiedy wykazuje się zbyt daleko posuniętą naiwnością, Tomasz mrugnięciem i słowami „beduiński haft” przywołuje ją do porządku.

Tomasz przytulał Erykę i opowiadał jej, jak to był potwornie zajęty, prawie cały czas spędzali na budowie, którą Bajtak w części realizował – nadzorował prace wykończeniowe w nowo stawianym hotelu tuż przy plaży. Tomasz chciał zobaczyć, jakie stosuje technologie. Uważał, że to istotne, bo w pracy agenta najlepiej doświadczył, że do różnych klientów przemawia się różnym językiem.

- Wszystkim nie dogodzisz – zakończył.
- Nie dziwię się. Mój ojciec ma takie powiedzenie – inni ludzie są inni. To wbrew pozorom głęboka filozoficzna myśl.
- Ja tam filozofii w tym nie widzę. Same kłopoty. Jedni szukają mieszkań złożonych z małych klitek, tak aby każdy pokój służył do innych celów, inni od razu po wejściu pytają, czy można wyburzyć ściany. Jedni chcą mieć balkony, inni obawiają się, że to tylko zaproszenie dla złodziei. Jedni wolą mieć widok na najgłośniejszą ulicę, byleby tylko nie słyszeć dzieci grających w piłkę na podwórku, inni życzą sobie, by okna – koniecznie kuchenne – wychodziły na plac zabaw, na którym zostawią swoje pociechy. Zwariować można!
- Tomasz nauczył się jednego – klienta, który naprawdę nie wiedział, czego chce, można zmanipulować danymi technicznymi. Izolacją murów, przepływem wody w rurach, właściwościami wentylacji. Erykę te informacje nudziły.
- Próbowała skierować rozmowę na Bajtaka. Dopytywała, jak radzi sobie z wykonawcami.
- Świetnie.
- Jak sprawdzał się jako współlokator.
- Myje się, jeśli o to pytasz – przyznał rozbawiony Tomasz. – A co za plotki słyszałaś? – przypomniał sobie.
- Eryka przytoczyła z pamięci notatkę i opowiedziała, hamując wzburzenie, o pretensjach, z jakimi pojawiła się Elżbieta. Zbite jajka przemilczała.
- Jesteś tak na nią wkurzona, bo wypomniała ci brak ekspresu? Przesadzasz, Rysiu, przesadzasz. Powiem ci coś, oni są pod ogromną presją. Mają ciśnienie większe niż my.
- A to czemu?
- My rozmawiamy o dziecku, chcemy dla niego jak najlepszej przyszłości, chociaż jeszcze go z nami nie ma. A oni? Patrz na nich! Oni dzieci już mają. Zaraz chłopaki z domu wyjdą, trzeba ich wykształcić. Wojtek cały czas tylko mówi o rodzinie. Bzdury, że mógłby im zrobić krzywdę.
- Erykę zdziwiła emocjonalna reakcja męża.
- To jak to wytłumaczysz? Po co poszli na terapię, skoro wszystko u nich gra?
- Mówił mi o tym, że to dla chłopców, nie chcą się uczyć.
- A te sprawy z jedzeniem?
- No nie! Naprawdę łyknęłaś przynętę! Co to kogo obchodzi, ile i w jakiej ilości jedzą? Gdyby pili dużo, to bym jeszcze zrozumiał. Pokaż ten raport.
- Nie mam go w domu. Takich dokumentów nie można wynosić – skłamała gładko.
- Posłuchaj, przetarg jeszcze nierozstrzygnięty, ale Wojtek go wygra. Nie pytaj, skąd wiem. Ja wiem, on wie, wie inwestor. Tylko inni podwykonawcy nie tracą nadziei. To ponad trzysta mieszkań, trzy budynki, jest o co się bić. Więc się biją.
- To kupy się nie trzyma. Ktoś by podważał raczej wiarygodność jego firmy, co ma do tego sposób wychowywania dzieci?
- Chcą, żeby się skupił na rodzinie – argumentował Tomasz.
- I tak trzeba wyjaśnić tę sprawę, w sumie lepiej, żeby to ja zrobiła niż ktoś obcy.
- Zaraz, zaraz, czy ja dobrze zrozumiałem? Chcesz się im wtrącać w wychowanie? Masz

nie iść do tego zespołu – przerwał jej ostro Tomasz.

Ton był tak samo kategoryczny jak wtedy, gdy mówił o pływaniu w morzu, więc Eryka od razu wzięła to za prowokację. Jakże się pomyliła!

– Lepiej dla kogo? Nie żartuj. Zbierają się w piątek. Powiedziałam już, że przyjdę.

– Nie chcę, żebyś tam szła. Po prostu. Wymyśl coś. Nie wystarczy, że ich znasz? To przecież nieetyczne, skoro się z nimi przyjaźnimy. – Nie pozwolił Eryce zaprotestować, podniósł rękę, po czym położył jej ją na ramieniu i pogłaskał. Powtórzył łagodniejszym głosem: – Nieetyczne, rozumiesz? Tego nie robi się przyjaciołom. Skończyłaś pedagogikę, to zajmuj się pedagogiką, nie kryminologią domniemywaną. Wojtek jest silny i prowokatorów po prostu zmiażdży. Z naszą pomocą.

Eryka z ulgą kiwnęła głową. W gruncie rzeczy to właśnie chciała usłyszeć. To, że nie musi konfrontować podejrzeń z rzeczywistością, może im umknąć, schronić się pod plandeką z beduińskim haftem.

ROZDZIAŁ 8

Jarzeniówka wisząca bezpośrednio nad łóżkiem świeciła jej prosto w oczy. Ciepła dłoń uciskała ją w brzuch. Odczuwała to jako przyjemność, pozwoliła sobie na przymknięcie powiek i uspokoiła oddech. Przed oczami przewijał się jej film z Aśką. Aśka pod stołem w prowizorycznym domku z serwety. Aśka, która całą przerwę trzyma biologiczkę zamkniętą w kiblu, w zemście za pałę wystawioną na półrocze Eryce. Aśka pływająca w parku w ubraniu, gdy przegrała zakład – twierdziła, że Eryka nie wyjedzie na Sorbonę, bo stchórzy. Wiedziała, jak zmotywować przyjaciółkę. Aśka, która z największym taktem informuje ją o swojej ciąży. Aśka w białej sukni podczas przygotowań do ślubu. To wspomnienie było najsilniejsze. Pomyślała o niej, jak myśli o córce w takim dniu matka: tracę ją. Okazało się, że przyjaźń jest trwalsza od porywów serca. Aśka z szarą cerą. Cieniami pod oczami. Przetłuszczonymi włosami. Brudem pod paznokciami i niechcianym życiem pod sercem.

– Nie widzę tu nic niepokojącego, nic, co wskazywałoby na stan zapalny. Ale takie dolegliwości, jak opisałaś, mogą być pochodną stresu. Ubierz się, proszę. – Siwa specjalistka od chorób wewnętrznych zakończyła badanie. Przeszła do umywalki zdezynfekować ręce, usiadła za biurkiem i uważnie przeglądała notatki z poprzednich wizyt. – Nie chorujesz dużo, Eryko, tego typu bóle brzucha zdarzały się wcześniej?

– Raczej nie – odpowiedziała spokojnie pacjentka. Wszystko szło w dobrym kierunku. Nie została zdiagnozowana, a to wciąż znaczyło, że może przejść do wyjaśnień. Kto jak kto, ale pani Herman powinna zrozumieć, w jak niezręcznym znalazła się położeniu.

– A który to dzień cyklu?

– Osiemnasty – podała bez wahania Eryka. Na to jedno pytanie udzielała sobie odpowiedzi codziennie, badając temperaturę i śluz. W pierwszej połowie cyklu prowadziła aktywny, w drugiej – oszczędny tryb życia. W pierwszej czasem jadła i piła, co popadło, w tym chipsy i colę, w drugiej dokładnie selekcjonowała produkty. W pierwszej była pełna napięcia, w drugiej – wbrew rozsądkowi – cała stawała się oczekiwaniem. Jej życie było podzielone na cykle miesięczne i Eryka nikogo o to nie obwiniała ani nikomu się z tego nie zwierzała, nawet Tomasz prawdopodobnie nie zauważał w niej tego pęknięcia. Sama była go świadoma, gdyż prowadzenie dzienniczka płodności nauczyło ją rozpoznawać sygnały organizmu. Nie byłoby jej pewnie i na tej wizycie, gdyby nie fakt, że rzeczywiście ostatnimi czasy cierpiała na zawroty głowy, klucie w podbrzuszu i dziwne zgagi. Tego typu objawy rozbudziłyby w niej nadzieję, ale w tym cyklu było na to za wcześnie.

– Hmm... myślałam, że to może początek ciąży, ale mamy do czynienia raczej z późną owulacją.

– Nigdy nie przebiega w ten sposób – odpowiedziała Eryka, dając tym samym do zrozumienia, że ma te kwestie pod kontrolą.

Jej słowa zostały jednak błędnie odczytane.

– Wybacz, że to powiem, ale ze względu na długoletnią znajomość z Tomaszem mogę sobie pozwolić na taką poufałość. Czy wiesz, że unikanie poczęcia to grzech ciężki? – napomniała pacjentkę surowym tonem.

Eryka poczuła, jak śniadanie podchodzi jej do gardła. Mówiła mężowi, że od lekarzy zawsze robi się chora, ale on nalegał, by skonsultowała swoje dolegliwości i parę dni odpoczęła. Przypadkiem w terminie zebrania „poronionej grupy”. Choć się nie odzywała, nie zdołała ukryć wzburzenia. Plamy na twarzy to występowały, to znów znikwały.

– Ale ja, ale my...

Lekarka w tym momencie zrozumiała swój nietakt. Speszyła się bardzo, chwyciła ją za rękę, objęła różaniec z brylantami, który Eryka nosiła na palcu – pierścionek zaręczynowy od Tomasza – i przeprosiła:

– Dziecko, jestem już starą kobietą, ja cię o ciążę wypyuję, a zupełnie zapomniałam, że u was Pan Bóg się ociąga.

Zrobiła to z taką czułością, że Eryce puściły nerwy. Ocierała palcami łzy, próbując jednocześnie na migi dać znać, że nic się nie stało.

Hermanowa, niewiele myśląc, wypisała na karteczce polecenie wystawienia zwolnienia chorobowego.

– Dwa dni wystarczą? Do końca tygodnia odpoczniesz. Jak bóle nie ustąpią, zrobimy USG.

Eryka kiwnęła głową.

– W recepcji podaj dane pracodawcy i zadbaj o to, żeby ta śpiąca królewna na pewno przystawiła pieczętkę. Wracaj do domu, a ja się będę za was modlić. Tylko – tu żartobliwie pogroziła jej palcem – musicie tej modlitwie czynem pomóc.

Nie spodziewając się, że tak łatwo dostanie zwolnienie, Eryka z niepewnym uśmiechem na ustach pożegnała lekarkę, a i podzielenie się z kimś wstydlivym problemem przyniosło jej poza zażenowaniem nieoczekiwaną ulgę.

W drodze do domu kupiła jabłka, z którymi upiecze chleb od matki. Wrzuciła też do wózka zestaw do przyrządzania sushi. Mąż wybaczy tę rozrzutność. Kto wie, może przez kolejne dziewięć miesięcy nie będzie już mogła sięgnąć po surową rybę?

– Jak poszło? – spytał Tomasz już w drzwiach, zanim swoim zwyczajem pomógł jej zdjąć płaszcz. Stał i wpatrywał się w nią uważnie. Wcześniej wrócił z pracy. Niepokojące, pomyślała Eryka. Przecież nie o zdrowie pyta. Nie o bóle brzucha i zawroty głowy. O swoje interesy. O jego spokój mu chodzi. Poczowała ścisk w gardle, przeprosiła go i nie zdejmując butów, zamknęła się w pokoju. Nie wiedzieć czemu przypomniała sobie salon wiecznie zamknięty przez matkę na klucz. Goście, którzy wpadali niezapowiedziani, mogli wnosić na turecki dywan piach i błoto, jeśli byli niewychowani albo bardzo nowocześni i nie zamierzali pokazywać się obcym ludziom w skarpetkach. Zaproponowanie im kapci,

wiszących zawsze w przedpokoju w specjalnym woreczku, z wyhaftowanym napisem „goście”, nie wchodziło w grę. Po takich wizytach matka klęła na wszystkich świętych, uruchamiała odkurzacz, brała miskę z wodą, starą bawełnianą koszulkę, wietrzyła pokój, zasłaniała story i zamykała go ponownie na klucz, aby żaden z domowników nie wszedł tam bez jej zgody i nie zniweczył mozolnych starań o utrzymanie bezwzględnej czystości. Eryka z radością odwiedzała Sosnowskich, bo w mieszkaniu przyjaciółki wszędzie walały się części garderoby, zdarzało się nawet, że siostry nosiły te same koszulki na zmianę, co było absolutnie wykluczone w pojęciu wyczulonej na kwestie higieny Stroickiej. Eryka nigdy się nie zbuntowała. Protestowało tylko ciało. Ściśnięta krtań, spocone dłonie, wiecznie bolący kręgosłup dźwigający zgarbione plecy. Nie zachęcał córki do buntu ojciec, ani słowami, ani własnym przykładem, poza tym, że zapisał ją na jazdę konną, gdzie trener cały czas się darł: „Pierś do przodu, pierś do przodu, wypnij cycki, do cholery!”. Poskutkowało. Nad tym jednym umiała zapanować. Nad postawą. Jeśli ktoś miał zasługi w podjudzaniu Eryki przeciw matce, to ekscentryczna siostra ojca, ciotka Matylda, ale i ten epizod zakończył się ślubem z Tomaszem i nieoczekiwanym triumfem Stroickiej. Zamykanie się w sobie w dzieciństwie przełożyło się na sposób reagowania w dorosłym życiu. Rozżalona wolała zatrzaskać drzwi małej sypialni i przeczekać, aż wyparuje z niej niepokój, niż wdawać się w spory. Tomasz jednak nie miał tyle cierpliwości. Usłyszała ciche pukanie i zobaczyła, jak delikatnie opada kłamka. Drzwi cały czas pozostały nieporuszone. Na wszelki wypadek zamknęła oczy i udawała, że śpi na szezlongu, który – to musiał wiedzieć każdy, kto kiedykolwiek choć na chwilę na nim usiadł – zupełnie do spania się nie nadawał. Kiedy jednak Tomasz delikatnie zdjął jej buty i przykrył kocem, okazało się to wykonalne.

Godzinę później otworzyła oczy. Siedział przy niej, ale nie odezwał się, dopóki nie włożyła mu ręki pod koszulkę i nie przejechała czule po plecach.

– Co z tobą? – spytał.

– Chce mi się płakać.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie wiem. – Po chwili dodała: – Wszystko mnie boli. Od tego narzędzia tortur mnie boli. Przypomnij mi, skąd to się u nas wzięło.

– Prezent ślubny od twojej matki. Co powiedział lekarz?

– Lekarka – mimowolnie poprawiła go Eryka. – Według niej winien jest stres. Albo owulacja.

– O... co? – zażartował Tomasz.

– No wiesz, ten czas, kiedy robi się miłe rzeczy z myślą o jeszcze miłszych konsekwencjach. Dała mi nawet na to zwolnienie i zaleciła spożywanie sushi w dużych ilościach.

Tomasz położył się koło Eryki i wsunął swoją dłoń pod jej bluzkę. Pierś była bardzo ciepła, miękka i aksamitna. Nie trwało to długo, a oboje rozpoznali bardzo praktyczne zastosowanie szezlonga. Eryka zrozumiała wreszcie, dlaczego tak długo stał w sypialni rodziców, co robił po ich rozwodzie porzucony na strychu i dlaczego był najlepszym prezentem, jaki mogło otrzymać młode katolickie małżeństwo.

Leżeli nadzy, ale nie odczuwali chłodu. Eryka przyglądała się zarostowi Tomasza. Aby

zachować gładką twarz, powinien golić się dwa razy dziennie. Pamiętała czasy, kiedy to robił. Dla niej. Przestał, gdy zaczęła prowadzić kalendarzyk. Eryka zdradziła się bowiem, że to nie twarz jest najważniejszym organem. Wbrew pozorom najważniejszy nie był też penis. Prym wiodły jądra. To o ich dobrostan należało się troszczyć. Nie wychładzać, nie przegrzewać, nie nadużywać produkcji plemników w dni nieplodne, ale i nie zaniedbywać. Seks, który właśnie zaliczyli, był pierwszą od dawna spontaniczną inicjatywą z jego strony, która nie została poddana przez Erykę krytycznej analizie, czy to dobry czas, czy należy akt przełożyć na dogodniejszy termin.

– Co się pchasz, bilet masz? – zażartował Tomasz, gdy umościła głowę w zagłębieniu jego szyi.

– Tomciu...

– No? – mruknął i odchylił głowę do tyłu, jakby tym gestem zapraszał, by się rozgościła.

– Aśka jest w czwartej ciąży. Wpadka. A może tak byśmy wzięli to dziecko?

Pogroził jej palcem.

– Prima aprilis, uważaj, bo się pomylisz. Już prawie, prawie mnie nabrałaś. – Złapał ją w pasie, a potem zawadiacko, choć ruchem pełnym czułości, niby żartem pchnął na podłogę. Mimo chęci nie zdołał jej w porę złapać i boleśnie zderzyła się z posadzką.

ROZDZIAŁ 9

Wymawiając się zwolnieniem, odrzuciła zaproszenie na domową drogę krzyżową u Trojanowskich. Kiedy nie doczekali się odpowiedzi na narysowaną dziecięcą ręką list, zaczęli nagabywać Tomasza. Zależało jej, by uniknąć spotkania z Bajtakami, ale nie chodziło tylko o to. Wielki Post był okresem samotnej refleksji i nie lubiła, gdy pamiątka Golgoty stawała się wydarzeniem towarzyskim. Wbrew rozsądkowi nie mogła się wyzbyć religijności. Towarzyszyło jej przekonanie, że Bóg istnieje, jest to jednak Bóg tak zaabsorbowany walką z innymi bogami o pryncypia, że na ludzkie słabostki nie starcza mu czasu. Choć nie wierzyła, by poświęcał jej chwilę uwagi, i tak bała się, że go rozgniewa. Komórkę uruchomiła dopiero w południe. Ledwo odłączyła ją od ładowarki, a już odebrała telefon od Kicińskiej. Nie łączyła ich taka zażyłość, aby przełożona odważyła się spytać wprost, co dolega jej pracownicy, a ta wcale nie zamierzała rezygnować ze swojego prawa do prywatności. Dowiedziała się tylko, że zebranie zespołu doradczego odbędzie się bez niej, a Izka zobowiązała się przekazać jej telefonicznie wszystkie ustalenia.

– Pani dyrektor – powiedziała Eryka zbyt cicho i od razu zrozumiała, że w tym rozdaniu przegrała. Mimo wszystko odważyła się zadać pytanie tym samym tonem głosu speszzonej uczennicy, która w chwili szczerości wyznaje, że nie znosi szkoły, a na pocieszenie dostaje cukierka i zalecenie obowiązkowej wizyty u szkolnego pedagoga. – Czy pani wie, że ja znam tę rodzinę, którą zajmuje się zespół? Czy nie ma w tym konfliktu interesów? Czuję się w tej sytuacji niekomfortowo.

– Pani Eryko – padło ni to pieszczotliwie, ni to formalnie. – O dzieci tu chodzi, a nie o panią i pani dobre samopoczucie. Nie bardzo wiem, kto mógłby panią zastąpić. Która to rodzina?

– Pani Kostecka nie mówiła? Przepraszam, o mało nie zdradziłam. Ale głupio tak znajomych szpiegować.

– Dziecko, nie komplikuj. Zdrowia, miła pani. Mam nadzieję, że to krótka niedyspozycja. Zawstydzona Eryka poczuła, że jej plan obarczony jest pewną istotną wadą. Był to plan wagarowiczki, a wagary miały to do siebie, że nie likwidowały problemu; konsekwencje, wciąż nieuniknione, oddalały się tylko w czasie. Kto, jak nie ona, specjalistka od lęków szkolnych, mógł wiedzieć lepiej, że pakuje się w coraz większe kłopoty? Czy przed następnym spotkaniem miałyby znów się rozchorować? O, to całkiem prawdopodobne. Ze stresu sztywniał jej kark i ssało w żołądku na samą myśl o reakcji Tomasza, gdyby się dowiedział, że bierze udział w zebraniach. Eryka uświadomiła sobie bowiem, że dałaby radę w nich uczestniczyć, obecna fizycznie, nieobecna duchem jakoś by się ukryła ze swoją prawdziwą niechęcią czy wręcz pogardą wobec tych, którzy niczym bogowie zabierali się za porządkowanie świata. Z czyjzego upoważnienia? To, co dla Eryki było sprawą

prywatną, dla Tomasza stanowiło przedmiot publicznych deklaracji. To, o czym ona rozmawiała podczas modlitwy, on wnosił do rangi prawa naturalnego, w obronie którego należało występować. To, co jej przynosiło osobistą ulgę i było źródłem stabilności psychicznej, dla niego było podstawą do ogólnonarodowej krucjaty moralnej. Nie chciała być wplątana w żadne intrygi z użyciem religii. Nawet jeśli gra toczyła się o szczytny cel, uważała takie rozgrywki za niemoralne.

Tomasz wpadł na chwilę w porze obiadu, żeby nie płacić za posiłek w restauracji. O mało nie zjadł zaczynu chleba watykańskiego, który postanowiła upiec zgodnie z recepturą, co miało zająć całych siedem dni. Wedle dołączonej do zaczynu karteczki można to zrobić tylko raz w życiu. Kiedy więc, jak nie teraz?

– Chleb w intencji? – skrzywił się Tomasz.

– Oj tam, ludzie wierzą w większe zabobony.

– Nie katolicy. Przywiozłem biografię ojca Kolbego, o której ci mówiłem.

I zniknął.

Aśka Sosnowska milczała już drugi dzień. Nie oznaczało to, że przestała czekać. To był znacznie gorszy sygnał – Eryka zrozumiała, że Aśka nie musi się z nią kontaktować, bo ma pełne zaufanie, że przyjaciółka jej pomoże. Obiecała. Ale nie powiedziała – jak. Sama jeszcze tego nie wiedziała.

Pewne rzeczy wydają się proste, dopóki nie dotyczą nas osobiście. Eryka przekartkowała książkę, wygładziła ręką zagięcie w pierwszym rozdziale i przeleciała tekst wzrokiem. Lubiła uciekać w opowieści o honorze, poświęceniu, o wyborze dobra w sytuacji, gdy zewsząd osacza zło. Przypomniła sobie, że tę lekturę ma już za sobą, ryczała przy niej jak bóbr, na wakacjach nad Bałtykiem. Inna plażowiczka obserwowała ją ukradkiem, po czym podeszła i zagaiła z zachodnim akcentem: „Też lubię romanse. Co pani czyta?”.

Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że emocji miała aż w nadmiarze. Dochodziła piętnasta. Emerytowana internistka, Matylda Piasecki, siedziała pewnie w kawiarni przy Rue des Volontaires. Kończyła trzecią tego dnia kawę. Pierwszą z mlekiem. Eryka zawsze chętnie jej towarzyszyła. Mniej więcej siedem lat temu, pomiędzy jednym łykiem a drugim wzięła Postinor Duo. Wciąż jeszcze się nie rozpuścił. Uwierał ją jak zamrożony w azocie zarodek, który nigdy nie stanie się dzieckiem. Eryka obiecała sobie nie zwracać się więcej o radę do ciotki. Z czasem postanowiła całkiem zaprzestać kontaktów. Nie umiała ani tego tematu poruszyć, ani przemilczeć. Dwie małe tabletki wystarczyły, by rozeszły się drogi Eryki, Antonia i Matyldy. Wszystkich przegoniła, tylko poczucia winy nie mogła się pozbyć. Wiedziała, że pomagając Aśce, ryzykuje ich długoletnią przyjaźń. Wiedziała też, że zostawienie Aśki z problemem samej, to definitywny tej przyjaźni koniec.

Matylda nie zgłosiła się ani koło szesnastej, co było zrozumiałe – mogła nie wrócić jeszcze do domu – ani godzinę później. Eryka zaniepokoiła się, dopiero gdy nie podnosiła słuchawki przed osiemnastą, w porze wiadomości, których słuchała z większym nabożeństwem niż katolicy mszy. Tak intensywnie o niej myślała, że kiedy usłyszała dzwonek, pewna była, że to ciotka ściągnięta myślami postanowiła nawiązać z bratanicą

kontakt, że odczytała jej numer z aparatu, który może wreszcie wymieniła na nowszy model. Ale dzwonił Tomasz. Pytał o jej zdrowie, jakby naprawdę była chora, a całe to zwolnienie miało realne podstawy. Czekał ją samotny wieczór. Wieczór, w który naprawdę czuła się sama. Mogłaby wprawdzie spróbować zabić ten niepokój. Zrobić coś pożytecznego. Dajmy na to – posprzątać, ale to, co najbardziej kłuło ją w oczy, wyrzuciła w weekend, a co do reszty, nie miała przekonania, czy warto. Matka, goniąc ją do roboty, zamiast zaszczepić w córce pragnienie czystości, wywołała uraz. Eryka obiecała sobie, że nie będzie niewolnicą kurzu, i wolny czas, który jej matka spędzała w gumowych rękawiczkach i z detergentem albo różańcem, ona marnotrawiła, rozważając, jak go inaczej wykorzystać. Ponownie wybrała numer ciotki Matyldy. Gdyby coś jej się stało, poinformowałby ją o tym ojciec. Profesor Stroicki uważał, że telefon jest mu niepotrzebny, był chyba jedyną osobą w całym Milanówku, która korzystała z budki. I chyba tylko ze względu na szacunek, jakim się cieszył, nie rozebrano jej dotychczas. Nie ma co się paniki. Postanowiła zadzwonić do dozorczyńi, *madame Bonnier*, jej numer miała gdzieś tutaj w starych notatkach.

Podeszła do regału z książkami. Wyjęła tomiszczę Littela, które pożyczyła od ojca i stwierdziła, że nie jest w stanie przez nie przebrnąć, oraz równie obszerną antologię poezji polskiej, którą z kolei znała prawie na pamięć. Woluminy były poupychane tak szczelnie, że Eryka z trudem wyciągnęła przewodnik po południowej Francji. Może to tam wcisnęła zwiniętą w kostkę karteczkę z numerem *madame Bonnier*. Eryce udało się wyjąć przewodnik. Przetarła osiadły na brzegach kartek kurz. Puste miejsce od razu wypełniły pozostałe książki. Coś tu nie gra – przeszło jej przez myśl. Po chwili zastanowienia sięgnęła po ustawione tuż pod ścianą segregatory. Tomasz trzymał w nich wycinki prasowe, dlatego też nigdy do nich nie zaglądała. Denerwowały ją, bo łatwo zbierały kurz, ale jeszcze bardziej drażniła ją treść zarchiwizowanych artykułów. Ogólnie jednak uznawała to za mało groźne hobby. Piąty z segregatorów, ten dostawiony niedawno, stał prawie pusty. Załedwie kilka koszulek, a w nich pojedyncze paski papieru. Zainteresowało ją co innego – poprzyklejane do nich żółte karteczki ze znakami zapytania lub wykrzyknikami. Eryka wyjęła segregator i na zwolnione miejsce wcisnęła z powrotem przewodnik po Francji.

Usadowiła się wygodnie w fotelu, ale w miarę czytania czuła coraz większy dyskomfort. Kręciła się, podkurczała nogi, to znowu prostowała je przesadnie, próbując sięgnąć kanapy. Mruczała coś pod nosem, wodziła palcem po literach i wracała do już przeczytanych fragmentów, by lepiej je zrozumieć. Cały segregator dotyczył działalności komisji majątkowej, mienia zwróconego Kościołowi przez państwo. Erykę zastanowiło, że większość tekstów pochodziła z gazety odrzucanej przez jej męża jako mało wiarygodna. W osobnej koszulce znalazła plan miasta z naniesionymi markerem krzyżykami. Było tych kreśleń kilkanaście, przede wszystkim w ścisłym centrum, nieliczne na peryferiach lub wręcz poza administracyjnymi granicami Warszawy. Żaden z tych obszarów nie był zaznaczony jako teren zielony, dało się dopatrzeć numerów budynków. Eryka w skupieniu przeczytała krytyczny artykuł, w którym dziennikarz opisywał zmagania grupy lokatorów z Żoliborza z właścicielem całego osiedla – Zakonem Braci Maluczkich. Przeor zamierzał sprzedać teren, na którym w latach sześćdziesiątych powstał zespół mieszkań zakładowych. Pracownicy latami otrzymywali głodowe pensje, w ten sposób spłacając mieszkania, jakie

mieli ostatecznie otrzymać na własność. Niestety, nie zdążyli. Zakład sprzętu elektronicznego upadł, a „ich” domy w ramach rekompensaty utraconego mienia trafiły w 1993 roku z powrotem w ręce zakonu. Początkowo zmiana nie była dotkliwa, przeor traktował ludzi godziwie, choć dachy przeciekały, klatek schodowych nie odmalowano, a wiele lokali spaskudziły wilgoć i grzyb, dalej łudził obietnicą przepisania mieszkań na długoletnich lokatorów. Kwota wykupu, którą w końcu podał, nie tylko nie stanowiła pięciu procent wartości, jak wcześniej ustalono, ale znacznie przekraczała rynkową wartość tych zaniedbanych nor. Protesty na nic się zdały, nie trwały zresztą długo, bo zaraz znalazł się inwestor i los osiedla był przesądzony. W miejscu faweli z patchworkowymi koszmarkami powstać miało nowe osiedle. Mieszkańcy tego nieistniejącego osiedla, nazwanego przewrotnie Rajem, uśmiechali się szeroko na wizualizacji, prowadząc swoje śliczne dzieci po równo ułożonym chodniku, wzdłuż precyzyjnie przyciętych trawników. Dziennikarz wspominał o kilku firmach, które startowały w przetargu na wykonawstwo, w rogu plakatu widniały logo głównego inwestora i kilkorga pomniejszych partnerów. Wśród nich najbardziej znajomo brzmiała nazwa Elwo Baj. Eryka poderwała się z fotela i zaczęła przeszukiwać szufladę Tomasza, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

Zawstydziła się. Grzebała w cudzych rzeczach. Szybko doszła do wniosku, że robienie tego podczas nieobecności właściciela jest obrzydliwe. Zwykle w chwilach silnego napięcia szła pobiegać. Na zwolnieniu musiała jednak odwołać się do któregoś z doraźnych sposobów wyciszenia emocji. Wspięła się na krzesło i wyjęła położoną na szafie bombonierkę. Prezent od uczniów. Obiecała sobie, że nie tknie jej w Wielki Post. W stanie tak skrajnego pobudzenia potrzebowała jednak natychmiastowego ukojenia nerwów. Cukru w dużej ilości. Cóż zrobić, że akurat piątek. Sięgnęła najpierw po jedną, przypadkowo wybraną, a potem sprawdziła smaki pozostałych i po kwadransie po czekoladkach pozostało tylko puste pudełko. Klęczała potem nad muszlą o wiele dłużej, niż wymagały tego okoliczności. Z bólem głowy położyła się do łóżka. Sprawdziła jeszcze raz listę połączeń. Wykasowała wybrane numery. Na wszelki wypadek.

Tomasz zastał w mieszkaniu chaos. Czuć było potem. Eryka leżała z makijażem na powiekach, co było zupełnie nie w jej stylu. Z równą dokładnością nakładała cienie, co później pozbywała się charakterystyki. Przykrył ją szczelnie kołdrą i uchylił na chwilę okno, by wpuścić do środka świeże powietrze.

- Zimno. – Naciągnęła kołdrę na głowę.
- Zaraz zamknę.
- Ale ociepla się trochę? – dopytywała, jakby w tej chwili miało to kluczowe znaczenie. Bo jeśli tak, to wszystko się poukłada, a jeśli nie, to życie będzie straszyć jak zmrożone szarobure przyzmy na poboczach dróg, długo po tym, gdy opadną ostatnie płatki śniegu.
- Całkiem. Widziałem nawet takie białe kwiatki.
- Przebiśniegi. Gdzie byłeś dzisiaj?
- Jak to – gdzie? W pracy. Chcesz, wezmę cię jutro ze sobą.
- W sobotę?
- W soboty ludzie najchętniej oglądają. Zresztą wczoraj cały dzień zmarnowałem. Mam umówionego klienta na dom w Milanówku. Może odwiedzimy matkę?
- Mam sprawę do ojca – wymknęło jej się, ale Tomasz nie zwrócił na to uwagi. Wrócił

spod prysznic, przygniół ręką jej otulone flanelową piżamą spocone ciało i zaraz zasnął. Oswobodziła się ostrożnie i pomyślała, że powstrzymywanie się od zbliżeń w wielkopostne piątki ma też swoje dobre strony. Nie musi wymyślać wymówek. Choć naprawdę bolała ją głowa.

ROZDZIAŁ 10

Opuściwszy Marysin, Eryka miała wrażenie, że wjeżdża do obcego miasta. W Warszawie zawsze czuła się spięta. Mimo że skończyła tam liceum z maturą francuską, a potem Sorbonę, dalej miała kompleks dziewczyny z Milanówka i bliższy był jej Paryż, w którym to, czy ktoś pochodzi z Milanówka, czy z Warszawy, było zupełnie bez różnicy.

Przez całą drogę milczała. Miała dość rozsądku, by tematów, które leżały jej na sercu, nie poruszać z mężem. I dość rozsądku, by nie zastanawiać się nad tym dlaczego. Ciszę przerwał Tomasz.

– Zaraz mi tu zemdlejesz. Otworzyć okno?

– Nie, tylko spać mi się chce. – Eryka mimowolnie złapała się na myśli, że nadmierna senność to jedna z możliwych reakcji na ciążę. – Ale nie chcę kawy.

Żeby dostać się na szóste piętro, musieli skorzystać z windy, o której Tomasz zdążył opowiedzieć żonie anegdota, jak się zacina, świeci wszystkimi guzikami po kolei na czerwono albo uruchamia sygnał alarmu. Przez windę stracił już klienta, choć raczej przez swój komentarz, że pewne rzeczy są, jakie są, i nie można ich zmienić. Mężczyzna otwarcie skrytykował takie podejście i zarzucił Tomaszowi zgodę na fuszerkę. Tomasz odgrażał się potem w administracji, że jeśli podobna sytuacja przytrafi mu się jeszcze raz, zażąda odszkodowania. Ulżył sobie, ale i od razu się zorientował, że nic nie zamierzają z tym robić. Eryka, która źle czuła się w tłumie i zamkniętych pomieszczeniach, wolała się powstrzymać od narzekania, bo dobrze rozumiała, czemu Tomasz stąd nie ucieknie. Czekał, aż rozstrzygnie się kwestia budowy, na której będzie miał przestronne, jasne, pachnące świeżością biuro. Na razie dzielnie znosił niedogodności. Nieprzewidywalną windę, naznaczoną śladami użytkownika toaletę na korytarzu, podłogę z kornikami i nieszczelne okna. Oby nie był jak ci mieszkańcy, którzy latami czekali na remont, a doczekali się eksmisji. I jemu musiał towarzyszyć strach, że wszystkie nadzieje zakończą się wielkim rozczarowaniem. To w końcu biznes, a nie konkurs w stawianiu babek z piasku, ale Eryka nie mogła się zdobyć na współczucie. Przeciwnie. Miała żal, że choć nie mógł temu zapobiec, brał w tym udział. Żal także do siebie, że dopuszcza, by robił to również dla niej.

Otworzyła na oścież drzwi balkonowe, za którymi zamiast balkonu była balustrada. Jeden z jej uczniów nazwał ostatnio takie rozwiązanie architektoniczne „rzygownikiem” i domagał się angielskiego odpowiednika. Z trudem utrzymała wówczas powagę, bo określenie wydało jej się wyjątkowo trafne. Poczowała powiew świeżego wiosennego powietrza. Sam pokój w odróżnieniu od reszty budynku prezentował się całkiem sympatycznie. Mówienie o nim „pokój” to może przesada. Z powodzeniem mógłby zastąpić ich o połowę mniejszy salon w bloku. To ogromne okna i wysokie sufity sprawiały, że pomieszczenie wyglądało na nieduże. Kamienicę w poprzednim stroju

poszatkowano na klitki. Dodatkowo całe ściany boczne zabudowano regałami w niezbyt fortunnie dobranym kolorze ciemnego mahoni. Siermiężne biurko stojące na wprost wejścia zajmowało najwięcej przestrzeni i dopiero Eryka uświadomiła Tomaszowi, jakim nietaktem jest przyjmowanie przy nim klientów, szczególnie na rozkładanych plastikowych krzesłach. Za jej namową udało się wygospodarować miejsce na kącik, w którym goście wygodnie rozsiadali się na sofie i rozkoszowali dobrej jakości kawą, podawaną w eleganckich filiżankach ze złożonymi zdobieniami. Sama też lubiła rozłożyć się na miękkim siedzisku, i kiedy Tomasz uruchomił ekspres, pożałowała, że pochopnie odrzuciła jego propozycję. Niczego jednak nie bała się bardziej, niż uchodzić za osobę niestabilną. Kiedy więc Tomasz postawił filiżankę espresso na biurku, poczuła, że unoszący się w powietrzu aromat wywołuje u niej odruch wymiotny.

– Chcesz mi pomóc czy masz jakieś plany? – Objął Erykę.

Instynktownie się odsunęła. Miał status podejrzanego i przytulanie się do niego nie było wskazane.

– Chętnie na coś się przydam, ale niekoniecznie przy komputerze.

– Nie bój się, nic nie popsujesz – próbował ją nieudolnie zachęcić. Eryka powstrzymała się przed komentarzem i zapadła głębiej w sofę.

Tomasz rozejrzał się po pokoju i otworzył szafę, w której równo ułożono w dwóch słupkach kartony. Wyjął ten z samej góry i postawił na podłodze.

– Mam tu takie starocie, trzeba je alfabetycznie posegregować. To umowy z ostatnich dwóch lat, ale od przeprowadzki leżą schowane. Nie są mi właściwie potrzebne, ale dobrze trzymać takie rzeczy.

– Po co? – zdziwiła się Eryka.

– No co ty, nie znasz własnego męża? – roześmiał się Tomasz i Eryka też się mimowolnie uśmiechnęła. „Na wszelki wypadek zostaw”, odpowiadał przecież zawsze, gdy pytała, co jeszcze może wyrzucić z ich małego mieszkania. Sprawdził pocztę, by potwierdzić spotkanie z klientem w Milanówku. Choć Eryce wizyta u rodziców była na rękę, poczuła, jak sztywnieje jej kark. Czekala jak na wyrok, z nadzieją, że może klient się rozmyślił, zamiast domu w Milanówku kupi sobie inny w Pruszkowie. Życie byłoby całkiem przyjemne, gdyby cały czas nie domagało się od nas aktywnego udziału, myślała Eryka. Decyzje. Wybory. Dylematy. Sam Bóg jej przed tym nie obronił. A tak bardzo na niego liczyła. Amerykanin o dobrze rokującym nazwisku MoneyPENNY uparł się obejrzeć właśnie tę willę w pobliżu rodzinnego domu Eryki. A to oznacza, że będzie musiała grzecznie zjeść obiadek u matki, wypytywać ojca o ciotkę Matyldę i jeszcze wytropić u niego ślady przeszłości, na myśl o których dostawała gęsiej skórki.

– Lecę tutaj na Polną, mam umówionego klienta. Uprzedzę też matkę.

– Uprzedź, uprzedź, pewnie biega ze sprayem i wybija zarazki z sedesu. Zabiłaby i nas, gdybyśmy wpadli zniemacka.

– Chyba miała żal, że zapomnieliśmy o jej urodzinach. Coś tam wspominała, kiedy byłaś u ojca.

– Narzekala? – Eryka wybuchła nieoczekiwanie. – Nie przejmuj się. Jak pamiętamy, też źle, bo niby jej wiek wypominamy. Tak było, jest i będzie zawsze, na wieki wieków amen.

– Rodzice to rodzice, są, jacy są, a na dodatek nie żyją wiecznie. Gdyby tylko moja matka

nie mieszkała tak daleko.

Bzdura, pomyślała Eryka. Nie jeździsz do Łodzi, bo masz żal do matki, że po śmierci ojca wyszła znowu za męż. Ciekawe, czy masz mnie za ślepa, czy sam się przed tą wiedzą bronisz.

– Milanówek czy Łódź, autostradą prawie ta sama droga – odezwała się już spokojniej.

– Ale tak się składa, że mam po południu klienta w Milanówku, a nie w Łodzi. Za karę pojedziemy niedługo do mnie. Dobrze? – zaproponował polubownie.

Przyjrzała mu się uważnie; wyglądał, jakby rzeczywiście gotów był podjąć dla niej takie wyzwanie.

– Na razie wystarczy moja matka. I ojciec.

– Około drugiej powinienem być z powrotem. Jeśli będziesz głodna, zamów coś na wynos, ale pamiętaj, że matka na pewno coś przygotuje i trzeba będzie to zjeść – rzucił jeszcze na odchodnym, a Eryka przekręciła zasuwkę w drzwiach i ciężko westchnęła. Zamierzała znaleźć igłę w stogu siana, a potem usprawiedliwić wszystkie grzechy Tomasza i przepchnąć go przez ucho igielne.

– Skąd ci ludzie tutaj w środku dnia? – marudziła Eryka.

– Korek rano, korek po południu, korek w poniedziałek i w sobotę, to nie jest miasto dla kierowców – potwierdził Tomasz.

– Co innego biuro w jednym miejscu, nie? Jak w Raju – rzuciła zaczepnie.

– Pewnie – westchnął.

– Nawet za wszelką cenę?

– Słucham? – Tomasz majstrował przy radiu, wyczekując informacji o kursie walut.

– Najpierw kluczysz coś o squattersach, potem o dłużnikach. Tymczasem dniami i nocami kombinujesz z Bajtakiem, jak wyrzucić ludzi z ich własnych domów, i jeszcze bierzesz go w obronę, że niby taki skrzywdzony. Że jacyś inwestorzy się na niego uwzięli. Myślisz, że masz idiotkę za żonę?

Odchrząknęła i poruszyła głową. Znowu bolała ją szyja. Skąd to napięcie? Owszem, kłócili się z Tomaszem, ale było im bliżej do przekomarzającej się nieustannie pary niż do działających sobie na nerwy małżonków ze słusznym stażem.

– Przepraszam. Znowu mi duszno – usprawiedliwiła się.

Miała ochotę na kawałek czekolady, którą Tomasz woził zawsze w aktówce, a przecież trwał Wielki Post i jej niedawne przewinienie miało pozostać jednorazowym. Sprawdzona metoda tłumienia emocji tym razem zawiodła. Wymieszane z powietrzem w aucie tworzyły zawieszistą, ciężką do zniesienia atmosferę. W biurze Tomasza znalazła dowody na to, o co w domu mogła go tylko podejrzewać. Jej mąż był zaangażowany w budowę Raju. Jak każdy raj, ten także miał być tylko dla wybranych. Mieszkania oferowane były z wykończeniem pod klucz w szalonej cenie trzynastu tysięcy za metr. Eryka nie miała wprawdzie orientacji, ale szybka kalkulacja, że na apartament o najmniejszym metrażu siedemdziesięciu metrów należałoby przeznaczyć prawie milion, była dla niej wstrząsająca. Podobnie jak fakt, że ta enklawa luksusu powstanie na terenie robotniczego

rezerwatu. W miejsce ludzi skrzywdzonych przez nowy ustrój wprowadzą się jego beneficjenci. Tomasz, który wycierał sobie gębę Polską i Solidarnością, okazał się bezwzględny kapitalistą. To bolało ją bardziej niż sytuacja ludzi wyrzuconych z mieszkań, których zdjęcia odnalazła dziś w teczkach. Na ich podstawie przeor miał ustalić z rzeczoznawcą wycenę. Ludzie godzili się na to, w końcu z własnych oszczędności montowali sobie plastikowe okna, kominki albo ogrzewanie gazowe. I spodziewali się z tego tytułu bonifikaty. Ich oczekiwania kłóciły się z oczekiwaniami zakonu, których z kolei nie dało się pogodzić z nauką Kościoła katolickiego. Tymi zarzutami, niemalże na jednym oddechu, Eryka podzieliła się z mężem. Jak najsprawiedliwsza ze sprawiedliwych.

Widziała, jak poczerwieniał. Przestraszyła się siebie. Oskarżycielskiego tonu. Rozczarowania. Miała już dość tego przyprawiającego ją o bezsenność i wrzody żołądka podejrzenia o przemoc u Bajtaków, kłopotów Aśki, ale i tego osiedla na gruzach ludzkich złudzeń. Czowała, że trzęsie jej się podbródek i za chwilę nie będzie już w stanie powstrzymać płaczu. Jak zwykle przed okresem. Z tego wszystkiego od paru dni nie mierzyła temperatury. Że zapomniała? Nie. O tych sprawach pamiętała lepiej niż o pacierzu, ale frustrowała ją comiesięczna przewidywalność pomiarów.

– Wiesz, ilu podwykonawców o to się biło? I jacy? Prawdziwe wilki. Wygraliśmy my, a ty wyskakujesz z pretensjami, jakby to wszystko było nielegalne – wycedził wreszcie Tomasz.

Eryka uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Legalne – powtórzył z naciskiem Tomasz i wbrew swoim zasadom zjechał na pas do skrzyżowania, by na jego końcu ponownie wcisnąć się do ruchu na środkowym.

– Tak legalne, że nie mogłeś mi od razu przedstawić wszystkich kłopotliwych detali? Tak legalne jak antykoncepcja, aborcja, seks przedmałżeński i in vitro? Bardziej legalne od badania nasienia? To czemu go, do cholery, nie zrobisz?

– Mieszasz porządki, nie wiem, o czym my rozmawiamy. Najlepsza metoda kusego na skłócenie małżeństw – odwołał się do ulubionego argumentu.

Eryka parsknęła śmiechem. Był to nerwowy chichot szalonej czarownicy, takiej, która jeszcze z kamieniem u szyi szydzi z tych, którzy właśnie ją topią. Podbródek całkowicie wymknął się spod jej kontroli i Eryką zawładnął spazmatyczny szloch.

– Potrzebujesz modlitwy wstawienniczej – stwierdził kategorycznie Tomasz. – Kompletnie nad sobą nie panujesz.

– Raczej psychiatry potrzebuję. Od chorób są lekarze. Pan Bóg to leczy, owszem, ziołami, darami natury może, szkoda tylko, że nie nas.

– Nawet na zioła potrzebne są pieniądze. Gdzie chcesz to dziecko położyć? Za co wykształcić? Ciągłe o nim gadasz, jakby to był jakiś kryształ do regału, a jak chcę coś w tym kierunku zrobić, to się oburzasz jak święta dziewica. Dziecko kosztuje, nie wszyscy są tak beztroscy jak twoja przyjaciółka.

Na światłach nacisnęła klawisz odblokowujący zamki. Szarpnęła za klamkę i zabrała torebkę. Wszystko zbyt pośpiesznie, jakby się obawiała, że zaraz zmieni zdanie, albo że ktoś ją powstrzyma.

– Pojadę kolejką. Nie mogę, przepraszam, ale nie mogę wytrzymać tu ani chwili dłużej – rzuciła na usprawiedliwienie w ostatniej chwili.

Tomasz patrzył, jak rude włosy szamocze na wszystkie strony wiatr. Rozpięty płaszcz odsłaniał jej długie nogi w ołówkowej spódnicy, buty na obcasach nie przeszkadzały jej unosić się nieznacznie nad ziemią, jakby była aniołem, który pragnie odlecieć, ale któremu podcięto skrzydła.

Choć w drodze ze stacji wystarczająco się dotleniła, nie protestowała, gdy matka postawiła przed nią kawę o aromacie równie drażniącym jak tamta w biurze. I filiżanka ze złoceniami była jakby wyjęta z tamtego serwisu mieszczańskiej klasy średniej. Eryka zdumiona zauważyła, że nie pamięta, kiedy piła kawę z kubka, nie mówiąc o szklance. No, chyba że poczęstowana, wtedy była gotowa wypić nawet ze wspólnego garnuszka, jak zdarzało się to nieraz podczas pielgrzymek, na które od niemowlęctwa, jeszcze w wózku, była zabierana przez matkę. Sierpień był dla niej miesiącem pielgrzymkowym przez całe dzieciństwo. We Francji nie odwiedziła nawet Lourdes.

– Gdzie Tomek, Marysiu? Rosołek odmroziłam. Mrożony nie tak dobry, za to makaron domowy.

– U klienta. Przyjedzie za chwilę. – Znowu drżał jej głos. Wyprostowała plecy. Odchrząknęła. Choć głowę trzymała wysoko, coś dalej ścisnęło jej krtań.

– No tak, gdyby nie klient, w ogóle byś do mnie nie zajechała. Sprawdzając szanownego pana na dole? Jak zwykle w sobotę w bibliotece, a dom otwarty! – rozkręcała się matka. – Masz, chodaki włóż.

Eryka poczuła niepokój. Nie spyta matki o ciotkę Matyldę, ale gdyby coś złego się stało, ojciec nie siedziałby w bibliotece. W soboty przeglądał tygodniki. Nie sądziła, by spokojnie czytał gazety, jeśliby dotarły do niego złe wieści o siostrze. Pod jego nieobecność wykorzysta okazję i zajrzy do skrytki, jaka służyła jej od dzieciństwa. Taki miała plan.

– Mamo, proszę cię, przestań – wyszeptała. – Zaczekaj na Tomasza, wtedy razem sobie na mnie pojeździecie, nie chcę przechodzić tego dwukrotnie. – Czuła, że puszcza jej nerwy i znowu bliska jest płaczu. Spojówki dodatkowo podrażniał zapach detergentów unoszący się zamiast kurzu nad lustrem, podłogą, świeżo wypranym dywanem z długiego włosia i komodą, która za sprawą świętych obrazków, plastikowych butelek pełnych święconej wody, krucyfiksu obwieszonych różańcami przypominała ołtarzyk.

Krystyna Stroicka nałożyła na nos okulary i przyglądała się córce jak bakterii pod mikroskopem. Z odrobiną obrzydzenia i fascynacji.

– Czy wy się aby nie pokłóciliście? Tomek by nie pozwolił ci iść piechotą. Mówił, że chora byłaś. Spociałaś się cała. Plamy pod pachami. I oczy rozmazane. Weź nałóż jakiś okład na powieki. Mężczyźni tak się nie pokazuj jak ostatnia sierota.

Eryka podporządkowała się matce bez protestu. Położyła się na fotelu z torebkami herbaty na powiekach. Znowu przeniosła się w przeszłość. Rzeczy trwały, ich nie dało się anulować jak małżeństwa. Dziwne. Fotel obito w modną jakiś czas temu pepitkę i wciąż mógł spełniać swoją funkcję. Jakie znaczenie miał fakt, że nie siądzie już na nim ojciec? Czy liczyło się to, że żadne dziecko już dawno nie zdejmowało poduch z siedziska, nie

skakało z oparcia na podłogę lub nie szarpało się z nim w progu, przewożąc innego pasażera. Całe to otoczenie, jej dom rodzinny, stało się pustą dekoracją, którą należało zdemontować po rozstaniu rodziców i zacząć wreszcie grać inny spektakl. Czemu nie mogli, jak tyle innych małżeństw, sprzedać go i przeprowadzić się od siebie jak najdalej? Powieki zaczęły ją szczypać, jakby teina weszła w reakcję ze łzami. Eryka odchyliła głowę mocniej do tyłu, aż torebki zsunęły się na dywan. Szybko je podniosła, ale matka jej nie zrugowała, choć nie omieszkała westchnieniem skomentować mokrej plamy na jasnym splocie.

– No, przyznaj się, jestem przecież twoją matką. O co wam poszło? – ponaglała ją, jakby uznała, że nadszedł czas, by sprawy ostatecznie wyjaśnić.

Eryka, oczekując od matki poparcia, stwierdziła, że najbezpieczniej będzie wszystko zrzucić na rolę Tomasza w inwestycji w Raj.

– Masz rację, może to i nieetyczne. I zakon się nie popisał. – Kiwała jej palcem przed nosem matka. – Tylko ty wyciągnęłaś złe wnioski. Bo jak spotkasz grzesznego duchownego, to jest to boska lekcja pokory, a nie okazja do buntu. – Zawiesiła głos, znak, że za chwilę przejdzie od pouczania do ataku. I tak się stało. – Tomek wie, co robi. Ale ty jak zwykle masz się za najmądrzejszą.

– Mamo – jęknęła Eryka. – Ty powinnaś być jego matką, a moją teściową.

– Jestem jego matką – powiedziała z naciskiem Stroicka. – I twoją też. I mam złotą radę. Nigdy, przenigdy nie mieszaj się do interesów męża. Praca czyni mężczyznę. A męskim zadaniem jest dbać o rodzinę. Przecież powiedział ci, że dla ciebie, dla was się stara. Ciesz się, że uniknęłaś moich błędów i dobrze wybrałaś.

Na czubku języka swędziało Erykę pytanie, po ilu latach nazywania Bernarda Stroickiego „profesorkiem” doprowadziła go do utraty męskości. Stroicka sama wyjaśniła:

– Oczywiście pod warunkiem, że mężczyzna pracuje i przynosi pieniądze, a nie studiuje i liczy na cuda, jak jakiś żydowski cadyk.

Eryka westchnęła ciężko i resztką sił uruchomiła program minimum: przetrwać. Jak tylko przyjdzie Tomasz, wymknąć się do mieszkania ojca. W tym celu należało pozwolić matce mówić, ale wyłącznie na tematy, na które samej nie miało się nic do powiedzenia. To dawało cię szansy, że unikną konfliktów. Matka nie należała do osób małomównych i nie trzeba było długo czekać, aż ponownie się odezwie. Najbardziej interesowała ją, niestety, reforma edukacji, ale – o dziwo – Eryka w znacznej mierze podzielała jej poglądy. Szkoły były nieprzygotowane na przyjęcie sześciolatków, klasy mieszane wiekowo przysparzały samych problemów, a elementarz powszechny dzieci ogłupiał. Trudno się było z tym zgodzić. Słuchała więc obojętnie, przeglądając jednocześnie prasę, leżącą na półeczce pod blatem stołu. Znajdowała tam tytuły, jakich nie znosił do domu nawet Tomasz. Wbrew pozorom, wcale nie prasę katolicką – przeważały różnej maści opowieści grozy z życia prywatnych detektywów i jasnowidzów. Ich dość pobieżna lektura tylko utwierdziła Erykę w przekonaniu, że lepiej z matką nie zadzierać, gdyż nie należy do najbardziej stabilnych osób. Kiedy sytuacja wydawała się opanowana, kiedy wreszcie przestało jej kołatać serce, wszedł Tomasz. Wniósł brud na podeszwach, co nie umknęło uwadze Krystyny Stroickiej, ale zostało miłosiernie przemilczane, i bukiet tulipanów, co z kolei zostało odnotowane przez obie panie. Wyciągnęły ręce po kwiaty w tej samej chwili. Tomasz objął teściową.

– Wszystkiego najlepszego urodzinowego.

Eryka pospiesznie cofnęła dłoń, jakby została przyłapana na próbie kradzieży. Mamrotała niewyraźnie życzenia pod nosem.

– Oj, synu, w pewnym wieku to raczej przykra rocznica dla kobiety – krygowała się Stroicka.

– Czas jest dla mamy łaskawy. Pochwaliła się mamie? – spytał Tomasz, zupełnie ignorując obecność żony.

– Tak, a czym? – spytała kobieta bez szczególnego zainteresowania, nalewając wodę do wazonu. – Jakaś nie w sosie dzisiaj panienska.

Tomasz od razu odebrał od niej ciężkie naczynie i postawił we wskazanym miejscu na komodzie.

– Awansem swoim.

– Ooo? To w oświacie można awansować? Te nerwy to już ciemna strona sukcesu? – ironizowała matka.

Tomasz zachowywał się jak zranione zwierzę, które zaciekle walczy o przetrwanie, choć wcale nie atakuje na oślep. Celował prosto w żonę.

– Mam tego dosyć – pisnęła Eryka, jakby odetkała jej się wreszcie krtań. – Ja tu jestem obecna. Nie wiem, o co wam chodzi.

– Nam chodzi? – włączyła się matka. – Nam chodzi? Nie do wiary. Twój mąż chce opowiedzieć o jakimś awansie, którym nawet nie raczyłaś się podzielić, a ty się obrażasz jak dziewiętnastowieczna histeryczka. To sama powiedz. Proszę. Słucham.

– Pojęcia nie mam, o czym on mówi – zwróciła się do matki, mimo że jej mąż stał pomiędzy nimi. Jak zwykle dała mu się podpuścić. Znowu grali w „nic do ciebie nie mówiłam”. To on rozdawał karty i ustalał zasady.

– Eryka dostała szansę, by się wykazać w pracy detektywistycznej. Zaangażowano ją do zespołu do spraw tropienia świeckich grzechów wśród przyjaciół ze wspólnoty – wyjaśnił Tomasz, podkładając teściowej poduszkę pod plecy.

– Masz na myśli Raj? A jaki to ma związek z awansem?

– Aha, o tym także zdążyła mamie powiedzieć – zauważył z przekąsem. – To akurat mój awans.

Eryka wyczuła swoją szansę:

– Dalej w to brniesz? A co powiesz o tym artykule? Wiele wyjaśnia.

Wyjęła z torebki złożony w kostkę wycinek prasowy – reportaż sprzed pół roku. Zdaje się, że to właśnie on dał różnym środowiskom lewicowym impuls do blokowania tej inwestycji.

– Nie do wiary, nie tylko grzebiesz w moich rzeczach, ale jeszcze potajemnie wynosisz je z biura. – Tomasz wzniosł ręce teatralnym gestem. Czuł się pewnie, zbyt pewnie.

– To przecież gazeta gównie warta – skomentowała matka i oddała jej wycinek. – Marysiu, czy ty w ciąży nie jesteś? – zaniepokoiła się, widząc, że w oczach córki znowu zbierają się łzy. – Matko Boska, ona w ciąży, a profesorek okupuje dół! Niechby i do Paryżewa się wyniosł. Albo z tym Rajem niech Tomaszek ruszy!

– Mamo, nie mogę narzekać, właśnie sprzedałem willę po sąsiedzku. Prowizja niczego sobie. Amerykanów będzie mama miała za sąsiadów.

– Zawsze mówiłam, że Amerykę to my mamy u siebie.

Eryka czuła, jak zbiera jej się na wymioty, ale postanowiła je powstrzymać siłą woli. Ta jej słabość faktycznie jakaś dziwna. Eryka bowiem nigdy do tej pory nie płakała łzami. Płakała za to co miesiąc macicą, jak określiła wielodzietna specjalistka od płodności na kursach przedmażeńskich. Jak teraz się rozklei i do niekontrolowanego płaczu dojdą wymioty, przekreśli lata praktyki w zaciskaniu zębów. Uruchomiła techniki oddechowe znane z jogi. Stopniowo odzyskiwała pewność siebie. Pomyślała o wszystkich biegach, z których miała ochotę się wycofać, i o tych medalach, jakie otrzymała później na mecie. Pomogło. Udało jej się uspokoić emocje i w miarę rzeczowo wyjaśniła, na czym ma polegać jej zadanie w zespole interdyscyplinarnym, przekonując przy tym samą siebie co do zasadności własnego udziału.

– Wszystko przez jej ojca – rzuciła Stroicka w próżnię. Miała szlachetne, symetryczne rysy, mogła wyglądać jak dama, ale szpeciły ją kaznodziejska bruzda na czole i opuszczone kąciaki ust, przez co upodabniała się do surowego belfra. – Całe życie będzie naznaczona. Ekspert od siedmiu boleści, co dziecku pieluchy ani razu nie zmienił. Ani razu, rozumiesz? Nawet po mojej cesarce. Spytaj go, gdzie był, jak chlustałaś wymiotami przy refluksie. Co się na mszę wyszykowałam, to mnie obrzygałaś. Luteriańskie geny od początku w tobie kipiały – powtórzyła oskarżycielsko, jakby żadna przemoc domowa nie mogła się równać takiemu przewinieniu. – Tomek słusznie mówi, że świeckie inicjatywy nie są dla nas. Oni mają sądy, a my przykazania.

W Erykę wstąpiła moc, jakiej sama się po sobie nie spodziewała – moc diabelskiej przekory. Podeszła do męża i wyciągnęła rękę w jego stronę.

– Umówmy się, ty będziesz miał swój Raj, proszę bardzo, a mi pozwól na moje piekło. Czy, jak mówisz, awans.

Tomasz kiwnął głową, wyjął z bukietu matki tulipana, wsunął go żonie w wyciągniętą dłoń, którą od razu zacisnęła, i wyszeptał jej do ucha:

– *Deal.*

Eryka miała wrażenie, jakby właśnie zawarła pakt z diabłem. Jakby sprzedała tych ludzi ze Starego Żoliborza. Jakby ich zawiodła, choć niczego od niej nie oczekiwali, nawet nie wiedząc o jej istnieniu. Więcej – prawdopodobnie nic nie mogła dla nich zrobić. I dokładnie w tej chwili postanowiła, że nie prehandluje tak chłopców Bajtaków. Jeśli oskarżenia się potwierdzą, będzie o nich walczyć jak lwica o młode. Bo swoją walkę odpuściła zbyt szybko.

– Tomasz, rosół przyniosłam, smacznego – usłyszała matkę i niezauważona przez nikogo i nieproszona do stołu wymknęła się do mieszkania ojca.

W piwnicznym półmroku podeszła do regału. Stał tam, gdzie zawsze. Artystycznie oprawiony w jedwab egzemplarz dzieła Junga, wydrążony w środku. Wyjęła książkę i podniosła sztywną okładkę. W środku, niczym w sekretnej szkatułce tkwiło jej zdjęcie. Sama je tam włożyła w akcie buntu. Najpierw z premedytacją zniszczyła wolumin. Buntowała się z klasą, ale bez większego efektu. „Erysiu, są lepsze pomysły na ramki” powiedział wtedy spokojnie ojciec i odłożył książkową wydmuszkę na dawne miejsce. Minęło tyle lat, a on to trzymał.

Sprawdzony schówek Eryki.

To w nim ukryła drugie opakowanie tabletek od ciotki, którego nie wykorzystwała. Na chwilę, jak dwóch spiskowców, połączyła je pewna życiowa zapobiegliwość. Matylda chciała mieć pewność, Eryka wolała mieć wybór.

ROZDZIAŁ 11

A ty dokąd się wybierasz? – spytał Tomasz Erykę, zdziwiony, że mimo wczesnej pory sięga po klucz i ubrana w płaszcz czai się przed drzwiami gotowa do wyjścia.

- Nie chciałam cię budzić. Zostawiłam kartkę.
- Ale możesz mi chyba powiedzieć? Czy mamy od teraz wyłącznie do siebie pisywać?
- Nie mogłam spać, wychodzę.
- To widzę, ale dokąd?
- Na mszę idę.
- Jak to będzie wyglądało, jeśli pójdziemy osobno?
- Bogu wszystko jedno, a ludziom zawsze coś nie pasuje. Później zrobię naleśniki. Może tak być? – Znowu zwyciężyła w niej chęć złagodzenia konfliktu i chętnie by nawet rozpięła płaszcz i z powrotem wsunęła się do ciepłego łóżka, gdyby nie to, że ukrywała pod okryciem obcisłe cygaretki. Kusiło ją, by sprowokować oburzenie Tomasza. By sprawdzić, czy tym razem też zdoła powstrzymać śmiech na widok jego zgorszenia. Nie zaryzykowała konfrontacji. Przekręciła klucz i nie czekając na windę, zbiegła po schodach. Tomasz sięgnął po leżącą na stoliku nocnym kartkę i przeczytał: *Jak śpisz, wyglądasz całkiem miło. Postaraj się podtrzymać to wrażenie, jak wrócę z kościoła. Czasem muszę być trochę osobna. Eryka.*

Usiadła pod obrazem Matki Boskiej Rozwiązującej Węzły. O tej porze nie spodziewała się spotkać nikogo ze znajomych i faktycznie kościół wypełniony był głównie starszymi ludźmi. Próbowała się zastanowić, co robić dalej. Tabletki oczywiście dawno straciły ważność. Tego się przecież spodziewała. Więcej, na to liczyła. Jakże elegancko rozwiązywało to jej problem. Wymknęła się, zanim ksiądz odczyta list biskupi o podstępnej inwazji ideologii gender, o szkodliwości in vitro albo o konwencji o zwalczaniu przemocy domowej. Może zdąży podjechać na Ochotę, do Aśki, nim skończy się suma, na którą wybierał się Tomasz. Nie namyślając się długo, wsiadła w pusty autobus i ścisnęła kurczowo na kolanach torebkę.

Aśka tym razem otworzyła jej drzwi niedzielnie wystrojona.

- Czemu nie uprzedziłaś? – Zaskoczona pospiesznie zamknęła drzwi do dużego pokoju, z którego dochodził pisk z kreskówki dla dzieci.
 - Niespodziankę ci chciałam zrobić – skłamała Eryka. W rzeczywistości do ostatniej chwili nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, by tam przyjść.
 - Co się dzieje? – spytała Aśka.
- Eryka podała jej płatek z tabletkami.
- O Boże, skąd masz? Ciotka przysłała?

W przedpokoju panował półmrok i Aśka nie mogła zauważyć, jak Eryka czerwienieje na twarzy.

– Postinor? – zdziwiła się Aśka.

– To źle?

– Postinor działa do trzech dób po stosunku. Ja jestem w szóstym tygodniu.

– Jak to? – Jej przecież pomógł. Tak twierdziła ciotka Matylda. Eryka wzięła dwie tabletki, gdy okres jej się spóźnił. Tydzień po powrocie z Hiszpanii.

– Postinor kupisz też w Polsce. Każdy lekarz, nawet weterynarz, może wypisać receptę. Po cholere wysłała ci Postinor?

– Powiedziałam, że potrzebuję tego, co kiedyś. Mi pomogło. No wiesz, wtedy. – Przełknęła ślinę, jakby przyznając się do grzechu.

– No co ty, Wiewióra? Ciotka lekarka musiała o tym wiedzieć, że za późno ci go daje. Dostałaś placebo. On jest dla późniejszej ciąży neutralny, nieszkodliwy w każdym razie. Jak witamina C.

Eryka milczała ze spuszczoną głową.

– To jakie to mają być te tabletki?

Aśka przytuliła przyjaciółkę.

– Wiewióra, kochana, ty za mną w ogień byś skoczyła, co? Ale ja już znalazłam rozwiązanie. Nie wiedziałam, że potraktujesz to na serio.

– Teraz ty żartujesz? Sama z czwórką?

Walka o pilota stawała się coraz głośniejsza. Przerwał ją męski głos.

– To Łukasz? – zdziwiła się Eryka.

Aśka przygryzła wargi i spuściła głowę. Oparła się mocniej o drzwi.

– Przemyślał sprawę.

– Opamiętaj się. Co przemyślał? Ten romans się ciągnie chyba z rok. Wyprowadza się i wraca jak do hotelu.

– Ciii! Dzieci usłyszą. To pragmatyczny człowiek. Zabiera mnie na wycieczkę do Londynu. Stwierdził, że w Anglii załatwimy sprawę raz na zawsze, a jego wyniesie to taniej niż alimenty.

Z pokoju wychylił się szpakowaty mężczyzna z wąsem. Typ, który nie należał do przystojnych, ale umiał zjednywać sobie sympatię ludzi. Szczególnie kobiet.

– O! Eryka! – przywitał ją uśmiechem. Sztukę kamuflażu opanował do perfekcji. Przecież musiał zauważyć, że nie cierpi go od początku. Już kiedy przyjechali po zaręczynach do Paryża, najbardziej ciągnęło go do erotycznych kabaretów. Nie sposób mu było jednak odmówić uroku osobistego. – Podwieźć cię? – zaproponował. – Jedziemy odstawić dzieciaki do rodziców.

Eryka opuściła mieszkanie bez słowa i skierowała się prosto do domu. Tomasz miał wiele wad, z których najgorszą było to, że rygorystycznie przestrzegał przykazań. Mogła trafić gorzej.

Wrócił z kościoła później, niż się go spodziewała. Czekala na niego w stroju biegowym tylko po to, by upewnić się, że jest. Swoją obecnością nadawał ramy jej rzeczywistości. Zachowywała się jak dziecko, które wyrusza odważnie na podbój świata, co chwilę

wracając do matki, by podzielić się wrażeniami. I jak to dziecko, Eryka potrzebowała jego uwagi, zachęty, troski, a nawet zdyscyplinowania. Raz jeden zrobiła coś w tajemnicy przed nim, chciała pomóc przyjaciółce i jak to niefortunnie się skończyło. Żadna z nich nie sprostала sytuacji. Tomasz, nieco nadąsany, a może po prostu ostrożnie sondujący nastrój żony, położył na stole kuchennym zwiędnięte przebiśniegi, nie wkładając ich do wody.

– Dla ciebie – wymamrotał pod nosem.

– Gdzie je zerwałeś? – spytała zaskoczona.

– Koło parkingu. Nie chcesz kolacji? Odląłem ci trochę rosółku wczoraj. Nie zjadłaś.

– Tomaszku, doceniam troskę, ale nie zachowuj się jak ona.

Wychylił głowę z lodówki.

– A ty mogłabyś spędzić ze mną choć część niedzieli?

– Chcesz? – upewniła się z nadzieją. I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Zaraz wracam.

Pomyślała, że chętnie się przewietrzy. Co z tego, że cały dzień spędzili osobno, jeśli od jej tajemnic atmosfera jeszcze bardziej stęchła. Ściany. Wokół niej ściany. Bez okien i bez drzwi. Dom wariatów. Jej własny.

– To idź, jak musisz. Akurat dzisiaj. Ubierz się tylko przyzwoicie, nie w te kalesony.

– Wiesz co, Tomek? Zrób lepiej coś do jedzenia i nie próbuj już nawracać producentów odzieży biegowej.

– Leć, bo się pokłócimy. – Pogroził jej niby na żarty palcem.

– Nie pokłócimy się. Przecież my się wcale nie kłócimy. Na tym właśnie polega dramat naszego związku. Pary, które się nie kłócą, już dawno przestały ze sobą rozmawiać. My też. Te nasze rozmowy to niewiele mająca wspólnego z rzeczywistością litania przekomarzanek, byleby tylko się nie pokłócić.

– Idź już, proszę – powiedział stanowczo.

– Przecież idę. Ale bukiet trzeba wyrzucić. Sorry, przebiśniegi dobrze wyglądają, póki żyją. I tak by zwiędły, ale trzeba je było chociaż włożyć do wody.

Biegło jej się lekko. Minęła parking i kwiaty, wyrosłe wbrew swej nazwie nie na śniegu, lecz na świeżo zagrabionej ziemi. W erze całorocznych truskawek z Hiszpanii i uprawianych w Chinach w wodzie marchewek nie można już ufać naturze – pomyślała. Przebiegła Jagodową, podwórko było puste, a okna szczelnie zasłonięte. Przypomniała sobie chłopca, który celował w nią śnieżkami.

Co za dzień! Dzień, w którym zrozumiała, że nigdy jeszcze nie była w ciąży. Ani z Antoniem, ani z Tomaszem. I dzień, w którym ta wiadomość bardzo ją ucieszyła. Tak bardzo, że wysłała Aśce esemesa, że jest obok w razie potrzeby. Odpowiedź przyszła od razu: „Czy Tomek wie, co dla mnie zrobiłaś? No właśnie. Życie nie jest czarno-białe”. Eryka uśmiechnęła się na myśl, jak bardzo Aśka nie przypuszcza, ile ma racji.

ROZDZIAŁ 12

Zaangażowanie Eryki w obowiązki nie umknęło dyrektorce, która nie od dziś miała do czynienia z uczniowskimi wymówkami i wiedziała, że dorośli stosują dokładnie te same wykręty. Malwina Kicińska uważnie obserwowała pracownicę i z ulgą odnotowała, że ortodoksyjni katolicy pracują równie solidnie, co świadkowie Jehowy, ale w przeciwieństwie do tych drugich nie sprawiają kłopotów. Nie przeszkadza im polska tradycja – choinka w pokoju nauczycielskim, krzyż w auli ani śledzik na wigilię, ani umiar w Wielkim Poście. A nawet, jak właśnie się okazało, katolicy umieli się dzielić, nie tylko opłatkiem. Zaskoczył ją ojciec tych chłopaczków, z których młodszego ledwo mogła sobie przypomnieć, za to trzynastoletniego Piotra kojarzyła aż za dobrze i cieszyła się, że niebawem zajmą się nim w jakiejś szkole zawodowej. Rzadko który rodzic sam z siebie proponuje wylanie nowej powierzchni na boisko. Za darmo. A Wojciech Bajtak złożył ofertę i nie oczekiwał nic w zamian. Co więcej, potwierdził, jak trudny może być Piotrek, i zapewnił, że trzyma go mocną ręką. Żałował, że jego ręka nie sięga aż na teren szkoły, ale gdyby sytuacja tego wymagała, Malwina Kicińska ma pełne jego poparcie, żeby użyć własnej. A nawet obu.

Wiadomością dyrektorka podzieliła się z Eryką po jej powrocie ze zwolnienia, dając jej do zrozumienia, że Piotrek Bajtak jest teraz pod specjalną ochroną. Należy go bezpiecznie doprowadzić do egzaminu gimnazjalnego. On odejdzie. Boisko pozostanie na lata.

– Co się dzieje? Ty, kotuś, nie jesteś chyba jeszcze całkiem zdrowa? – zaniepokoiła się, widząc, że Eryka usiadła na krześle i położyła głowę na oparciu.

Bajtak nie mógł wymyślić nic sprytniejszego. Spod śniegu boisko odsłoniło się w jeszcze gorszym stanie niż przed zimą. Asfalt popękał, jakby jeździły po nim codziennie kolumny tirów. Chłopaki z upodobaniem kruszyły kawałki i rzucały. Na razie w ścianę sali gimnastycznej, choć kwestią czasu pozostawało, kiedy zaczną celować w siebie nawzajem.

– Trzeba zrobić to boisko. Koniecznie. – Eryka nie odpowiedziała na pytanie, ale nie było takiej potrzeby. Zgodziła się z dyrektorką, więc najwyraźniej już nic jej nie dolegało.

– Zadzwoń, kochanie, do pani Izy. Zabroniłam niepokoić cię podczas choroby. Dość, że ja cię nękałam. Nic nie chciała powiedzieć o tym zebraniu. Wszystko tajne przez poufne; szkoda, że na nim nie byłaś.

– Zadzwonię, pani dyrektor. Coś jeszcze się działo?

– Nie. – Kicińska zajrzała do segregatora, który potocznie wśród kadry nosił miano „dzienniczka uwag”. Po każdym nauczycielskim przewinieniu pozostawał w nim ślad. – A mało ci, słońce, atrakcji? I tak mizernie wyglądasz.

– A co z kotkami?

– Dzieciom pan Stasio porozdaje, jak podrosną. Chcesz?

– Chcieć może i chcę, ale mąż ma alergię.

Od razu po wyjściu od dyrektorki sięgnęła po komórkę.

– Podobno masz dla mnie jakieś informacje? – spytała Izkę, unikając tematu piątkowej niedyspozycji.

– Tak, ale nie na telefon. Wpadnę do ciebie może w środę, jeśli masz chwilę.

– Mam.

– Przeczytałaś?

– Inaczej bym nie dzwoniła.

Po tym burzliwym początku dnia godziny ciągnęły się Eryce jak flaki z olejem. Przyjęła kilkoro uczniów, którzy nie grzeszyli posłuszeństwem. Najpierw Zosię, która tłumaczyła jej, dlaczego w dzień wagarowicza można nie przyjść do szkoły, ale nie radziła sobie z wyjaśnieniami, co tego dnia robiła w restauracji Parkowa nad kuflem piwa z grupą dorosłych mężczyzn. Gimnazjalistka uśmiechała się teraz głupkowato. Była jedną z takich, którym Eryka chciała napluć do mózgu, rozbełtać i kazać ponownie wypić z nadzieją, że wstrząśnięte zadziała. Niestety, na jej stanowisku jakakolwiek forma nacisku na ucznia z wykorzystaniem manipulacji, szantażu czy upokorzenia, skończyłaby się dyscyplinarką. Mimo że zatrudniona była jako nauczyciel-pedagog, to drugi człon był kluczowy. Nauczycielom wolno więcej, ona była od tego, żeby ich rozgrzeszać, tłumaczyć, usprawiedliwiać, dlatego musiała być bez skazy. Kiedy rodzice ją lżyli, ona mogła im co najwyżej zwrócić uwagę. Grzecznie. Nauczyciele mieli swoje grupy wsparcia na przerwach, w koalicjach zatruwali życie wyjątkowo nieznośnym uczniom, do niej należało tych uczniów wyprowadzić na prostą. Jej cierpliwość osiągnęła punkt krytyczny, kiedy dziewczyna spytała o jakieś ulotki na temat antykoncepcji po stosunku.

– Współzycie z osobami poniżej piętnastego roku życia jest ścigane z urzędu – wyrecytowała oficjalną formułkę Eryka. Doskonale wiedziała, że uczennica niebawem osiągnie ten wiek i że nic jej nie powstrzyma, a i tak cieszyła się z osiągniętego efektu – siksa prędko u niej nie zagości. – Poza tym od czego macie wychowanie do życia w rodzinie? Pedagog nie jest od uświadamiania – dodała asekuracyjnie.

– Ja nie chodzę na te lekcje.

– Ach, nawet z wychowania uciekasz?

– Nie. Matka mi nie pozwala. Napisała podanie do dyrektorki. Pani nie wie, że to nieobowiązkowe, jak religia?

Eryka słyszała, że jacyś rodzice nie wyrazili zgody na udział dziecka w zajęciach z tego przedmiotu, ale spodziewała się, że dotyczy to jednej z wzorowych uczennic, a nie tej wyrosniętej ponad wiek lolitki. Spojrzała na Zosię uważniej. Miała w sobie sporo odwagi, skoro przyznała, choć nie wprost, że uprawia seks. I to nie było komu, tylko pedagog z różańcem na palcu. Eryka z wahaniem otworzyła szufladę i wyjęła broszurki leżące na egzemplarzu Biblii. Jakaś fundacja czy stowarzyszenie jej zostawiło. Nigdy nie czytała. Ponoć materiały edukacyjne. Tak to nazwali, choć logo producentów pigułek aż kłuło w oczy.

– Poczytaj. Przemyśl sobie. Ale jesteś za młoda na te sprawy. Warto poczekać –

powiedziała już życzliwiej. – I jak będziesz mieć pytania, nie szukaj w internecie, masz tu numer, gdzie można zadzwonić. – Wskazała palcem na jednej z ulotek. – Zmykaj i nie chwal się koleżankom, że je ode mnie dostałaś.

Dziewczyna wyszła, a Eryka znów poczuła ulgę. Taką samą jak wtedy, gdy wzięła tabletki, które nie mogły nic zmienić, jak wczoraj, gdy Aśka postanowiła niczego od niej nie oczekiwać. Zaniepokojona milczeniem Matyldy podjęła kolejną próbę kontaktu z *madame* Bonnier. Tym razem udaną, lecz to, co usłyszała, ścięło ją z nóg. Od razu zadzwoniła do matki.

– Jak mogłaś to przede mną ukryć?

Stroicka udawała, że nie wie, o co chodzi, ale kiedy Eryka powtórzyła pytanie dwa razy, a na końcu dodała jeszcze rozpaczliwie brzmiące „mamo”, odpowiedziała tylko:

– Nie będę się mieszać! Nie wszyscy muszą znać francuski. Mogłam nie zrozumieć. Zresztą w takich sytuacjach telegram się wysyła, a nie dzwoni po obcych.

– Nie ma już telegramów. Jak mogłaś nie przekazać ojcu, że jego siostra przeszła drugi zawał?

– A czy jej to pomoże, że on będzie wiedział?

– Mamo, tak nie można...

– Skoro tak ci zależy, to kartkę mu wrzucę do skrzynki – rzuciła obrażona. – Tylko niech się nie waży do mnie dzwonić.

ROZDZIAŁ 13

Zostawiła Elżbiecie wiadomość na poczcie głosowej, że tym razem chętnie skorzystałaby z jej pomocy w przygotowaniu lekcji, ale Elżbieta nie dała znać, czy będzie w stanie przyjść z chłopcami. Eryka czuła coraz większe napięcie, jakby coś złego nieuchronnie miało się wydarzyć. W pustym mieszkaniu czekała na godzinę szesnastą, a potem na siedemnastą. Nie było ani „bliźniaków”, ani rodzeństwa Bajtaków, ani reszty, nikogo. Przygotowała zdjęcia, z których mieli tworzyć kalendarz i powtarzać pory roku, ale w pokoju rozgościła się uporczywa cisza. Eryka po raz kolejny tego popołudnia upewniła się, że jest wtorek. W końcu zabrzączał dzwonek do drzwi. Pobiegła z ulgą otworzyć. Za drzwiami stała Barbara, mama Filipa i Franka, bez chłopców.

– Dobrze, że cię zastałam.

– Jak to zastałaś? A gdzie miałabym być?

– No nie wiem, dziwne ostatnio chodzą słuchy. W niedzielę widzieli cię w rajtuzach opiętych na pupie, jak po lasach ganasz, za to na sumie cię nie było – półzartem podsumowała ją znajoma.

Eryka zignorowała zaczepkę. Mama „bliźniaków” odezwała się ponownie niezrażona:

– Przyniosłam ci patelnię. Żeliwną, ale uwaga, bo ciężkie dziadostwo. – Podała reklamówkę Eryce. – Teflonową możesz wyrzucić.

– Jest w porządku, nie przypała się.

Barbara weszła do kuchni i rozejrzała się w poszukiwaniu dowodu zbrodni.

– No co ty! U ludzi wdychanie oparów teflonowych powoduje trudności z oddychaniem, przyspieszone bicie serca, dreszcze, bóle całego ciała. I bezpłodność. Nie słyszałaś? Nie mogłaś słyszeć, mało kto wie. Lobby producentów już o to zadbało.

– Chcesz powiedzieć, że cała grupa zatręła się oparami? Nikogo dzisiaj nie ma.

Kobieta przyjrzała się baczniej Eryce.

– Jak to? Przecież rekolekcje dodatkowe mają. Nie słyszałaś w niedzielę, jak ksiądz Jan zapowiadał? Byłaś w naszym kościele czy znowu uprawiałaś *churking*? Będą stróżować przy Grobie Pańskim. Ostatni szlif. Czyli nic nie wiedziałaś? Ty nie wiedziałaś? – Sprawiała wrażenie zgorzzonej. – Eryko, czas wyrzucić tę patelnię. I garnki z teflonem. Przeżrą ci mózg całkiem. Wiesz, że kanarki w kopalni zdychały.

– Jakie kanarki?

– W eksperymencie. Od tego teflonu. No, muszę lecieć, w biegu wpadłam, Filipa odebrać z kościoła, bo Franek się pochorował. Sam w domu został. Do zobaczenia za tydzień.

– Basiu! – zawołała Eryka, którą nagle coś tknęło. – A skąd ty wiesz o tym teflonie?

– W gazecie czytałam.

– Nie, skąd wiesz, że ja mam teflon?

- Elka Bajtakowa zrzutkę zrobiła. Aaa – jeszcze jedno.
- Tak?
- Dziękuję ci, że pomożesz Agnieszce. W sprawie tego zaświadczenia. Nawet nie wiesz, jakie to ważne dla rodzica, że są jeszcze ludzie, którym zależy na dobru dzieci.

Eryka zamknęła drzwi i poczuła, że opada z sił. Szkodliwe opary atakowały ją z mebli, dywanów, zasłon i swetra i wgryzały się w mózg. Zapomniała o tych rekolekcjach! Przecież zapowiadali je wcześniej. Musi wziąć się w garść. Nic dziwnego, że Elżbieta nie odpisała. Jak miałyby skomentować tak ogromny nietakt?

Wymieszała ciasto na chleb zgodnie z zaleceniami na kolejny dzień. „Chleb pochodzi z Watykanu, przynosi szczęście. Chleb piecze się raz w życiu! Spełnia życzenia całej rodziny. Przed zjedzeniem pomyśl życzenie. Oddając pozostałe części, podaj przepis”. Jutro będzie gotowy. Chleb w sam raz dla rodziny w potrzebie. A nowa patelnia to świetny pretekst do odwiedzin. Za prezenty należy dziękować. Nawet te niechciane.

Po raz kolejny zadzwonił nieznany numer. Odrzucała go przez cały dzień. Pewnie znowu jakaś siostra albo brat ze wspólnoty. W końcu odebrała i usłyszała głos ojca:

– Halo, wreszcie sprawiłem sobie to ustrojstwo. Zapisz numer. Halo! Słyszysz mnie? – dopytywał się.

– Tato, już mam twój numer. Wyświetlił mi się. Co z ciotką?

– Za tydzień wraca do domu.

– Do Polski?

– Jej dom jest w siódmej dzielnicy.

– Kupić ci bilet?

– A ty?

– Odwiedzę ją kiedy indziej. Teraz mam dużo pracy.

Milczał.

– Pojadę w wakacje – starała się udobruchać ojca.

– Dużo jej, Erysiu, zawdzięczasz.

– Wiem, tato, wiem.

ROZDZIAŁ 14

Izabela Kostecka nie wyróżniała się z tłumu uczniów sylwetką. Demaskowały ją: śmiała postawa, rękawiczki bez palców, getry naciągnięte powyżej kolan, sięgające prawie niewidocznej spódniczki z jednej falbanki. Niechby któraś z gimnazjum weszła tak ubrana do szkoły. Katechetka, pod rękę z matematyczką, zaraz przybiegłyby na skargę, albo – co gorsza – znów wyciągnęłyby kwestię obowiązkowych mundurków.

– Cześć, nie przeszkadzam? Jestem trochę wcześniej, na poczcie nie było kolejki. Dziś mój dzień administracyjny, *casual Wednesday*, że tak powiem.

– Wejdz, proszę, po kilku wyczerpujących intelektualnie rozmowach z gimnazjalistami chętnie pogadam z kimś dorosłym.

Iza Kostecka wyjęła ciastka z torby i od razu spostrzegła minę Eryki.

– Ale ze mnie idiotka, przepraszam. Pościsz pewnie.

Eryka zdziwiła się podwójnie, po pierwsze tym, że jednak nie do końca opanowała sztukę maskowania emocji, po drugie, że psycholożka w ogóle wpadła na trop.

– Już chowam – zapowiedziała Izka.

– Ależ skąd, żaden problem. – Eryka sięgnęła po torebkę. – Jeśli nie masz nic przeciwko, zjem sobie kanapkę.

Wymiana uprzejmości zachęciła Erykę do skierowania rozmowy na właściwe tory.

– Czytałam opinię. Nie jest powiedziane, kogo dotyczy.

– No nie jest, a ty i tak wiesz, o kim mowa. Jak to możliwe?

Skąd Izka mogła wiedzieć o powiązaniach Papickiego z Bajtakiem? Czy Eryka może jej zaufać? Kiedyś były blisko, ale studia, a w szczególności zaangażowanie Eryki w życie małżeńskie, co przekładało się na jej aktywność w Kościele, poróżniły je, jak się zdawało, na zawsze. Teraz mogła albo udawać, albo odkryć karty. Tyle że w tej sytuacji oznaczało to stanąć po stronie męża lub zawieść jego zaufanie.

– Po prostu powiedz, co o tym myślisz. Nie możemy przebić się przez jakiś mur. Wiemy, że coś się dzieje w tej rodzinie, ale nie mamy dowodów.

Eryka przywykła już do dyscyplinującego: pomodłę się za ciebie. Chcesz tego czy nie, obejdziemy się bez twojej zgody, my, wspólnota, dobrze widzimy, kiedy należy wspomóc cię modlitwą. Tymczasem Izka zwyczajnie pytała, co ona o tym sądzi. Nie Biblia, nie katechizm, nie encykliki, tylko ona sama.

To ją przekonało. Potwierdziła, że nie zauważyła żadnych sygnałów przemocy, ale coś ją w tej rodzinie niepokoi. Coś. Słowo, którego uczepliła się Izka. Pawełek sprawia wrażenie zahukanego, to prawda, ale z kolei Piotr przejawia skłonności typowe dla nastolatków – trochę dziecinnych zaczepek, poszturchiwanie, plucie innym na buty i esemesowanie podczas lekcji – lista przewinień niesprawiającego poważniejszych kłopotów

gimnazjalisty. Także obserwowani w środowisku domowym nie wyglądali na zastraszonych. Matka otaczała Pawełka może nadmierną troską, ale nadopiekuńczość nie mogła być podstawą do twierdzenia, że chłopcu dzieje się krzywda. Eryka pominęła historię z jajkami i teflonem. Uznała, że powinna trzymać się faktów, a jak miałyby udowodnić, że Elżbieta Bajtak potłukła jej jajka w zemście za wyrzucony sernik? Czyż nie brzmiało to kuriozalnie? Iza otworzyła natomiast szeroko oczy ze zdumienia, kiedy Eryka opowiedziała jej o propozycji Bajtaka złożonej dyrektorce.

– Nieprawdopodobna zbieżność. Muszę spytać wprost – czy informowałeś ich, że są na celowniku?

– Powiedziałam mężowi.

Psycholog patrzyła na Erykę z niedowierzaniem.

– Tak drażliwe kwestie poruszałeś z mężem?

– Mężowie od tego właśnie są – zaatakowała Eryka, ale zaraz się opanowała. – Masz rację, dałam ciała. Przepraszam.

– A skoro on wie, to... jakie jest jego zdanie?

– Mówi tylko, że Bajtak jest zastraszony. Nie rozmawiamy o tym. Rozumiesz, oni się przyjaźnią.

– Doceniam szczerść. Cała ta sprawa może być dla ciebie trudna, ale tu chodzi o dobro dzieci. Kiedy możesz zapoznać się ze szczegółami?

– Teraz mogę podejść.

– Teraz?

– Właśnie skończyłam dyżur. I tak nie mogę myśleć o niczym innym. Tak już mam, jak coś mi siedzi na wątrobie.

Na dziedzińcu spotkały pana Stasia, który przyglądał się kotkom biegnącym za matką. Zatrzymały się obie zafascynowane walką o dostęp do mleka.

– Ależ one nie dają tej matce spokoju! – skomentowała Kostecka.

– Jak u ludzi! Tylko ludzie się od dzieci opędzają. Ciągłe zajęci chodzą. Takie czasy, że wszystko jest sztuczne! Dzieci chcą mieć w domu zwierzątko, a dostają Tamagotchi czy Tarabutchi – zrzędził woźny.

– Albo węża – mruknęła Eryka.

Szok i niedowierzanie. Mimo braku sympatii do Bajtaka to, co o nim przeczytała, wprost nie mieściło jej się w głowie. Przypominało filmowy thriller, którego scenarzystę nazbyt poniosła wyobraźnia. A jednak wszystko zostało opatrzone przez terapeutę dokładnymi danymi. Lista grzechów do rachunku sumienia, którego Bajtak nigdy nie przeprowadzi. Łatwo było wywnioskować, że to właśnie budziło największe przerażenie terapeuty, który wbrew wszelkim regułom polemizował z pacjentem lub zwyczajnie dał mu się podpuścić. Tak wodzony za nos, dopiero po kilku miesiącach zwrócił się do superwizora, który natychmiast zmienił rodzinie opiekuna, co doprowadziło do rezygnacji Bajtaków z terapii. Eryki wcale to nie zdziwiło. Wiedziała, że Wojciech Bajtak to trudny przypadek. Wykorzystuje wszystkie legalne metody, by usprawiedliwić łamanie prawa. Nie cofnie się

przed manipulacją w imię wolności słowa. To ktoś, kto nie da się przyłapać na kłamstwie, z taką wprawą fabrykuje prawdę.

– Pokazuję ci to w zaufaniu – powiedziała Izka po chwili. – Nie wolno mi tego robić w cztery oczy. Omówimy to jeszcze raz na wspólnej sesji, ale chciałam, żebyś się przygotowała.

– Dlaczego? I dlaczego tak ci zależy, żebym brała w tym udział? Przecież ich znam. Kicińska olała problem, ale ty dobrze wiesz, że to nieetyczne. Czuję się jak szpieg.

– Twoja sytuacja jest skomplikowana. Fakt. Jesteś jak pułkownik Kukliński.

– Czyli bohater? – drążyła Eryka.

– Bohater.

– Nie widzę rozwiązania. Ta rodzina jest chora, ale nie bardziej niż twoja czy moja. Tym dzieciom lepiej nie będzie. Można im tylko założyć świnkę-skarbonkę na psychologa.

Kostecka przełknęła złośliwość.

– Mylisz się. Wojciech Bajtak to socjopata. Dzieci trzeba odseparować od zła. Będziemy wnioskować o umieszczenie ich w rodzinie zastępczej. Przynajmniej tymczasowo.

– A ich babcia? – zareagowała impulsywnie Eryka, jakby już to sobie przemyślała i znalazła kompromisowe rozwiązanie.

– To oni mają babcię? – zdziwiła się Kostecka. – Tak czy inaczej, zarzuty są poważne. Dowody znajdziemy. Wywiad środowiskowy wypadł dla nich korzystnie. To dziwne, nie sądzisz? Wszyscy ich bronią. Nauczyciele, Kościół, sąsiedzi, pediatra. Zależało nam, żebyś dołączyła, bo... – Zawahała się.

– ...bo też jestem katolickim betonem?

– A jesteś? – podjęła prowokację Izka.

– Wiem, co o mnie myślisz. Wierzę w Niepokalane Poczucie, w Trójcę Świętą, w piekło, czyściec i raj, ku zgorszeniu niektórych wierzę we wstawiennictwo świętych i cuda z ich udziałem. Dlatego nie mogę tak tych chłopców zostawić.

Psycholog wstała z krzesła i podeszła do Eryki. Usiadła na biurku i pochyliła się nad nią.

– Nie przekonałaś mnie – powiedziała. – Bądź po prostu rozsądna, Eryko.

– Wyznanie wiary nie zrobiło na tobie wrażenia? No, w świetle, a raczej w mroku tych zapisków, faktycznie wypada blado.

– Nie... nie wierzę, że poprzysz nas w oddaniu sprawy do sądu rodzinnego.

– Masz rację, temu jestem przeciwna – przyznała Eryka, na tyle jednak życzliwym tonem, że Izka nie dała po sobie poznać rozczarowania. Usiadła tylko za stołem, wyciągnęła nogi przed siebie, obie ręce splotła z tyłu na oparciu krzesła. Westchnęła i Eryka pomyślała, że nie zna drugiej osoby, która tak czytelnie komunikowałaby się za pomocą mowy ciała.

– A co proponujesz? Co ty byś zrobiła?

– Chcę dać im szansę. Chyba choć trochę im zależy, skoro sami zgłosili się na terapię.

– Nie wierzysz w profesjonalizm tego terapeuty? Dostali szansę.

– No, wybaczyć, ale o mało nie pobił pacjenta, wyrzucił ich z sesji, kazał mu... – Eryka prawie wyszarpnęła teczki z ręki Izy.

– Kazał mu wypierdalać. Wiem. Testował taką wschodnioeuropejską technikę pracy z przemocowcami. Mniejsza z tym. Ile chcesz dać im czasu?

– Do świąt przynajmniej. Poobserwuj ich trochę. Kiedy następne zebranie?

– Na początku maja. Niech będzie. To, co tu przeczytałaś, zostaje między nami, rozumiesz?

– Dziękuję – szepnęła Eryka, która nagle przejrzała Izkę. Koleżanka знаła ją na tyle dobrze, że chciała ją uprzedzić, zanim na forum Eryce nie pozostanie nic innego, jak tylko przystać na radykalne rozwiązanie. Mogła przyjąć, że każdy sąd rodzinny, który przeczytałby o karaniu dzieci głodem lub karmieniem ich aż do sprowokowania wymiotów, o podawaniu żonie przeterminowanych jogurtów na śniadanie lub wyjmowaniu resztek z kosza i zmuszaniu do ich zjedzenia, każdy sąd miałby podstawy, by oprawcę odseparować. Mało który by to zrobił. W tym wypadku też nie było to proste. Elżbieta Bajtak broniła męża nawet wtedy, gdy kazał jej włożyć żywą mysz do zamrażarki, a potem, na wpół zmrożoną, podać pytonowi. „Zapamiętaj sobie. Człowiek jest jak wąż – trawą się nie naje – pouczył ją mąż. Obiad bez mięsa można zaakceptować tylko w piątek w ofierze Panu”.

Awantura o Raj i podejrzenia o przemoc u Bajtaków, a szczególnie uwikłanie w tajemnicę Aśki Sosnowskiej rzuciły się cieniem na stosunki Eryki z Tomaszem. Rozmawiali coraz mniej, bo też coraz więcej czasu spędzał poza domem. Nigdy wcześniej z takim niepokojem nie reagowała na spóźnienie na kolację. Teraz odebrała to jako próbę ukarania jej i choć uspokoiła się, gdy przekroczył próg, od razu straciła chęć na jakąkolwiek rozmowę, nie mówiąc o zwierzeniach. Kiedy w nocy wstał pracować, taki nawyk pozostał mu jeszcze z ciasnego akademika, Eryka podążyła za nim i zamknęła drzwi do sypialni. Przeszkadzało jej nawet małe pasmo światła dochodzące z sąsiedniego pokoju.

Zauważył, że się obudziła, i wrócił do niej. Usiadł na brzegu łóżka. Po ciemku pogłaskał Erykę po głowie. Nie mogła dłużej udawać, że śpi. Potrzebowała tego. Obróciła się do niego twarzą i pomału z półmroku wyławiała kontury sylwetki i zarys twarzy. Chwyliła jego rękę, przyciągnęła do ust i pocałowała.

– Zobacz, i nam się przytrafiło – powiedziała.

– Co nam się przytrafiło? – spytał łagodnie, a może z ulgą. W końcu się odezwała.

– Kryzys.

– Kryzysik, Rysiu, my się kochamy, damy radę. Mam pomysł.

Eryka opadła ciężko na poduszkę. Zaraz usłyszy o kolejnej modlitwie, grupie wsparcia dla małżeństw katolickich albo innych czarach, dzięki którym wszystko wróci do normy. Tomasz jednak odszukał jej dłoń i wsadził w nie dwa kartoniki.

– Ostatnie miejsca, ktoś nie odebrał biletów. Na jutro, właściwie na dziś. *Kopciuszek* Prokofiewa.

– *Kopciuszek*? Jeszcze raz? – zdziwiła się Eryka. Nie tym, że wybrał spektakl dla dzieci, ale tym, że odgadł, iż na taki właśnie miałyby największą ochotę.

– Ostatnim razem śmiałaś się do łez. To jak, idziemy?

– Teatr? W poście? – Uniosła zdziwiona brwi.

– Wyjątkowo. Przecież widzę, jak zamartwiasz się chorobą ciotki.

– Nie, to nie o to chodzi – zaprotestowała, ale zachęcona do rozmowy dodała poważniej:

– Tomek, a nasze sprawy? Czy to tak ma wyglądać? Co się dzieje z nami?

– Nie ma żadnych spraw. Wszystko wyjaśniliśmy sobie u matki. A że oboje mamy nerwowy okres w pracy? Zdarza się przecież. To minie.

– Masz rację – przytaknęła Eryka, dziękując mu w duchu za to, że przypomniał jej małżeński kodeks. Nie musiała nic mówić o Bajtaku. Znowu wszystko wydawało się jak dawniej. Byli sobie pewni, jak małżeństwo z wieloletnim stażem, które doskonale wie, czego może się po sobie spodziewać. Tylko Eryka pomyślała, że w arkuszu budżetu nie zauważyła wzmianki o biletach i przecież ona też może wyjąć parę złotych ze świnki-skarbonki. Dziesięć. Albo dwadzieścia. Na test ciążowy. Albo i dwa. Bo okres jej się spóźnia, a nadzieja nigdy nie kosztuje zbyt wiele.

ROZDZIAŁ 15

Chleb z dużą ilością jabłek i cukru przypominał w smaku szarlotkę. Ponieważ Elżbieta nie odezwała się od czasu nieszczęsnych rekolekcji, Eryka miała opory, by po raz kolejny do niej dzwonić. Mimo złożonej Izce szlachetnej deklaracji, powoli docierało do niej, że nie zależy jej na tej nieco przygaszonej kobiecie ani na tej rodzinie, tylko na przywróceniu światu równowagi. Przede wszystkim własnemu. Elżbieta godziła się na złe traktowanie, a nawet je usprawiedliwiała, była więc w mniemaniu Eryki godna pożałowania. Jeśli pomyślała o kimkolwiek przez chwilę życzliwie, to o Pawełku, który zawsze do niej lgnął. Zastanawiała się, jak dbałaby o niego, gdyby z niej się urodził. A potem starała się bezskutecznie sobie wmówić, że nieważne, z kogo urodzony. Dziecko to dziecko, a to akurat może potrzebować jej opieki bardziej niż jakiegokolwiek inne. Eryka zamknęła zaczyn w słoiczek, przepisała recepturę i prosto z pracy pojechała do Bajtaków. Jakież było jej zdziwienie, gdy drzwi otworzył jej Wojciech. W pierwszej chwili chciała się wycofać, rozmowa z Elżbietą w jego obecności nie miała sensu. Ale on z uśmiechem satysfakcji na twarzy gestem zaprosił Erykę do środka, jakby jej wizyty oczekiwał. Powiesił jej płaszcz, przyniósł krzesło, żeby wygodnie usiadła i zdjęła buty.

– Elżbieta nie czuje się najlepiej – uprzedził lakonicznie. – Ale dobrze, że jesteś, bo musimy sobie coś wyjaśnić.

Tego obawiała się najbardziej. Konfrontacji. Cała jej strategia życiowa była nastawiona na unikanie konfliktów, nawet za cenę dźwignania ich w sobie niczym jakiejś zaplątanej centrali telefonicznej, w której dwie części jej osobowości prowadzą pozbawiony sensu dialog.

– Już wiem, że zabawa w piratów nie przypadła ci do gustu – zaczęła się tłumaczyć. Choć nie mogła mieć pewności, czego miała dotyczyć rozmowa, postanowiła skierować ją na bezpieczne tory. Niezręcznie się czuła w roli szpiega, więc postanowiła zaryzykować: – Ja też chciałam coś z tobą wyjaśnić. Pawełek skarżył się, że mama choruje po tym, jak za dużo zje.

Mina Bajtaka uprzytomniła jej, że właśnie sprowadziła na Pawełka karę. Nie mogła już się wycofać, ale Bajtak ze stanu pobłażliwej obojętności przeszedł w stan wzmożonego czuwania.

– To chyba jak każdy, nie? Wejdz do kuchni, w stołowym wietrzę akurat.

Eryka z ulgą minęła drzwi salonu z terrarium i usiadła na krześle kuchennym. Zlew zarzucony był brudnymi naczyniami, splamiony keczupem lub innym sosem z pomidorów, co Eryka wzięła za potwierdzenie informacji, że pani domu rzeczywiście zaniemogła.

– A co młody powiedział? – dopytywał się Bajtak. – Dzieciaki w tym wieku dużo zmyślają. Zresztą sama wiesz. A może nie. Na wychowywanie nie ma instrukcji

z podręcznika.

Eryka pożałowała, że komukolwiek przyznawała się do kłopotów z płodnością. Brak dzieci skutecznie podważał jej kwalifikacje, nic by tego nie zmieniło, choćby zrobiła trzy doktoraty z pedagogiki. Jakby wada serca dowodziła, że pacjent nie potrafi kochać, a krótkowzroczność, że nie jest zbyt przewidujący.

– Nic takiego Paweł nie mówił. Że Elżbieta chora. Chleb jej upiekłam, watykański.

– Jaki? – Bajtak zaśmiał się ironicznie.

– Zobacz sam. – Rozpakowała chleb ze ściereczki, cały czas nasłuchując jakichkolwiek odgłosów z sypialni. Jeśli ktoś jest chory, tak chory, że nie może wyjść chociaż na chwilę do gościa, to może chociaż jęczy albo zawodzi. – Tu jest przepis.

Bajtak rzucił okiem na przepis i szeroko rozłożył ramiona.

– Pomyśl życzenie, zanim zjesz? – Klasnął. – Pierdu-pierdu, hokus-pokus. Elżbieta miałaby uwierzyć w coś takiego?

– Od razu gusła – broniła się Eryka. – Od mamy dostałam zaczyn.

Wojciech nie sprawiał wrażenia przekonanego i Eryka też poczuła się głupio. Przecież sama ani przez chwilę nie wierzyła, że ten chleb jest czymkolwiek więcej niż kolejnym idiotycznym łańcuszkiem szczęścia.

– Zresztą, chleb jak chleb. Potraktujcie to jako zabawę, bez czarów. – Mimo rosnącej irytacji próbowała obrócić sytuację w żart. Postawiła wypiek na stole, marząc o tym, by jak najszybciej opuścić mieszkanie Bajtaków. Co on sobie wyobrażał? Tak samo powinna była wyśmiać jego żonę, kiedy się skarżyła, jak demoralizujące mogą być niewinne zabawy z chłopcami albo groźny dla zdrowia teflon. Bardzo żałowała, że najlepsze riposty zawsze przychodzą do głowy po czasie, bo na czubku języka miała tylko przekleństwa lub zdrowaśkę na uspokojenie nerwów.

– Nie chcesz, to wyrzucić. Chociaż grzech chleba nie szanować – powiedziała z przekąsem, jakby zapomniała, że ma do czynienia z Bajtakiem, a nie Tomaszem, który natychmiast starałby się ją udobruchać.

Kiedy wkładała buty, usłyszała dziwne szarpanie w sypialni. Nakręcona tłumioną agresją, ale i ciekawością, otworzyła drzwi, zanim gospodarz zdążył doskoczyć progu. Do wezglowia łóżka przywiązana była naga Elżbieta i dyskretnie próbowała się uwolnić. Z jej ogromnego odsłoniętego brzucha prosto na narzutę opadały przypominające wymiociny nitki makaronu w czerwonym sosie. Elżbieta najpierw pisnęła jak myszka, a potem wydarła się niczym rozjuszona lwica:

– Zamknij te drzwi! – Nie wiadomo, czy do męża, czy do Eryki, która ze zdumienia kompletnie zaniemówiła. Przypomniała sobie, że podobne obrazki widziała kiedyś w telefonie jednego z gimnazjalistów i że te praktyki seksualne z jedzeniem w tle miały nawet swoją nazwę.

– Nie jest ci zimno? – spytała wreszcie, ale Elżbieta znowu zawyła wściekła, a zamiast żony odezwał się Bajtak:

– Napatrzyłaś się już?

Głos miał opanowany i zupełnie nie przeszkadzał mu hałas, jaki robiła Elżbieta, wierzgając nogami. Zamknął drzwi, ignorując niezręczne położenie Elżbiety.

– Wyznaczę termin i wyślę listem poleconym zaproszenie do szkoły. Chcę się przyjrzeć

waszej rodzinie. Muszę też poinformować dyrektorkę. – Starła się, by jej głos brzmiał rzeczowo, choć poczuła strach, że jeśli powie o słowo za dużo, gospodarz jednym ruchem ręki ukrzyżuje ją zaraz na wieszaku i przekarmi na śmierć. Bajtak uśmiechnął się szeroko, kompletnie niespieszony okolicznościami.

– Dorośli mają swoje zabawy, wiesz? Nikomu nic do tego. To się nazywa seks. Tak się robi dzieci, malutka. Tomek ci tego nie pokazał, co? Dla niego nie jesteś kobietą, tylko dzieckiem. Albo kumplem, prawda, Rysiu?

– Jeszcze Tomasza w to wciągasz? On chyba jest całkiem ślepy.

– Ślepa to ty jesteś, Rysiu. On widzi we mnie waszą lepszą przyszłość. W rozmowie z dyrektorką też odniosłem wrażenie, że bardziej potrzebuje boiska niż skandalu, więc lepiej siedź cicho, zanim na dobre mnie wkurwisz.

Stanie w korkach było niczym w porównaniu z podróżowaniem zatłoczonym autobusem. Jakiś facet cały czas szturchał Erykę sztywną torbą, prawdopodobnie laptopem, ktoś obok głośno słuchał angielskich słówek, ale nie przeszkadzało jej to. Była tak pochłonięta myślami, że nawet kiedy zwolniło się miejsce, stała dalej, tępo wgapiając się w krajobraz miasta tuż przed zmierzchem. Nieomal nie przegapiła swojego przystanku, w ostatniej chwili zdążyła nacisnąć przycisk otwierania drzwi. Tomasz czekał w opustoszałym już holu teatru, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

– Kłopoty z dojazdem? – spytał. – Ledwo zdążyłaś.

Kiwnęła głową, nie podejmując tematu. Nie była to ani dobra pora, ani najważniejszy człowiek, by dzielić się swoimi przeżyciami. Cóż takiego zresztą zaszło? Zajrzała komuś do sypialni. Wbrew dobremu wychowaniu, wbrew cudzemu życzeniu, a przede wszystkim wbrew ostrzeżeniom Tomasza. Tyle razy przewijała film wstecz, aż nabrała pewności – Elżbieta krzyczała nie na męża, lecz na nią. Ani przez moment nie można by podejrzewać, że została skrupowana wbrew własnej woli. Najwyraźniej oboje Bajtakowie czerpali rozkosz z udziału w tym obleśnym rytuale. Eryka nie była purytanką, Tomasz też nie grzeszył brakiem wyobraźni. Tylko do tej pory królowała u nich zasada – albo seks, albo jedzenie – i połączenie obu wydało jej się jakoś... niesmaczne. Choć dopuszczalne. Może nie ma zatem potrzeby wciągać w to jeszcze Tomasza, mimo że jego przykładem tak celnie posłużył się Bajtak? Na oślep strzelał, a trafił w najczulszy punkt.

Pospiesznie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, skąd Eryka miała doskonały widok. Lubiała podglądać orkiestrę, oddzielającą ich od sceny. W przeciwieństwie do przedstawień operowych balet nie wymagał odczytywania tekstu z dość wysoko umieszczonego wyświetlacza. Starła się skupić na spektaklu. Uwielbiała bajkę o Kopciuszku, ale ledwo bohaterka klęknęła przed portretem zmarłej matki, Eryce zaszkliły się oczy. Dalej było tylko gorzej. Mimo komediowego charakteru inscenizacji kiedy złe siostry poszturchiwały Kopciuszka, Eryce łzy leciały już rzęsiste, aż miała wrażenie, że dyrygent obraca się w jej kierunku zaniepokojony, co zapewne nie mogło mieć miejsca, gdyż Eryka posiadała taką sztukę samoopanowania, że nawet szlochając, plecy trzymała wyprostowane, a głowę wysoko podniesioną. Tylko te łzy poza kontrolą zupełnie, jakby

dostała zapalenia spojówek. Tomasz znał ją na tyle, że nie dał się zwieść pozorom. Początkowo sądził, że to piękno ciał tancerzy, wspaniała muzyka, doskonała harmonia orkiestry, zapierające dech w piersiach układy choreograficzne tak Erykę wzruszyły, ale od razu wyczuł wrogość, gdy podawał jej chusteczkę. W czasie przerwy Eryka nie ruszyła się z miejsca. Kiedy chciał ją objąć, odsunęła się od niego. Było jej wstyd. Nie powinna tak zwracać na siebie uwagi. Do niedawna zawsze umiała się opanować.

Trzymała poziom, jak to określała matka. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że długo powstrzymywany żal miał wybuchnąć z siłą spienionego szamba.

– Może chcesz coś do picia, Rysiu? – Tomasz swoim sposobem przystąpił do działania, które zamiast problem rozwiązać, miało go zamaskować.

– Czy ty myślisz, że jestem dzieckiem? – Eryka nieoczekiwanie się uspokoiła.

– Dzieckiem nie, może nieco sentymentalna.

Spojrzała pytająco.

– Kto dorosły płacze na *Kopciuszku*, Erka, no co ty?

– Erka? A to skąd? Bo wyję jak karetka na sygnale, tak? Już lepsze to twoje „Rysiu”.

– Ale chcesz się pokłócić!

– Bajtak powiedział, że podobno nazywasz mnie „dzieciakiem”.

– Rozmawiałaś z Wojtkiem? Już wiem, skąd ten nastrój. Myślałem, że chodzi o ciotkę, ale nie, jak najbardziej o ciebie chodzi, sama pchasz się w kłopoty.

– Do rzeczy – nazywasz mnie „dzieciakiem”?

– Może raz tak powiedziałem, żeby go trochę udobruchać. To przecież pieszczotliwe.

– Raczej protekcyjne.

– Nie myślę tak, po prostu tak mi się powiedziało. Czy to jasne?

– Jesteś obrzydliwy. – Zrobiła pauzę. – „Nie myślę tak, po prostu tak mi się powiedziało. Czy to jasne?” – syknęła Eryka, po czym zabrała torebkę i ruszyła ku wyjściu.

– Przesadzasz. Co się z tobą dzieje? To naprawdę dziecinne.

Eryka zdała sobie sprawę, że gra toczy się o większą stawkę niż to, czy zrobią z siebie przedstawienie. Przerwa pomału dobiegała końca i kolejne dzwonki przywoływały na salę zarówno widzów, jak i orkiestrę. Oczywiście było, że albo zdołają wysiedzieć koło siebie w milczeniu kolejną godzinę, albo należy w tej chwili opuścić budynek. Wybrała drugie rozwiązanie i Tomasz dogonił ją na schodach. Uświadomiła sobie, że to on ma numerek do szatni, więc celowo zwolniła. Pozwoliła mu podać sobie płaszcz, opatulila się ciepłym szalikiem, zmieniła szpilki na kozaki, bo wciąż marzła w stopy, i przekazała Tomaszowi reklamówkę, by ją niósł. Na parkingu się okazało, że ktoś zastawił ich samochód.

– Zamówić ci taksówkę? – zaproponował, powstrzymując złość.

Po raz kolejny uderzyła ją myśl, że jej mąż naprawdę wie, jak się zachować. Umie troszczyć się o kobietę, nic dziwnego, że matka tak się nim zachwyca. I jakie w tym wszystkim znaczenie ma fakt, że ani swojej żony nie zna, ani jej nie rozumie?

– Albo chodźmy na spacer, dobrze nam robi, bo jakaś niezdrowa jest ta atmosfera – zaproponował.

Zgodziła się, choć wieczór jak na kwiecień był chłodny. Tomasz odłożył jej szpilki do bagażnika, bluzgnął, przechodząc obok blokującego ich auta, złożył dwa lusterka w zawalidrodze i odgiął wycieraczkę.

– Wystarczy – powstrzymała go Eryka.
– Kim byłbym bez ciebie? Bandytą zwyczajnym. – Tomasz westchnął. – Masz rację. Wystarczy. Ale gdybym dorwał palanta, to by tak wysoko podskoczył, że skrzydła by mu zdążyły wyrosnąć, jak by spadał.

Droga na Starówkę upłynęła im w milczeniu. Zawsze porównywała Warszawę i Paryż. Zawsze. Nie mogła się tego wyzbyć. Haussmanowska przebudowa Paryża z drugiej połowy dziewiętnastego wieku doprowadziła do zburzenia średniowiecznych kamienic i wytyczenia szerokich bulwarów. Warszawa po wojnie odbudowana została z błędami nawet tam, gdzie włożono w to serce całego narodu i większość cegieł Ziemi Odzyskanych. Rekonstrukcja średniowiecznych kamienic odbywała się przecież kosztem stojących po sąsiedzku i dobrze zachowanych budynków z przełomu wieków. Sama idea odbudowania Starówki wydała się Eryce kontrowersyjna. Pewne rzeczy, jeśli runą, powinno zastąpić się innymi. Była tego całkowicie pewna. A tylko najzuchwalsi przechodzą do historii, jak prefekt Paryża, który odważył się postawić na rozwój. Warszawska Starówka stanowiła skansen, w który życie wnosili tylko turyści. Sezonowo. O tej porze roku plac Zamkowy sprawiał wrażenie opustoszałego, było zbyt zimno na wystawienie stolików na zewnątrz i goście grzali się we wnętrzach licznych restauracji. Eryce znowu stanął przed oczami Paryż. Czwartek. Miała ochotę na mule w białym winie. Wielki garnek, rozpusta, jakiej nigdy nie wybaczyłby jej Tomasz, a jakiej oddawali się z Antoniem regularnie po tygodniu zajadania się suchymi bagietkami. Przypomniała sobie bezczelnych kelnerów, których w końcu nauczyła się od Antonia dyscyplinować. To były czasy, gdy umiała być niegrzeczna. I dlatego unikała ciotki Matyldy, która wiedziała o tym aż za dobrze.

– Chcesz gdzieś usiąść? – Tomasz przerwał milczenie.
– Dawno nie byłam w katedrze. – Zdziwiła się swoim wyborem. Pomodli się za swoje małżeństwo, żeby dalej umiała trzymać język za zębami. I za zdrowie ciotki. Żeby żyła tak długo, aż Eryka przestanie tęsknić za Paryżem.

Zajęli miejsca z tyłu. Co chwilę rozpraszało ich skrzypienie wahadłowych drzwi. Eryka usiadła, zamiast klęknąć. Nie była w tym osamotniona. Kościół zapełniał się ludźmi, którzy zajmowali miejsca w ławkach lub ustawiali się w kolejkach do konfesjonałów. Przed ołtarzem usiadł z gitarą ksiądz. Wokół ust zdążyły mu się mimo młodego wieku utworzyć zmarszczki mimiczne, nadające twarzy radosny wygląd. Na pewno wiele kobiet oglądałoby się na ulicy za tym mężczyzną o kruczoczarnych włosach, gdyby tylko ukrył koloratkę. Eryka uśmiechnęła się do Tomasza. On też dostrzegł niezwykle podobieństwo – taki był, kiedy go poznała. Ideowiec, marzyciel, apostoł. Teraz gitarę, która kurzyła się gdzieś na szafie, zamienił na laptopa. Pieśń, którą zaintonował ksiądz, była im dobrze znana. Ileż razy wykonywali ją podczas adoracji Najświętszego Sakramentu we wspólnocie akademickiej. Eryce zrobiło się nagle wstyd. Jak mogła siebie stawiać w centrum świata, swoje problemy uważać za najważniejsze? Ukłękła i modliła się żarliwie słowami pieśni: „Krzyżu Święty, nad nami wzniesiony, jak bandaż litościwie ściągasz brzegi rany, by nowe się zaczęło w sercu wyleczonym”. Na chwilę stała się znów tą Eryką, która zakochała się w Jezusie i Tomku. Już nie wylewała łez nad własną niedolą. Płakała nad swoimi grzechami, które doprowadziły do męczeńskiej śmierci Pana.

Zatopionych w żarliwej modlitwie otrzeźwiło dopiero brzęczenie kluczy dochodzące z zakrystii.

– Wszystko w porządku? – Tomasz przytulił żonę.

– Tak. Czasem dopada mnie kusa i ciągnie w dół. Dobrze, że jesteś wtedy przy mnie.

– Zawsze będę, dzieciaku.

Na parking doszli w ciszy, ale było to milczenie spajające, nie musieli nic mówić, gdyż wiedzieli, że się ze sobą zgadzają, że ponownie stali się jednością. Już w samochodzie Eryka poczuła, że chce, by Tomasz był jeszcze bliżej, by przeniknął ją całą, by całą ją wypełnił. Sobą, aż stanie się nim. Ledwo weszli do domu, rzucili się na siebie z taką pasją, jakby od tego zależało zbawienie ludzkości, choć nie było w tym krzty pożądania, jedynie bezbrzeżna samotność odprysków farby, która chlapanęła poza ramy boskiego obrazu świata. Tomasz nałożył bokserki, wspiął się na krzesło i wyjął gitarę. Brzdąknął kilka akordów i uciszony przez Erykę zapiął pokrowiec z powrotem.

– Ci z dołu zaraz zadzwonią po policję. – Skrzywiła się na myśl o sąsiadach.

– I słusznie. To zbrodnia grać na tak rozstrojonym instrumencie.

Harmonia nie trwała długo. Kiedy Tomasz wreszcie włączył telefon, zobaczył, że Wojciech próbował się z nim połączyć osiem razy. Przyznała mu się do wizyty u Bajtaków, zanim odsłuchał wiadomość. Patrzył na nią oniemiały.

– Nie mówmy o tym – zaproponowała Eryka. – Nie widzisz, że to przez nich się kłócimy?

– Nie przez nich – zaprotestował Tomasz gniewnie. – Chcesz wiedzieć, to ci powiem, że bilety od nich dostaliśmy.

– Mogłabym nie wiedzieć. Wolałam wersję, że kupiłeś.

– Nie że kupiłem, ale że się zwolniły w ostatniej chwili. Nie łap mnie za słówka.

– Daj mi już spokój. Chcę spać. Mam dosyć kłamstw.

– To nie kłamstwa, tylko...

ROZDZIAŁ 16

Ledwo przeszła kilka metrów, a stanęła przy trawniku, pochyliła się gwałtownie i wstrząsnęły nią torsje. Zwymiotowała zupełną ze szkolnej stołówki. Akurat była to pomidorowa z makaronem i mimowolnie przywołane wspomnienie przykutej do łóżka Bajtakowej spowodowało kolejne wymioty. Ci, którzy zostawiali na trawnikach, a czasem i chodnikach odchody swoich psów, przyglądali się jej z pogardą w oczach. Bez żadnego skrępowania przystawali i patrzyli, jak szuka w obszernej torbie chusteczki higienicznej, ociera twarz, usta, ręce, czubki butów. Zgarbiona i zawstydzona doczłapała się do kosza, a potem, zdegustowana, że stać ją na tak zwierzęcą obronę własnej godności, podeszła do grubasa z ratlerkiem i warknęła mu w twarz. Mężczyzna zrobił krok w tył, zszedł na trawnik i wdepnął w psią kupę.

Eryka, usatysfakcjonowana, choć ani trochę spokojniejsza, wyprostowała się, poprawiła opadającą na oczy czapkę i przeszła za róg budynku, a tam przystanęła na chwilę, wypłuła nieprzyjemny kwas z ust i rozejrzała się za kioskiem, w którym mogłaby kupić gumę do żucia.

Jej wzrok przykuła apteka. Sprawdziła, ile ma drobnych w portfelu, i pchnęła drzwi, na których poza tabliczką z godzinami otwarcia przyklejono karteczkę: *Ta apteka nie sprzedaje środków antykoncepcyjnych ze względu na klauzulę sumienia.*

Wystraszyła się, że spotka za kontuarem kogoś znajomego ze wspólnoty, ale farmaceutka z ciemnymi włosami i okularami w czerwonych oprawkach nikogo jej nie przypominała ani nie sprawiała wrażenia, żeby sama rozpoznała Erykę.

– Czy są gumy miętowe?

– Antynikotynowe?

– A zwykłych nie ma? To jakieś pastylki na gardło wezmę albo odświeżacz do ust. Taki w aerozolu.

Eryka wzięła do rąk odświeżacz, którego kiedyś używała. Był gorszy od najgorszych świństw na gardło. Kątem oka dostrzegła dystrybutor z wodą.

– Albo nie, dziękuję. Przepraszam, ale ja właściwie chciałam test ciążowy. Najczulszy, jaki pani ma.

Farmaceutka uśmiechnęła się wyrozumiale i przyniosła dwa testy.

– Strumieniowy albo płytkowy, jak pani woli.

– Poproszę oba.

Zapłaciła i podeszła do dystrybutora. Zabrakło plastikowych kubeczków. Farmaceutka zniknęła na zapleczu i Eryka nie odważyła się prosić o odświeżacz do ust, z którego zakupu przed chwilą zrezygnowała. Ścisnęła testy w dłoni i pomyślała, że jeśli to nie hormony ciążowe pozwalają jej tak popuścić cugle, by myszkować po cudzych sypialniach

i warzyć obcym w twarz, to niechybnie dopadł ją jakiś rodzaj szaleństwa. Nigdy nie chciała aż tak zbliżyć się do matki, by stać się jej lustrzanym odbiciem.

ROZDZIAŁ 17

Nie było go cały dzień, a ona nie zamierzała do niego dzwonić. Nie w rocznicę, której nie obchodziła. W takim dniu powinno się palić znicze na cmentarzu, a nie kukły politycznych wrogów. Zamiast radosnego podniecenia ogarnęła ją senność i dopadło dziwne zmęczenie. Jeden z testów wyraźnie wskazywał dwie kreski, drugi był mniej jednoznaczny, ale ponieważ nie wykazał nawet próby kontrolnej, Eryka uznała, że jest zepsuty. Przez chwilę podejrzewała, że oba obarczone są jakąś wadą, bo takie rzeczy się nie zdarzają. Jałowe kobiety nie zachodzą w ciążę od modlitwy. A już tym bardziej od seksu. Je co najwyżej zapładnia się w klinikach, a i wtedy zdarza się, że zostają tylko z niespełnioną nadzieją, kredytem do spłacenia i pustym łóżeczkiem od dzieciątej kuzynki. Eryka była na dobrej drodze, by skończyć jak one, uratowała ją chyba resztką złudzeń, które trudno nazwać wiarą. Jeśli już, to wiarą z rozsądku, wiarą z konieczności, wiarą z braku innych opcji. I ta pseudowiarą miałyby zostać nagrodzona ciążą? Nie mieściło jej się to w głowie, tak samo jak obiad znowu nie mieścił się jej w żołądku. Trzeba przyznać, że szybko oswoiła się z wymiotami. Od wczoraj rzygała w pracy, na ulicy, w domu. Mogłaby podejrzewać jakąś śmiertelną chorobę, raka w stanie zaawansowanym, a tymczasem Bóg ją zaskoczył. Lub Matka Boska rozwiązała jej małżeńskie kłopoty. Zastanawiała się, z kim może się podzielić nowiną. Powstrzymała się i nie zadzwoniła do Aśki. Pewnie wróciła z Londynu, ale Eryka nie miała odwagi się do niej odezwać. Znajomi ze wspólnoty zaraz wykorzystaliby ją do szerzenia świadectwa, a Eryka wcale nie miała ochoty upubliczniać swojego szczęścia. Matka od razu zasypałaby ją dobrymi radami, wymieszanymi z wiadrem pomyj na ojca, który ma śmiałość zwlekać z umieraniem. Telefon ojca milczał, rzucony pewnie w kąt albo rozładowany. Izki Kosteckiej jej plany rozrodcze raczej nie interesowały. Jediną osobą, do której mogła się zwrócić, była... ciotka Matylda.

Zaskoczona taką refleksją Eryka wybrała numer. Pięć sygnałów. Tyle ciotka uznawała za dopuszczalne, każdy kolejny nazywała nachalnością. Eryka już miała z żalem odłożyć słuchawkę. Widać ciotka jeszcze nie wróciła ze szpitala. Zamyśliła się i prawie przeoczyłaby fakt, że udało jej się połączyć.

- Eryka? – odezwał się słaby głos z wyraźnym francuskim akcentem.
- Ciocia? To ciocia już w domu?
- W szpitalu.
- Przecież ja na domowy dzwonię.
- Kochana, współczesna technika cuda czyni. Ale powiem ci coś! Za ścianą leży minister. Imigrant. Rozmawiamy czasem na korytarzu o tutejszej kuchni. Staram się wybadać, czy też dostaje czerstwe bułeczki.
- I co?

– To ulga, ale jego to nie obchodzi. Nie wierzyłam, że w tym kraju ktoś, kto nie modli się do bagietki, może do czegokolwiek dojść.

– Trochę się zmienia na lepsze.

– Może jest więcej Rosjan ostatnio, zalewają nas jak wschodnia stonka, tyle że złota. Ale nie czarujmy się, nie zadzwoniłaś do mnie, żeby pogawędzić o turystyce. Nie sądzę też, żebyś martwiła się o mój stan zdrowia. Ale dziękuję. U mnie lepiej. No, to co jest?

– Jestem w ciąży.

– Mam ci gratulować czy współczuć?

– Tym razem gratulować.

– W takim razie ściskam cię, kochanie. A kto jest ojcem?

– Ciociu, od sześciu lat mam męża.

– Tego samego? Już tyle lat wytrzymaliście razem? O, kochana, nie doceniałam twojej konsekwencji w marnowaniu sobie życia.

Eryka milczała.

Ciotka odezwała się po chwili:

– No, rybko, nie dąsaj się na mnie. Jeśli jesteś szczęśliwa, to cofam wszystko, co powiedziałam. Ale chcę to od ciebie usłyszeć. Jesteś?

– Boże – zirytowała się Eryka – z ciotką nie można normalnie pogadać, tylko od razu *liberté – égalité – fraternité*.

– Dziękuję. To dla mnie odpowiedź. Jakby co, pamiętaj. Czeka tu na ciebie lokum. Wtrącać się nie będę. Szczególnie do dziecka. Może jak podrośnie, ale nie jestem przecież nieśmiertelna. Synek czy córeczka?

– Dopiero zrobiłam test.

– No tak, to jeszcze pożyjesz w niepewności. Albo wychowasz wnuki ze strony córki, albo nie wychowasz wnuków ze strony syna, bo nie dopuści cię do nich ich matka. Z dwojga złego, chyba lepszy chłopak?

– Nic się ciotka nie zmieniła.

– To zasługa *madame* Greiller. Ma świetne maseczki. Pamiętaj, kochana, nic tak nie przedłuża życia jak dobra kosmetyczka i grono wiernych przyjaciółek.

– Ciociu – nieoczekiwanie dla samej siebie zagaiła Eryka, jakby głos ciotki Matyldy obudził uspioną część jej osobowości. – Czemu mi ciocia nie powiedziała, że na Postinor jest za późno, że nic to nie da?

– Ależ dał! Pogonił Hiszpana dalej niż byki głupców w Pampelunie. Cięża to dobry test dla związku. A cięża, której nie ma, jeszcze lepszy. Dziecka się nie krzywdzi przynajmniej. Czemu ja całe życie sama przeżyłam, bynajmniej nie w celibacie? Powiedz mi o ciąży, a zobaczysz, kogo wybrałaś.

Tomasz wrócił późno i zastał Erykę w sypialni. O mały włos, a przyłapałby ją na oglądaniu testu. Tego zepsutego. Czekala na dwie kreski. Lubiła figury pełne, a ten test dziwnie ją niepokoił. Podobnie jak słowa, którymi pożegnała ją ciotka Matylda.

– Jak było? – spytała Tomasz speszona, zamykając test pomiędzy kartami złapanej

pospiesznie książki.

– Nie chcesz wiedzieć – stwierdził.

Nic nie odpowiedziała. Dziesiąty kwietnia był dla niej dniem wstydu. Za męża.

– Spotkałeś Bajtaków?

– Był Wojtek tylko, Elżbieta zaniemogła. Jutro po mszy jest spotkanie w sprawie drogi krzyżowej. Będziesz musiała ze mną pójść.

– Dobrze. Pójdę.

– Do stadniny pojedźmy po kościele. Tak będzie bezpieczniej – kontynuował, zaskoczony jej zgodą.

– Ja nie mogę.

– Co nie możesz?

– Na koniu jeździć.

Wyjęła testy. Najpierw ten trefny z książki, a potem ten z dwiema kreskami spod łóżka. Tomasz nawet nie spojrział, od razu zrozumiał, co zamierza mu powiedzieć.

– Alleluja! – krzyknął. – Alleluja!

ROZDZIAŁ 18

Wojtek coś burczał, że złoży na ciebie skargę w szkole. Wczoraj był nabuzowany, ktoś mu powietrze spuścił, to i tobie się oberwało przy okazji. Ale musimy to wyciszyć. Pójdiesz teraz na zwolnienie i wszystko się ułoży. – Tomasz pogłaskał żonę po włosach i podał jej chusteczkę. Na policzku Eryki osiadła resztką śniadania.

Przepłukała usta płynem dentystycznym. Niechcący wypła odrobinę. Piekły ją dziąsła. Z ulgą pomyślała, że nie musi już więcej spierać się z Tomaszem, najważniejsze jest dobro dziecka. Ich dziecka, nie cudzego. Przy uchu bzyczał jej obudzony po zimie komar. Namolnie i jednostajnie. Takim sposobem by wykończyła Bajtaka. Na pewno. Ale w tych okolicznościach nie ma sensu próba sił. Przecież go potrzebuje.

Sala była nabita po brzegi. Pełna dzieci, których zazwyczaj nie dopuszczano do zebrań dorosłych. Miały przecież swoje kółka, na których pod opieką katechetów zbijały krzyże z drewnianych patyków, lepily z gliny stópki płodów, a potem wypalały z nich broszki w ceramicznym piecu w zaprzyjaźnionym domu kultury. Najczęściej rysowały, czasem oglądały filmy o stworzeniu świata, w których uparcie pomijano nazwisko Darwina. Była to forma zajęć świetlicowych zgodnych z jasno ustalonym światopoglądem. Tym razem tłokiem zaskoczeni byli wszyscy – i dzieci, i rodzice, i nawet kierujący wspólnotą ksiądz Jan, który w popłochu, zanim wszyscy się poduszają, zachęcał, by brać dzieciaki na kolana, i otwierał okna na główną salę kościoła. Eryka i Tomasz nie chcieli spotykać się z Bajtakami na nieoficjalnym gruncie, dlatego postanowili się spóźnić. Nie przewidzieli jednak tego, że Bajtakowie, a szczególnie Elżbieta, równie mocno będą próbowali uniknąć Papickich, na skutek czego cała szóstka, włączając chłopaków, wpadła na siebie na ciasnych drewnianych schodach. Tomasz uśmiechnął się szeroko na widok Bajtaków, Eryka posłała mu napominające spojrzenie. Umówili się, że nie wspomną o ciąży, dopóki badanie jej nie potwierdzi. Dopóki nie usłyszy bicia serca lub serc, bo może Bóg w swojej szcudrej łasce obdarował ich bliźniakami?

Eryka pogłaskała Pawełka po głowie, ale choć dawniej sam garnął się do niej, uciekł i schował się za matką. Nie umknęła jej satysfakcja, z jaką Elżbieta przygarnęła syna do siebie. Wspinali się w milczeniu gęsiego przy akompaniamencie skrzypiących schodów.

Ich wspólne wejście zostało odebrane jako oczywiste. Wspólnota pomimo tłoku zarezerwowała im wolną ławkę, jakby przewidywano, że ta szóstka pojawi się razem. Trwała debata, czy w czasie drogi krzyżowej należy urządzać inscenizację ukrzyżowania. Ubiegłoroczna nieoficjalna droga krzyżowa, która z inicjatywy Papickiego i Bajtaka

wyszła poza mury kościoła do lasu, ta, w której rolę Chrystusa realistycznie odegrał Tomasz, obiegała szerokim echem katolickie media, stawiające ich za wzór prężnie działającej parafii. Od tego czasu media były im przychylnie. Kiedy burmistrz nie przyznał domu ubogiej wielodzietnej rodzinie, od razu pojawił się na ten temat reportaż radiowy. Kiedy założono klub rozmodlonych żon, polecających opiece boskiej mężów, napisał o tym nawet tygodnik kobiecy. Gdy protestowali pod sejmem przeciw in vitro, inicjatywa została opisana w taki sposób, by nikt nie podejrzewał, że na Wiejskiej zjawiała się zaledwie garstka. Także dzięki mediom wzrosła pozycja Tomasza w grupie. Był nie tylko dawnym radnym z właściwej opcji, lecz tym, który niesie krzyż. Budziło to podziw szczególnie wśród tych, którzy nie wiedzieli, jak lekki jest wydrążony i wysuszony pień drewna. A może przeważało poczucie robienia czegoś nie do końca legalnego, wymknięcia się rutynie? Trzeba przyznać, że nawet Bajtak w roli Piłata zyskał respekt, tak był przekonujący. Ksiądz Jan powtarzał świadectwo o sile osobistego doświadczenia. Kto przejdzie za krzyżem dziesięć kilometrów, kogo nogi rozbolą, ten poczuje coś więcej niż tylko suchość w gardle od wypowiedzanych zbyt często komunałów – opowiadał, aż niespodziewanie droga krzyżowa, której oficjalnie nie było, stała się najbardziej oczekiwanym wydarzeniem kalendarza liturgicznego. Równoległe z rodzącym się mitem granicznego doświadczenia cielesności Chrystusa zaczęto rozpowszechniać głosy krytyczne, mówiące, że las państwowy to nie miejsce na zgromadzenia po nocy. Nic to nie pomogło. Choć tegoroczną ceremonię ograniczono do członków wspólnoty, spowodowało to tylko wzrost zainteresowania. Ci, którzy uczestniczyli w procesji rok temu, do tej pory odczuwali niedosyt, że Chrystusa nie ukrzyżowano, i domagali się tym razem krwi.

Pozostawało pytanie, jak to zrobić, żeby nikogo nie urazić. Ktoś zaproponował, by w ciemnym lesie zgasić lampiony i ukrzyżować premiera, ale pomysł nie zyskał akceptacji szerszego grona, choć sprowokował co poniektórych do typowania, który minister powinien zająć miejsce łotra po prawej, a który po lewej stronie. Tomasz milczał, zaaferowany swoją prywatną drogą krzyżową, którą tyle lat przychodził, a która wreszcie dobiegała końca. Szczęśliwego końca. Wreszcie się zorientował, że o nim mowa, i wywołany do odpowiedzi stanowczo oznajmił:

- W tym roku nie będę Chrystusem. Chciałem zaproponować Wojtka Bajtaka.
- Jak to? – odezwały się głosy. Tej kwestii nikt nie podawał w wątpliwość. Przecież sprawdził się znakomicie.

Tomasz uściśnął dłoń Eryki i odpowiedział na to pytanie znacznie obszerniej, niż ktokolwiek się spodziewał. Podniósł do góry najpierw palec wskazujący, a potem wzrok.

- Nie wybaczyłbym sobie, gdybym zaprzepaścił taką szansę, by wychwalać Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Moja małżonka – tu spojrzał na Erykę – na pewno zrozumie, bo wie, że to świadectwo wypływa z miłości do Boga, do niej, z którą mnie połączył świętym, nierozzerwalnym sakramentem, i do was, bracia i siostry.

W sali zapanowała cisza. Zebrani niemalże wstrzymali oddech i słyhać było tylko niekiedy, jak ktoś przełyka ślinę. Eryka wpatrywała się w buty Tomasza. Na czubku prawego powstało wyraźne zarysowanie, którego nie udało się zapastować. Były to tanie buty ze skaju, które udawały skórzane. Demaskowała je właśnie rysa. Ego Tomasza zdradził błysk w oku, gdy na nowo podjął wątek. Eryka słuchała jak inni. Nie miała

odwagi ani być z nim, ani mu się postawić.

– Wczoraj się dowiedziałem, że Bóg wyleczył mnie z bezpłodności. Spodziewamy się potomka. – Tomasz gestem uciszył wiwaty i gratulacje. Elżbieta objęła siedzącą po sąsiedzku Papicką i pogłaskała ją po głowie. Dopiero wtedy Eryka podniosła wzrok. Wszyscy patrzyli na nią. Skanowali ją jak aparat USG, próbując odczytać z jej twarzy szczegóły dopiero co ogłoszonego cudu. Uśmiechnęła się półgębkiem, zaczerwieniona po czubki uszu. Sytuacja krępowala ją na tyle, że wsunęła wilgotną dłoń w rękę Tomasza. Uścisnął ją lekko i kontynuował przemowę.

– Wiemy wszyscy, jak wielkim błogosławieństwem w rodzinie są dzieci. My czekaliśmy na nasze sześć lat. Muszę przyznać, że nieraz dopadały mnie wątpliwości. Nieraz złość i rozgoryczenie. Na Boga. Patrzyłem na najwspanialszą kobietę świata, która byłaby najwspanialszą matką, i pytałem Boga: dlaczego? Ale nasz Ojciec kocha nas miłością niepojętą dla zwykłych śmiertelników, boski plan czasem kłóci się z tym, czego pragniemy. Dlatego zdarzało mi się udawać, że zależy mi na tym mniej, niż naprawdę zależało.

Tomasz spojrzął na Erykę. Stał przed nią obnażony.

– Nie chcę przedłużać. Powiem tylko tyle – gdy miałem sześć lat i umierał na raka jąder mój ojciec, byłem dzieckiem i nie wiedziałem, co znaczy, że przeszedł do Domu Pana. Ale gdy miałem szesnaście i z tego samego powodu przeszedłem trzy serie chemii, które pozbawiły mnie płodności, wiedziałem już dobrze, co to znaczy wdzięczność, że Bóg pozwolił mi żyć. I nie martwiłem się wówczas, gdy lekarze ostrzegali, że nie będę mógł mieć dzieci. Od kiedy spotkałem Rysię, Erykę, codziennie modliłem się w tej intencji. I chyba udało mi się Pana Boga przekonać, że jestem godzien, by zostać ojcem. Chciałbym zobaczyć miny tych specjalistów. Bóg jest wielki. Bóg jest ponad wszystkim. Pomódlmy się razem!

– Aśka, jesteś już. Błagam cię, zrób coś – bełkotała chaotycznie Eryka.

Po kilkunastu próbach wreszcie się dodzwoniła, ale Aśka najpierw uprzedziła ją, że ma chore wszystkie dzieciaki naraz i nie jest to najlepszy czas na pogaduchy, a zaraz potem wyjaśniła, że cel wycieczki do Londynu został osiągnięty. I że Eryka miała rację, znowu wiedziała lepiej, a ona kolejny raz popisała się naiwnością. I tylko przez wzgląd na resztki szacunku do siebie nie podzieli się szczegółami.

– To nic złego mieć marzenia – podsumowała Eryka.

– Tylko nie można mylić złudzeń z marzeniami – dopowiedziała Aśka. – A ja ciągle to sobie robię.

– Ja też nie jestem lepsza. Myślałam, że jestem w ciąży. Ale właśnie się dowiedziałam, że Tomasz nie może mieć dzieci.

– To jesteś czy nie? Jezusie drogi, gdzie leziesz z tą wodą, dziewczyno, nie widzisz, że ci cieknie na podłogę? – strofowała córkę Aśka.

– W tym twoim szpitalu jest izba przyjęć?

– Oddzwonię i dam ci znać, kto przyjmuje. – Aśka w mig pojęła powagę sytuacji.

Zadzwoiła po chwili. Ze złą wiadomością i dobrą. Dobra to taka, że jej zaufana znajoma, Aldona, akurat miała dyżur położniczy i mogła wcisnąć Erykę w kolejkę. Zła to taka, że przyjmował Kotkowski, który znany był z tego, że nie kierował na patologię ciąży przed ukończeniem pierwszego trymestru.

– Nic ci nie jest, nie krwawisz, nawet nie plamisz, jeśli to piąty tydzień, lekarz niewiele zobaczy, a jeszcze mniej robi.

– Asia, ja muszę wiedzieć. Cuda są albo ich nie ma. Jestem w tej ciąży albo nie.

– Nie rozumiem, ale trzymaj się, dam znać Aldonie, że przyjedziesz. Taka mała pulchna blondynka. Była na naszym weselu.

Eryka obracała chwilę telefon w rękach. Jeszcze raz obejrzała film z Fundacji Jasny Początek. Smok o wielkiej głowie w jej myślach stawał się nim. Albo nią. Synkiem albo córeczką. Z komórki wysłała Tomaszowi mejla, że zmarzła i przyjedzie po niego do stadniny na siedemnastą. Wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i w pośpiechu ruszyła w kierunku Mokotowa.

– Ten aparat zamierzają wymienić, od kiedy tu pracuję, ale jeszcze Owsiak na nowy nie ubierał – wyjaśniła położna w typie Marilyn Monroe, kiedy wyszły przed szpital.

– Daj mi papierosa – zażądała Eryka.

– Nie mam, jednego wzięłam. Zresztą tobie nie wolno.

– Mnie wolno wszystko. Ja jestem dziecko Rosemary. – Eryka stanęła przy schodach, wychyliła się za barierkę i liczyła stopnie. – Ten konował twierdzi, że urodzę co najwyżej torbiel. Wielkości pomarańczy. To przez nią wszystko. Objawy. Testy. Rzyganie.

– Testy też ci wyszły? Niezły przypadek. Ale ja już nie takie rzeczy tu widziałam.

– Wyszły. Jeden wyszedł właściwie, ale nie jestem w ciąży. Kapujesz? Bo ja nie.

Eryka wpatrywała się w stojącą za szybą kobietę, która wyjęła noworodka z fotelika i przystawiła do piersi.

– A może to za wcześnie i lekarz jeszcze nic nie widzi? – Aldona próbowała ją pocieszyć.

– Nie – zaprotestowała Eryka. – To się nigdy nie uda. Teraz wiem czemu. Mój mąż miał raka jąder. Dowiedziałam się przypadkiem dziś rano.

– Miał raka? Ciesz się, że wyzdrowiał.

– Przyjechałam sprawdzić, czy Bóg istnieje, i już wiem – Boga nie ma. Prawdziwi są tylko Hiobowie – powiedziała właściwie do siebie, ale Aldona współczująco kiwnęła głową.

ROZDZIAŁ 19

Jedno świadectwo o ciąży, której nie było, zapoczątkowało serię tragicznych zdarzeń. Tomasz skorzystał z zaproszenia do Krynicy, zostawiając Erykę w domu na zwolnieniu, które Hermanowa wypisała jej poza kolejką następnego dnia. Kazała się oszczędzać, położyła rękę na brzuchu, jakby brzuch ten był także jej własnością, a nie tylko częścią cudzego ciała. Eryka znosiła to nad wyraz spokojnie. Kiedy nie wiesz, co powiedzieć – w ogóle się nie odzywaj, brzmiała dewiza Eryki. Przyjęła gratulacje Bajtaka z ulgą równie wielką, jak ta w jego głosie. Wszyscy uznali, że sytuacja się unormuje, bo Eryka ma teraz na głowie osobiste sprawy. Tomasz wyjechał tym razem sam, ale nie miało to znaczenia, gdyż dostał wszystkie upoważnienia, żeby reprezentować Bajtaka przed wykonawcami. Poza tym inwestycja w Krynicy była prawie zakończona, wystarczyło dopilnować drobiazgów, które mogłyby zepsuć wrażenie całości. Na tym polegało zadanie Tomasza.

Eryka wysprzątała mieszkanie, jak zwykle najpierw usunęła z pola widzenia prasę katolicką, pozostawiła tylko nieruszony i na dodatek kupiony przez nią osobiście „Tygodnik Ekumeniczny”. Wszystkie inne tytuły wcisnęła do szuflad w regale. Kolejną godzinę spędziła na naprawianiu tej, która ugięła się pod naporem ciężkości, a może zbyt gwałtownym gestem Eryki. Owszem, trzaskała szufladami, a czasem drzwiami. Najczęściej wtedy, gdy nie wiedziała, co powiedzieć, i wybuchała wymuszonym bezsilnością milczeniem.

Otrzymane w prezencie od ojca siodło, którego regularnie dotychczas używała, Tomasz zdjął z przedpokoju i wsunął pod szafę. Wyglądało to okropnie, przełożył je więc za namową Eryki za sofę i upchnął między meblem a ścianą, dodatkowo schowane za zasłoną. Nie było go widać, ale – niestety – doskonale przechowało zapach końskiej skóry i resztki końskiego włosia. Zapach, który Eryce wcale nie wadził, ale już słyszała pretensje matki. W końcu siodło, zabezpieczone przed szczurami kartonem i styropianem, wylądowało w piwnicy. Mieli je zawieźć do stadniny, dopiero gdy Eryka wróci do jazdy konnej. Całe szczęście piwnicę udało się wysprzątać, pozbywając się przy okazji trzech worków makulatury, z czasów gdy Eryka jeszcze nie miała sumienia cudzych rzeczy wyrzucać. Piwnica, w której swoje miejsce znalazły także rowery, sanki i inne rzeczy dla dziecka, prezenty od rozmaitych znajomych, stałaby się zapewne ulubionym pomieszczeniem Eryki, gdyby można tam ulokować jeszcze jakiś fotel z lampą, ciepły koc i półki na książki, wcześniej zaprosiwszy na kolację okoliczne koty.

Czasami jednak sypialnia także stawała się przytulnym azylem. Bez porozrzucanych ubrań, bez tych wszystkich propagandowych treści, choć z „Tygodnikiem Ekumenicznym” na nocnym stoliku, nawet z bliskością przedpokoju, w którym na sporym haku po siodle zawisł jeszcze większy krzyż, nawet ta sypialnia umożliwiała odpoczynek.

W poniedziałkowe popołudnie, kolejny bardziej zimowy niż wiosenny szarobury dzień, Eryka usiadła w fotelu z kalendarzem, długopisem i teczką od Izki. Po chwili odłożyła je, czując, że żadne rozwiązanie nie przyjdzie jej do głowy, bo zamiast pisać o Bajtakach, myślami krążyła wokół chemioterapii i jej wpływu na płodność. Z laptopem na kolanach spędziła dwie godziny, wyszukując informacje o raku jąder w dzieciństwie. Kotłowały się w niej emocje – od wdzięczności, że chorobę udało się pokonać i Tomasz z medycznego punktu widzenia był całkowicie wyleczony, po wściekłość, że właśnie na niego musiała trafić. Powinien był pójść gdzieś do zakonu, seminarium jakiegoś, po kiego diabła żenił się z nią? Kiedy zadzwonił z informacją, że bezpiecznie dojechał, nie odważyła się go o to zagadnąć. Kiełkowała w niej rozpacz, że nigdy nie będzie mieć dzieci. Nawet zapłodnienie in vitro, które była gotowa rozważyć jako ostatnią deskę ratunku, choć łudziła się, że nie będzie konieczne, nie poradziłoby sobie z brakiem plemników oszusta, który oczekiwał cudów.

– Sprzątałaś? – spytał z troską.

Przytaknęła. Obiecał, że następnym razem sam to zrobi. W jej stanie nie powinna. Musi teraz na siebie uważać i starać się ignorować takie drobiazgi. Eryka poczuła uścisk w pustym brzuchu. Jak śmiał ją pouczać o jej powinnościach!

– Kiedy już będziemy mieć dom, to wtedy dopiero trzeba będzie się nasprzątać – obiecał tak, jak zwodzi się dziecko, że kiedy dorośnie, będzie mogło spełniać wszystkie swoje zachcianki.

Dom? Przecież ja nie chcę domu z ochroną przy bramie i wysokim płotem. Chcę chatki nad brzegiem rzeki, której nie ma. Rzeki zapomnienia, pomyślała smutno Eryka i pod pretekstem zmęczenia zakończyła rozmowę z mężem.

Kręciła się po mieszkaniu, wczytywała w ulotki do lekarstw, które miała zażywać na torbiel. Wzięła lekarstwa, usiadła i bezmyślnie odliczała sekundy, które płynnie przechodziły w minuty, a następnie w kwadransie.

Kiedy wreszcie sięgnęła po Agathę Christie, książka wciągnęła ją na tyle, że życie na powrót stało się proste. Najbardziej skomplikowane intrygi kryminalne nie dorównywały tym, w które wplątała się w rzeczywistości. Straciła rachubę czasu, pogrążona w lekturze zignorowała dzwonek domofonu. Nikogo się nie spodziewała, pewnie jakiś roznosiciel ulotek lub dozorca. Zdecydowała się podnieść z fotela, słysząc walenie do drzwi. Nie było to pukanie ani nawet stukot. Ktoś uderzał w drzwi z całą siłą dziecięcych rączek.

– Pawełek? – zdziwiła się Eryka. Chłopak był kompletnie przemarznięty.

Kiedy nie przestał się trząść po otuleniu go kocem, wysuszeniu włosów i podaniu gorącego soku malinowego, Eryka zrozumiała, że drży z emocji, a nie wychłodzenia.

– Nie powinieneś być w szkole?

Pokręcił przecząco głową.

– Opowiesz mi, co się stało?

Chłopak nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Patrzył przerażony, jakby chciał usłyszeć, że może u niej zostać, że nie musi szukać innej kryjówki. Wprowadziła go do sypialni, posadziła na fotelu, zmierzwiła czuprynę na głowie i zaproponowała:

– Zdrzemnij się trochę.

Bez wahania przymknął oczy, chociaż Eryka widziała, że czuwa. Zapadnięty w ogromny

fotel nie daje sobie prawa, by usnąć, wszystkimi zmysłami, poza wzrokiem, próbując upewnić się, że wciąż tam jest. Chwycił ją wreszcie za rękę, pocałował, tak jak dawniej wiejskie dzieci całowały matczyne ręce, wyciszył oddech i pogrążył się we śnie.

Nie obudził go nawet telefon. To zabawne, jak bardzo Tomasz starał się nie zdradzić, z czym naprawdę zadzwonił. Wypytywał Erykę, czy już odpoczęła, a ona odpowiedziała, wyjątkowo zgodnie z prawdą, że przygotowuje na obiad placki ziemniaczane i znowu starła do ciasta kawałek palca. W końcu Tomasz przyznał, że nie chciał jej niepokoić, ale mały Bajtaków uciekł ze szkoły. Piotrek zostawił go na chwilę w szatni, a kiedy wrócił, brata już nie było. Rodzice ani brat nie mają pojęcia, dokąd mógł pójść. Do siostry na Grochów miał za daleko, musiałby przesiadać się autobusem kilka razy. Kolegów w domu nie odwiedzał. Jedynie jej, Eryki, adres znał, i jeśli nie dotarł do niej, to znaczy, że należy natychmiast wszcząć poszukiwania. Erykę ścisnęło w gardle.

– To straszne – powiedziała. A ponieważ jej mąż nie wpadł na to, by spytać wprost, czy dzieciak u nich jest, Eryka poczuła się zwolniona z odpowiedzi. Nie odda tego chłopca nikomu, zanim się nie dowie, co zaszło.

– Poinformuję cię, jeśli się czegoś dowiem. Ty też daj znać. – I rozłączyła się.

Po kwadransie Paweł wybudzony z drzemki przez odgłosy z włączonego radia, w dużo lepszym stanie siedział w przestronnej kuchni Eryki, w której ostatnio ledwo całą grupą chłopaków się zmieścili, i wygodnie rozparty na stołku pałaszował rękami placki ziemniaczane, maczając je w śmietanie i cukrze. Jadł łapczywie, jak na takiego małego chłopca zbyt łapczywie, i do Eryki znowu wróciły fragmenty raportu terapeuty rodzinnego, w którym opisywał techniki przemocy poprzez przekarmianie i głodzenie rodziny.

– Ciociu – odezwał się wreszcie Paweł między jednym a drugim kęsem. – Ciociu...

Eryka czekała na dalszy ciąg, włączyła w komórce dyktafon i zachęciła chłopca cichym:

– Tak?

– Ciociu, dlaczego pytany nie mogą jeść placków ziemniaczanych?

– Bo to zwierzęta. Zwierzęta często jedzą inne zwierzęta.

– Ale dlaczego to nie koty połykają węże, tylko na odwrót?

Izka postawiła na stole kolejną gorącą czekoladę, którą Eryka wypila łapczywie, podobnie jak poprzednią. Opowiedziała wszystko ze szczegółami. Drugi raz już nieco mniej chaotycznie i powoli.

– Nie wiem, co dalej – szepnęła i wytarła usta chusteczką. Wysmarkała nos, przyniosła z łazienki małe lusterko i zaczęła poprawiać makijaż, próbując usunąć rozmazany tusz.

– Od której jest u ciebie?

– Od rana. Jakies trzy godziny. Prawie cały czas śpi. Nie wiem, czy już zawiadomili policję. Na pewno pytają po znajomych.

Izka umyła kubki po czekoladzie, jakby chciała dać sygnał, że żarty się skończyły, koniec pogaduszek, trzeba działać.

– Obudzisz go – zaprotestowała Eryka.

– To nawet lepiej. I tak musiałybyśmy to zrobić.

– Jak to? – Eryka zakręciła kurek z wodą. – Chcesz powiedzieć, że ma wrócić do domu? Do tego sadysty, który nakarmił pytona kotem? Izka, ja widziałam tego potwora. Bałam się go, zanim jeszcze otworzył pysk. Oglądałam przed chwilą na YouTube, jak węże połykają myszy, a ten pożarł kota. Rozumiesz? Na oczach tego biednego dziecka gad wsysał w siebie po kawałku łeb, szyję, tułów, łapki, na końcu ogon tego zwierzaka, a stary kazał synowi na to patrzeć. Przez jakieś pół godziny, jeśli nie dłużej. I ty mówisz, że mamy Pawła posłać do domu jak gdyby nigdy nic i udawać, że wpadł do mnie na obiadek?

– Tylko bez hysterii. – Izka wytarła ręce o ścierkę i porzuciła mycie naczyń. – Siadaj i słuchaj. Po pierwsze – uważam, że ofiarę należy chronić przed katem. Zawsze i bezwzględnie. Po drugie – popełniasz teraz przestępstwo, więc radzę ci zająć się sobą, szczególnie w twoim stanie.

Eryka spojrzała na nią pytająco. Sprawa jej niby-dziecka wielkości pomarańczy przestała się liczyć wobec kłopotów tego, które położyła w swoim łóżku.

– O ludzie. Już o tym mówią?

– Ci z waszej oazy, czy jak to nazywacie, pieją, że cud. Tym bardziej gratuluję, tylko uważaj, żeby nie obwołali cię nową matką boską. Nie bój się, przecież żartuję. Od siostry wiem, Eweliny Chojeckiej.

– To twoja siostra? – zdziwiła się Eryka.

– Cioteczna. Ale i tak dziw natury, że mamy choć w części ten sam materiał genetyczny. Mniejsza z tym, nie powinnaś wikłać się w takie problemy, będąc w ciąży.

Eryka roześmiała się nieoczekiwanie, wcisnęła się w kuchenny narożnik, stanowczo zażądała od swojego gościa kolejnego kubka czekolady, po czym zreferowała w skrócie i bez tajemnic swoje położenie. Tylko o Raju nic nie wspomniała, bo jednak była osobą słowną, i skoro umówili się z Tomaszem, że nie będzie do tego tematu wracać, zamierzała się tego trzymać. Chciwość nie była w końcu przestępstwem. Śmiała się przy tym, jakby opowiadała najlepszy dowcip, Izka rozsypała czekoladę, a Eryka rzuciła się do wycierania jej ścierką, płukała ją kilka razy, znowu ścierała i znowu przepłukiwała, aż wytrąci się z niej brązowy kolor. Zupełnie straciła kontrolę nad sobą i powtarzała tylko:

– Tak, ten cud boski ma wielkość pomarańczy i dziecka z niego nie będzie. Nie będzie. Nie będzie.

– Bardzo mi przykro – wyraziła współczucie Izka.

– Co ty tam wiesz, żyjesz jak nastolatka. Tobie ciąża nie w głowie, ja myślę o tym dniami i nocami, w dni płodne i niepłodne, kiedy się kochamy, gdy nie mam na to ochoty i kiedy mam ochotę, a męża przy mnie nie ma.

– Nie rozpędzaj się tak – upomniała ją Izka.

– Pieprzę. Dobra, przecież nie o tym miałyśmy... W ogóle nie wiem, co ja bredzę. I nawet nie mogę tego zrzucić na hormony, chyba że te, którymi niszcę torbiel. W każdym razie mamy czas, żeby się zastanowić nad Bajtakiem, przynajmniej do świąt. Do tego czasu jestem kryta.

– Eryko, kochana, mamy jakieś dwie godziny od zgłoszenia zaginięcia, kiedy do twoich drzwi zastuka policja. Zapewniam cię, że lepiej, jeśli ich ubiegniemy. To jak przesłuchujesz chłopaka na tym nagraniu... Wybacz, ale... – zawiesiła głos, szukając odpowiedniego słowa – ...po prostu to nie tak się robi. Sąd odrzuci taki dowód.

Dwa telefony wystarczyły, by do drzwi zastukał kurator. Szybko znalazł miejsce w pogotowiu opiekuńczym, w którym Paweł miał zostać do czasu, aż sąd postanowi, co dalej. Nowe regulacje prawne umożliwiały odebranie dziecka w trybie nagłym bez postanowienia sądu. Dokumenty zebrane przez terapeutę zostały z inicjatywy Izki już wcześniej przesłane do sędziego rodzinnego, który czekał tylko na sygnał pracowników społecznych, by się sprawą zająć. Eryka czuła się jak w obławie. Była naganiaczką i ofiarą jednocześnie. Wszystko działo się zbyt szybko, miała wrażenie, że nacisnęła guzik w reaktorze jądrowym i obserwuje na własne życzenie zagładę świata. Pawełek obudził się na dźwięk dzwonka, cały przylgnął do niej otulony kocem, nic nie mówiąc, dopiero gdy spytała, co się stało, odpowiedział speszony, że zsiusiał się na łóżko.

– Najważniejsze, że ubranie masz suche – pocieszyła go Eryka. – Łóżko to nic takiego. Załóż spodnie, majtki możesz schować do woreczka. – Podała mu reklamówkę. – Albo zostaw u mnie.

Kurator, dość duży mężczyzna z brodą, przypominający z wyglądu Rumcajsa, kucnął przed Pawełkiem, zaprosił chłopca gestem na swoje kolano i wyjaśnił mu, że zabierze go w miejsce, gdzie będzie mieszkał, bez mamy i taty, tylko z bratem i kilkorgiem innych dzieci.

Eryka nie mogła powstrzymać się od pytania:

– Piotrka też zabieracie?

– Już czeka na dole – spokojnym głosem odpowiedziała Izka i Erykę ponownie dopadło wrażenie, że gra w filmie, którego scenariusza nie pozwolono jej przeczytać, choć obsadzono ją w głównej roli.

Paweł chwycił Erykę za nogę i krzyczał, że chce u niej zostać. Z małego bezbronnego chłopca przemienił się w koguta, który przeczuwa, że za chwilę zetną mu łeb, ale nawet po tym barbarzyńskim akcie nie ustanie w protestach. Kiedy przykucnęła przy nim, zaczął ją bić po brzuchu i okładać rękami po głowie, prawie się nie broniła, jakby przyjmowała pokornie zasłużoną karę.

– Chcę do mamy! – wydzierał się rozpaczliwie. – Gdzie jest moja mama?!

– Będzie mogła cię odwiedzać – uspokoiła go Eryka. – Byłeś już na kolonii? Nie? To taka kolonia, dzieci mieszkają bez rodziców, a potem wracają do swoich domów.

– Jesteś głupia! – krzyczał Pawełek.

Kurator próbował delikatnym gestem odciągnąć małego od Eryki, ale ta dała mu sygnał ręką, że panuje nad sytuacją i ani ciosy dziecka, ani jego słowa nie stanowią problemu. Kiedy mały uspokoił się na tyle, że wtulił się w Erykę, ta poruszając tylko ustami, spytała:

– Może zostać u mnie?

Izka i kurator skonsternowani spojrzeli na siebie. Pytanie wydawało im się niedorzeczne, dobrze, że miała dość rozsądku, by nie wypowiadać go na głos. Izka spytała małego:

– Paweł, a powiedz, kim ty byś chciał zostać, jak będziesz duży?

Chłopiec, nie zmniejszając uścisku na szyi Eryki, odpowiedział zdecydowanie:

– Policjantem.

– Wiesz, to świetnie się składa. Chcesz się przejechać radiowozem?

Eryka przypomniała sobie, że w jednym z języków rdzennych ludów Ameryki Północnej słowo „policja” zostało przetłumaczone jako „ci, którzy odbierają dzieci”. Chłopak kiwnął głową z niedowierzaniem, że w ten pełen rozczarowań dzień miałoby się ziścić jego największe marzenie.

– To ubieraj się. Zamówiliśmy specjalnie dla ciebie.

Upewnił się przez okno, że nie kłamie, po czym ruszył do sypialni Eryki, a po chwili wybiegł w spodniach, które nałożył na gołe ciało.

– Ciocia, gdzie moje skarpety?

Wciągnął skarpety i czekał gotowy do wyjścia. Po chwili Eryka obserwowała go z okna, jak szedł za rękę z Izką, i poczuła się nieco spokojniejsza. Ustąpiły wyrzuty sumienia.

Może dlatego, że nie słyszała, jak na niezbyt stosowny żart policjanta „Dokąd ten kurs?”, mały odpowiedział po prostu: „Do domu”. I nie widziała usilnie powstrzymywanych łez w oczach prawie dorosłego Piotрка, który czekał na brata w radiowozie.

Wiedziała, że od tej chwili nic nie będzie takie jak dawniej. Wywołała wojnę, jeszcze nie będąc pewną, po której stronie chce walczyć. Czy miała grać w drużynie z Izką? Podejrzana wydawała się Eryce łatwość, z jaką koleżanka feruje wyroki. Pewność, z jaką wprowadza je w czyn. Kiedy kurator zdążył zabrać Piotra z domu? Na jakiej podstawie? Co teczka z opiniami robiła już u sędziego? Czego oczekiwano teraz od niej? Owszem, była świadoma luk systemu prawnego, ale pierwszy raz sama w taką szczelinę wpadła i nie miała jak się ruszyć ani nie wiedziała, kogo wołać o pomoc. Tomasz? Oczywisty wybór. Do niego powinna zadzwonić. Tylko od czego zacząć? Od ciąży, której nie ma? Czy od świadectwa, które tłumaczy, czemu dziecka być nie mogło. A może od dzieci? Tych, które porwała rodzicom, czy tego, które miało z jej przyzwoleniem nigdy się nie urodzić? Przez otwarte na oścież okno wpadało lodowate powietrze. Na osiedlu panowała całkowita cisza, jakby wstrzymało oddech i czekało na dalszy bieg zdarzeń. Nawet okoliczni menele, którzy cały rok, niezależnie od pogody i nalotów straży miejskiej, przesiadywali w sąsiedztwie monopolowego, też zamilkli. To był spokojny wieczór. W taki wieczór można by wyciągnąć nogi wysoko na parapet, otulić się wełnianą chustą i wypić kubek grzanego wina z goździkami. W tle brzmiałoby fado. Słuchaliby jak zwykle, na jedno ucho ze wspólnych słuchawek. Ale sytuacja była znacznie bardziej śmierdząca i nie chodziło tylko o woń amoniaku, którą wydzielał materac.

Eryka zapaliła lampkę nocną przy toalecie. Przypatrywała się sobie. Kiedyś sądziła, że jest piękna, potem uznała, że to nieważne, przypadkowe i przez to pozbawione znaczenia. Jaka w tym jej zasługa, że miała długie rude włosy, splatające się w loki nawet przy powiewie lekko wilgotnego powietrza, a pod wpływem wody skręcające się w sprężynki, których zawsze zazdrościły jej koleżanki z oklapłymi, ledwo odrosłymi od głowy fryzurkami? I jaka jej w tym zasługa, że miała oczy „zielone jak pani wiosna”, jak mawiał Tomasz, a przed nim inni, a po nim już nikt? Tylko te oczy podkreślała. Precyzyjnie, długo i z powalającym efektem. Jej „zasługą” były pierwsze zmarszczki pod nimi, bo lekceważyła sobie upływ czasu i nie interesowała się żadnymi nowinkami kosmetycznymi.

Toaletka służyła jej za biurko. Lustro zostawiła ze względu na męża, który lubił patrzeć na nią, z różnych stron, w różnych pozycjach, jej jasna skóra w lustrzanym odbiciu wydawała się zwykle jeszcze bledsza. Ale nie dziś. Twarz Eryki oblał rumieniec, a na szyi widoczne były siniaki, ślady Pawełkowych uścisków. Nie miała ani korektora, ani pudru, ani resztek podkładu, żeby je zamaskować. Sięgnęła więc po pierwszą z brzegu apaszkę. Zaraz potem odwiązała ją i skierowała światło na swoją twarz. Od dawna tak się sobie nie przyglądała, i osoba w lustrze wydała jej się kimś obcym. Zaszczutym zwierzęciem, które przed myśliwym ocaliły wnyki kłusownika.

ROZDZIAŁ 20

Aśka odebrała bardzo szybko.

- Jesteś gdzieś tutaj? – spytała Erykę.
- Gdzie miałabym być?
- No, tutaj, na Jagodowej. Ci Bajtakowie to nie z twojej szkoły?
- Paweł i Piotrek. Co z nimi? – dopytywała Eryka.
- Są w domu dziecka.
- W pogotowiu opiekuńczym – poprawiła ją Eryka.
- To jednak wiesz.
- Na Jagodowej jest pogotowie opiekuńcze, nie dom dziecka. Co tam się dzieje?
- Nie wiem, teściowej szukam, dzieciaki miała przypilnować, a przywiało ją tu na demonstrację, stara wariatka. Zlazło się chyba z pół Warszawy. Twoje klimaty. A co się stało? – zaniepokoiła się Aśka. – Z czym dzwonicz?
- Chciałam podziękować za pomoc i prosić o dyskrecję. Strasznie się wszystko pokomplikowało. Nie zdziw się, jak usłyszysz, że jednak jestem w ciąży.
- Przecież nie jesteś?

Aśkę zagłuszył hałas w tle. Do uszu Eryki dochodziły krzyki: „Dzieci nie dla pedalstwa, tylko dla rodzin! Złodzieje dzieci! Stop handlowi dziećmi!”.

Znowu poczuła, że opowiedziała się po niewłaściwej stronie, ale było już za późno. Nawet gdyby poszła z transparentem z podobnym napisem, posłużyłby on jej co najwyżej za całun.

– Halo! Słyszysz mnie? Ludzie, co za wariatkowo! – darła się Aśka. – Mnie już nic nie zdziwi, kochana, szczególnie w tych sprawach.

Erykę paliły policzki. Wstydziła się przyznać najlepszej przyjaciółce, że miała z zatrzymaniem dzieci cokolwiek wspólnego. Na szczęście nie dało się dłużej rozmawiać w takim hałasie. Nic dziwnego, że Izka nie słyszała telefonu. Eryka chciała spytać ją ponownie o rodzinę chłopców. Musieli mieć jakichś krewnych, siostra przecież przeniosła się do babci. Dziwiła się, że nie skontaktowali się z nią ani Bajtakowie, ani Tomasz, ani inni członkowie wspólnoty. Czyżby chcieli oszczędzić stresu ciężarnej? Możliwe, choć z tyłu głowy Eryki tliło się podejrzenie, że już wiedzą, kto zadzwonił po policję. Graniczące z pewnością, że dowiedzą się od chłopców najpóźniej jutro. I wtedy skończy się świat, jaki zna. Poczowała, jak sztywnieje jej kark, jakby w szyję wlał cały jej stres. Próbowowała spać. Wyśnić przyszłość bezpieczną i jasną, ale fotel ją uwierał, a zmoczone łóżko jak wyrzut sumienia przypominało, że niedawno spało w nim bezbronne dziecko. Wybrała numer Tomasza, choć wiedziała, że nie odważy się mu wyznać, do czego doprowadziła.

– Nie mam podłączonego zestawu – ostrzegł ją na wstępie. To znaczyło, że może przerwać rozmowę w każdej chwili na widok patrolu policji. – Jak się czujesz?

– W porządku. A dokąd jedziesz? – zdziwiła się Eryka.

– Do domu wracam – zaśmiał się.

– A może przyjadę do ciebie? – wyrwało się Eryce. – No wiesz, szum fal. Morze. Złapię trochę jodu.

– Następnym razem, kochanie. Dojeżdżam już.

– Słuchasz radia? – badała zaniepokojona, czy już wie.

– Nie, fado. A ty co robisz?

– Nic. Czekam na ciebie. Mam syndrom odstawienia. Nie mogę się skupić.

– Czekajcie, czekajcie. Kargulenę wam wiozę wędzoną. Możesz w cięży wędzone, prawda? – spytał stroskany.

– Nie wiem.

Chociaż wiedziała. Wędzone wzbronione. Czego jeszcze będzie sobie musiała odmówić, grając w tej farsie? Przykryła wilgotny jeszcze materac świeżym prześcieradłem, ugniotła je przedtem, by sprawiało wrażenie używanego, usiadła po turecku na łóżku i odmówiła różaniec za bezpieczną podróż Tomasza do domu. Intencja nie miała zresztą znaczenia, chodziło o to, by zająć czymś umysł i ręce. Klepanie zdrowasiek wprowadziło ją w przyjemny trans, z którego wyrwała ją wiadomość od Izki: „Udawaj ciążę. B. grozi skandalem. Chłopcy czują się dobrze”. Eryka włożyła płaszcz, ale po chwili zmieniła go na dawno nieużywaną kurtkę, naciągnęła na oczy czapkę z daszkiem, wyjęła z wiklinowego koszyczka pięćdziesiąt złotych i po kwadransie cichaczem wsiadała do taksówki.

Kamienica, przed którą zatrzymał się samochód, nie była szczególnie atrakcyjna, ale i tak wyróżniała się na tle grochowskiej zabudowy dobrze zachowaną fasadą. Okolice placu Szembeka bardzo się zmieniły w ciągu ostatnich kilku lat. Nowa nawierzchnia, oświetlenie, ławki sprawiły, że ludzie zamiast przemykać w cieniu budynków, śmiało kroczyli środkiem placu. Przyczała się w bramie i jeszcze raz rozwinęła świstek papieru, na którym zanotowała adres. Parter. Mieszkania na parterze są wygodniejsze dla starszych. Weszła do klatki, niezabezpieczonej domofonem, a tylko zdezelowaną i hałaśliwą bramą, której – aż dziwne – nikt jeszcze nie rozebrał na złom. Numer trzy to powinny być czwarte i piąte okno tuż przy chodniku. Wyszła jeszcze raz na ulicę i wpatrywała się w okna. Nie zdołała nic dostrzec przynajmniej z dwóch powodów: po pierwsze, oba okna były kompletnie zaparowane, po drugie zaś – ktoś wyjątkowo troskliwie zadbał o to, by ochronić je przed wścibskim spojrzeniem przechodniów. Nie dość, że częściowo przesłaniały je zazdrostki, to jeszcze dodatkowo zabezpieczone zostały ciężkimi storami, zaciemniającymi niktłe światło dochodzące z pomieszczenia.

Eryka zdawała sobie sprawę, że przesadne zaangażowanie raczej nie jest rozsądne, ale pchała ją niewidzialna siła, której nie mogła stawić oporu. Raz kozie śmierć, pomyślała. Rozliczyła się z taksówkarzem za kurs i próbując szybkim krokiem zamaskować swoją niepewność, skierowała się ku drzwiom. Wcale jej nie zdziwiło, że ktoś tak pieczołowicie zasłaniający się przed światem od strony okna nie rzucił się natychmiast do otwierania drzwi. Nie zamierzała jednak odpuszczać i po kilkukrotnym naciśnięciu dzwonka uderzyła

w drzwi z całą siłą. Dopiero wtedy poczuła się obserwowana przez wizjer. I to niejeden. Swoim bezczelnym zachowaniem zwabiła do drzwi sąsiadów, co spowodowało, że z lokalu numer trzy wychyliła się dziewczęca głowa z pytaniem:

– Siku się pani chce, czy co? Czego tak wali?

– Weronika Bajtak? – Eryka odetchnęła z ulgą.

– Proszę wejść – padło niepewne zaproszenie, a potem głośnie trzaśnięcie drzwiami, wysłany sąsiadom sygnał, że to już koniec przedstawienia.

Przez wąski przedpokój przeszły do sporego pomieszczenia, przedzielonego regałem z książkami. Zapewne za nim urządzone część sypialną. Z pokoju prowadziło przejście do kuchni, skąd dochodził zapach gotowanej kapusty. Mieszkanie sprawiało wrażenie odremontowanego niskim kosztem. Na podłodze rozłożono dywan w orientalne wzory. Całość urządzono w stylu eklektycznym, rzec by można międzypokoleniowym, widać w tym było rękę przywiązaną do dawnych sprzętów babci i dążącą do nowoczesności wnuczki.

Eryka postanowiła przejść od razu do sedna:

– Nazywam się Papicka. Pamięta mnie pani? Pomagałam pani przewieźć książki.

– Wiem, wiem. Trudno panią zapomnieć. Ojciec straszy matkę, że jak nie będzie jeść, będzie chuda jak ta ruda wiedźma.

– Pani ojciec ma specyficzne poczucie humoru.

– On wcale nie żartował. Chodźmy do kuchni, może to mało eleganckie, ale przynajmniej tam jest nieco cieplej. Wyłączę kapustę.

W milczeniu nastawiła czajnik. Eryka patrzyła z podziwem, jak z tej drobnej, wiotkiej istoty emanuje siła. Mocno stawiała kroki, jakby każdego była po stokroć pewna, jakby czuła się tu, w tym niezbyt gustownym wnętrzu, panią na włościach. Coś, czego tak rzadko miała okazję doświadczyć Eryka.

– Czy to oni panią przysłali? Moi starzy? – spytała Weronika. Wystarczyła jedna wzmianka o rodzicach, by zmieniała się na powrót w dziewczynkę, podobną do tych, z jakimi Eryka miała codziennie do czynienia w szkole.

– Nie, sama przysłałam. W sprawie pani braci.

– Weronika jestem. – Wyciągnęła rękę.

Eryka uśmiechnęła się pobłaźliwie. To rzeczywiście jeszcze typ nastoletniej buntowniczkii. Uścisnęła jej zimną dłoń i przedstawiła się ponownie samym imieniem.

– Śmieszne imię. Słodzisz?

– Łyzeczkę. A imię jak imię, przywykłam.

– Pij szybko, bo zaraz wystygnie. Najlepiej, gdybyś się streściła. Zaraz muszę wyjść.

Eryka czuła, że wieje od podłogi. Podkurczyła nogi i usadowiła się po turecku na krześle. Opowiedziała Weronice, co zaszło, i przeszła do pytania, które dławilo ją w gardle.

– Więc co mam robić? Czy te oskarżenia są prawdziwe?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Czekalaś, aż ktoś ci pomoże? No wiesz, kiedy jeszcze byłaś dzieckiem.

– Nie byłam taka głupia. Sama sobie zafundowałam kurację. Jeden liść sałaty, jedna rzodkiewka, sucharek i nieograniczona ilość wody. Dzień po dniu. Pozwoliły mi zachować kontrolę nad moim życiem, zając myśli. Czymś innym niż ich sprawy. – Przerwała na

chwilę. – To przez ciebie wyładowali w tym domu opieki?

– Poniekąd.

– To poniekąd zrobiłaś dobry uczynek. A ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Idź już.

– Chcesz, żeby tam zostali?

– Ze mnie by była kiepska matka. Na śniadanie sałata, na obiad zupa jogurtowa, ewentualnie kapuśniak na samej wodzie. W nocy w knajpie, gdzie pracuję, sobie odbijam. Żrę, aż do zarzygania, ale nie rzygam. Co to, to nie. Za dobre. Zębów na noc nie umyję czasem, żeby się tego smaku nie pozbyć. Ktoś się nimi zajmie. Ktoś inny.

– A babcia? – drążyła Eryka.

Weronika Bajtak poprowadziła ją za regał z książkami. Pół ściany przykrywał grzyb, na widok którego Eryka zasłoniła usta szalikiem.

– Tak babcię wykończyli na zapalenie płuc. Powolną miała śmierć. Ja się nie dam. Będę wpierdalać ten makaron starym na złość. I co roku psuć im samopoczucie w Święto Zmarłych. Gdzie dokładnie są chłopaki?

– Jagodowa piętnaście.

Kiwnęła głową w podzięcie i podała Eryce kurtkę.

– Wpadnę do nich może, ale nic więcej zrobić nie mogę.

Całą trasę z Grochowa do Marysina przeszła pieszo. Szmata drogi, ale potrzebowała ruchu i tlenu. Dużo ruchu na świeżym powietrzu i może rozchodzi to napięcie w karku. W mieszkaniu, z którego wyszła, śmierdziało grzybem i śmiercią. Ten zapach niosła przez pół miasta, a potem usiadła na ławce przed blokiem, czekając, aż się ulotni jak tania podróbka perfum. Na parking zajechał Tomasz i ucieszył się na widok żony.

– Widzę, że się doczekać nie mogłaś? – Zrzucił plecak i wziął Erykę pod ramię, prowadząc ku drzwiom.

– Chyba nie chcę wracać do domu. – Zatrzymała się przed klatką.

– Dlaczego? Znowu mamy mysz? – zażartował, nawiązując do sytuacji, gdy pewien samotny weekend Eryka spędziła prawie cały w sypialni, z obawy przed myszą, która spokojnie stygła w pułapce.

– Głowa mnie boli. Tu. – Położyła sobie jego rękę pod włosami.

– To szyja chyba.

– Pomasuj.

Tomasz zastanowił się chwilę. To najwyraźniej kolejna porcja ciężowych zachcianek i doprawdy nie wiedział, jak ma się do nich odnieść, by żony nie urazić. Ciężył mu plecak, wypchany poziomcami i innym oprzyrządowaniem murarskim, które na prośbę Bajtaka przywiózł.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie marzę o niczym innym, tylko o wannie. I o łóżku. Jeśli chcesz, możesz tu zostać, jesteś przecież dorosła. – Nie udało mu się ukryć w głosie pretensji.

Eryka bez dalszych protestów ruszyła ku wejściu. Tomasz przytrzymał jej drzwi i zapalił światło na klatce. O ile lepiej wyglądał ich zupełnie przeciętny blok od kamienicy, w której próbowała ułożyć sobie życie Weronika. Kiedy weszli do środka, od razu zatrzasnął otwarte na oścież okno w sypialni.

– Tak ci ciepło? Masz za swoje, pewnie cię przewiało i teraz cierpisz. – Przejechał ręką po jej szczupłym brzuchu. – Czy nasz syn się tutaj zmieści?

Zagryzła wargi.

– Coś nie tak z dzieckiem?

– Znalazł się Pawełek Bajtaków. Zabrała go od nas policja.

– Jest w domu?

– Oni ci nie powiedzieli? Jest gorzej, niż myślałam. Z tobą też nie chcą rozmawiać.

Tomasz zamknął się w łazience, skąd nie dochodził żaden odgłos. Prawdopodobnie leżał w wannie, lecz po godzinie Eryka się wystraszyła, że ze zmęczenia usnął, i delikatnie zapukała do drzwi. Nie przyniosło to żadnego skutku. Zapukała ponownie, a potem nacisnęła klamkę. Tomasz siedział w zimnej wodzie i nie patrzył w jej stronę.

– Przepraszam. – Speszyła się, widząc go nagiego. Rzadko mu się przyglądała, podczas gdy on lustrował ją wzrokiem przy każdej możliwej okazji. Ale nie teraz.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś. To przecież bez sensu.

Znała ten ton. Zaraz wyzna jej winy. Jej winy. Nie inaczej. Nie wiedziała, co mu odpowie, więc na wszelki wypadek nie zamierzała tego słuchać. Odwróciła się w kierunku wyjścia. Chwycił ją mocno za nadgarstek. Woda prysnęła na podłogę, ale Eryka nie miała szansy ruszyć się, by ją wytrzeć.

– Zobacz. – Wskazał nagiego penisa, który samoistnie wyprostował się ku sufitowi. – Zobacz, jak na mnie działasz.

Nie wiedziała, czego od niej oczekuje.

– Cholera jasna, wyjdź, proszę – powiedział zawstydzony.

Chwilę trwało, zanim drzwi otwarły się ponownie. Eryka zaparzyła herbatę ziołową w imbryku. Nie unikną rozmowy. Za mocno są ze sobą zrośnięci. Ich oczy, ich uszy, ich usta są za blisko siebie, by mogły pominąć to, co widzą, słyszą i mówią. Postawiła na stole kuchennym czajniczek i dwie filiżanki.

– Jesteś głodny?! – krzyknęła w stronę łazienki.

– A co jest?

Odetchnęła z ulgą. Pohamował się. Spuścił z siebie napięcie. Znowu poddał kontroli i ciało, i głos.

– Placki ziemniaczane.

– Zaraz przyjdę.

Dobrze wiedziała, że lubi mocno usmażone, prawie spalone, w kuchni unosił się dym, ale nie otworzyła okna. Nie chodziło o to, że mógłby się przeziębic. Raczej o to, że gotów się całkiem rozchorować. A wtedy spędzaliby ze sobą całe dni, zamknięci w ich blokowej klatce. Konsekwencji tak bliskiego kontaktu w obecnych okolicznościach wolała nawet nie rozważać. I tak będzie jej duszno. Nawet maska tlenowa nie zdołałaby zlikwidować tego uczucia ścisku w gardle. Usiadł na niej jej anioł stróż. Żeby ją objąć. Albo udusić. Nowa żeliwna patelnia była bardzo ciężka. Eryka pomyślała, że w jej otoczeniu im trudniejsze pokona się przeszkody, tym więcej otrzymuje się za nie pochwał. Jakby to wysiłek się liczył, a nie efekt. Pewnie dlatego, że zawsze decydowała siłą wyższą, której postanowienia przyjmować należy z pokorą. Tylko Eryka ciągle dążyła do niezależności,

choć ją przestrzegali, że to podszepty kusego. A ją cieszyła alternatywa na miarę jej małżeństwa, że może te placki spalić na popiół, wtedy Tomasz może je zjeść lub nie. W ostatniej chwili zdjęła je z patelni, kończąc ryzykowny eksperyment.

Tomasz wszedł do kuchni odświeżony i pachnący ulubioną wodą toaletową. Po co? Zaraz włosy i skóra, i ubranie przejdą mu smrodem smażonego oleju. Tymczasem zbliżył się do niej, kiedy wylewała ciasto na kolejne porcje, i powiedział:

- Przepraszam.
- Ja też.
- Za co? – szczerze się zdziwił.
- Nie mogę teraz, no wiesz...
- Daj spokój, nie jesteśmy zwierzętami. Porozmawiajmy najpierw.

Najpierw, pomyślała Eryka, a potem co? A potem jakby nigdy nic... Nie odsunęła się od Tomasza, ale odstawiła miskę z ciastem nieco zbyt zamaszystym ruchem, tak że sam zwolnił uścisk na jej biodrach i siadł do stołu.

- Dawno nie jedliśmy placków.
- Pawełek chciał. On mnie zaskoczył, rozumiesz, to stało się samo.

Opowiedziała mu po kolei, co zaszło. Wreszcie wyjęła telefon i odtworzyła nagranie rozmowy z chłopcem. Wysłuchał, coraz szerzej się uśmiechając.

– Co to jest? – parsknął. – Dzieciak nawija jak pogięty. Widziałaś tego węża. Przecież on nie dałby rady połknąć kota. Pokaż.

Podła mu telefon, sądząc, że chce odsłuchać ponownie relację dziecka.

- Gdzie to było? Nie mogę znaleźć – powiedział po chwili.

Eryka sprawdziła listę nagrań. Ostatniego zabrakło. Wzięła komórkę i zanim pojęła, co się stało, spojrzała na Tomasza zaskoczona.

- Nic tam nie ma. I nigdy nie było – odezwał się lodowatym głosem.

ROZDZIAŁ 21

Minęła północ. Dzień, w którym świat stanął na głowie, zakończył się wreszcie. Eryce się zdawało, że na skutek jakiegoś psikusa to ona wszystko widzi do góry nogami. Tomasz nie odstępował jej na krok niczym strażnik, dbając, by nie popełniła kolejnych głupstw. To z tego powodu siedzieli w samochodzie zaparkowanym centralnie przed pogotowiem opiekuńczym. W budynku wszystkie światła, poza tymi w dyżurce, były zgaszone. Tomasz nie wiedział, że Eryka zna ten budynek od środka. Kiedyś ktoś ze wspólnoty zasugerował im, czy nie mogliby zostać rodziną zastępczą, skoro adopcja to zbyt wiele. Musiał to być ktoś, kto nie rozumiał, że nawet adopcja to zbyt mało. Jaki był sens w tym wpatrywaniu się w ciemne okna? Eryka nie rozumiała, czemu tak jej zależało, by na Jagodową przyjechać, ale wiedziała, że nie może być nigdzie indziej. Myślała o Weronice, Izce, o tym sędzi, czy może tej sędzi, nawet nie wiedziała, który będzie rozpatrywał tę sprawę, o młodych policjantach i kuratorze. Czy wszyscy oni spali spokojnie? Nagle jej wzrok przykuł zaparkowany po drugiej stronie ulicy znajomy samochód. W środku siedzieli Elżbieta i Wojciech Bajtakowie i tak samo jak oni bezskutecznie próbowali niemożliwego – w ciemności okna dostrzec choć przelotnie cień.

– Jedźmy. – Eryka opuściła głowę i ukryła twarz w burzy włosów. Przetarła zaparowane od wewnątrz szyby. – Jedźmy. Nic tu po nas.

Odpaliła silnik, wyjątkowo to ona kierowała. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że Bajtakowie ruszyli za nimi. Czego chcieli? Co miała im do powiedzenia? Zaparkowała przy wjeździe na jakieś podwórko i poczekała, aż ich miną.

– Nie chcesz z nimi porozmawiać?

– Nie sądzę, żeby oni chcieli. Ja mogłabym po prostu usnąć. A potem obudzić się w innym, prostszym życiu.

Tomasz westchnął tylko, widząc, jak jest wykończona. W takim stanie nie mógł czynić jej wymówek, choć jego milczenie było wymowne.

Gdy tylko otworzyła oczy, Tomasz zamknął laptopa. Obróciła się do niego plecami i próbowała ponownie zasnąć. Bezskutecznie. Mięśnie trzymała napięte, twarde i bolesne. Prosta wizja świata, w której dobrem jest odebranie złym rodzicom dzieci, mocno się skomplikowała. Miała to wszystko wyjaśnić z Bajtakami, liczyła na to, że oskarżenia okażą się nieprawdą, a im więcej faktów je potwierdzało, tym większe stawiała sobie wyzwanie. Naprawić. Zacerować. Zreperować. Wyzwanie, któremu usiłowała podołać. Aż poniosła fiasko, stając się na dodatek twarzą tej porażki.

– Co tam słychać? Już wiedzą? – jęknęła.

– Co wiedzą?

Eryka uśmiechnęła się mimo woli. Ciekawe, że spytał „co”, a nie – „kto”.

– Że to ja za tym stoję.

– Nie wiem, mnie interesuje, jak stoją waluty.

– I jak? Czy nasz dług dalej jest większy niż sześć lat temu?

– Przy tym kursie franka tak.

– Słuchaj – obróciła się do Tomasza – a gdybyśmy tak stąd wyjechali do Szwajcarii. Zarabiali normalnie. Niech się nam na coś przyda ten francuski dyplom.

– Tu mamy szansę normalnie zarobić. Przynajmniej mieliśmy.

– Przestań się dąsać. Jestem w czarnej dupie, na dodatek nie mogę ruszyć głową. Tkwię tu jak w izolatce, a ty byś najchętniej trzymał mnie pod kluczem. Nawet nie wiem, co słychać u chłopców. To boli. Nie pomyślałeś o tym?

– Nie. Nie jestem kobietą. Myślę praktycznie. Ty tworzysz problemy, ja je rozwiązuję. Nic już nie rób, dobrze? Załatwię to z Wojtkiem, z sądem poradzi sobie sam, ma dojścia. Zresztą to jakaś wyszana z palca historia z tym pytonem.

– Tomek, nie o pytona tu chodzi.

– No to o kota – prychnął.

– Mieliśmy układ, pamiętasz?

– Jaki znowu układ? Nie ma już twoje czy moje. Twój brzuch nie należy do ciebie.

Eryka przełknęła ślinę i przypomniała sobie o ciąży. Te wszystkie rozmowy o dziecku, płacz nad pierwszymi kroplami krwi, nagabywania o zrobienie badań. Czy może się dziwić, że zataił tę chemię? Niewypowiedziane pretensje, tłumione żale, nadzieje nie do powstrzymania. Zarzucała mu obojętność. A teraz on cieszy się tak głośno, jak niedługo głośno będzie rozpaczał. Kiedy mu powie, że to tylko torbiel. Jeśli mu powie.

– Przytulisz mnie? – spytała.

Położył się koło niej, ale zamiast oprzeć mu głowę na ramieniu, Eryka głęboko wcisnęła ją w poduszkę, czując coraz dotkliwszy ból. Nie mogłaby spojrzeć mu w oczy. Tomasz pogłaskał ją po głowie i powiedział cicho:

– Mógłbym stracić wszystko, tylko nie was. – A po chwili, jakby mu się przypomniało, dodał: – Jakies USG nas chyba czeka?

Trzeci dzień zwolnienia spędziła pracowicie, byle nie myśleć. Umyła okna. Drzwi. Wejściowe też. Futryny. Odkurzyła regały z książkami. Wyjątkowo nic nie wyrzuciła, a segregator z wycinkami dotyczącymi Raju obojętnie objęła wzrokiem. Chciała wytrzepać dywany, ale ktoś z sąsiadów mógłby wspomnieć o tym Tomaszowi, który nie byłby zadowolony, że tak męczy ich dziecko. Po wszystkim usiadła w fotelu z filiżanką kawy i pożałowała, że zbyt łatwo się zgodziła, by Tomasz wywiózł ekspres do biura. Po kawie z dyskontu szybko dostała piekącej zgagi. Wypiła szklanekę mleka, zagryzła migdałami i przez chwilę, kiedy znowu dopadły ją mdłości, uwierzyła w kłamstwo o ciąży. Nie na długo. Na wkładce higienicznej zauważyła brązowe plamy i pomyślała, że chyba zaczynają działać tabletki, które przepisał jej doktor Kotkowski w szpitalu, bo krwawienie takie dziwne, ani miesięczne, ani owulacyjne.

ROZDZIAŁ 22

Telefon jak na poprzedzające go trzy dni pełne wrażeń i noc pełną koszmarów zadzwonił zdecydowanie zbyt wcześnie. Nie zapowiadało to niczego dobrego, choć parę minut po ósmej to odpowiednia pora, by dyrektorka szkoły mogła zdyscyplinować nieobecną pracownicę.

– Kto to widział, żebym o takich sprawach dowiadywała się z mediów! – darła się kostyczna, jadowita w swojej słodyczy, ale zazwyczaj trzymająca kontrolę nad emocjami Malwina Kicińska. – Chcę cię natychmiast widzieć w szkole. To zaszło za daleko.

– Jestem chora.

– Daj spokój, ciąża to nie choroba. Nawet cudowna ciąża to żadna choroba.

Na linii zapanowała cisza, a potem rozległ się chichot.

– To Marysin, dziecinko, nie Paryż. Tu nie ma tajemnic, żadna diagnoza lekarska, żadna ekspertyza psychologiczna ani nawet spowiedź nie są tu poufne. Wyskakuj z łóżeczka i za chwilę widzę cię u mnie.

– Albo...? – zaryzykowała Eryka. Wystarczy, że matka ją terroryzuje, dlaczego miałyby zezwalać na to obcej babie?

– Albo ja wybiorę się do ciebie. Z asystą ZUS-u.

Eryka pomyślała o donośnym głosie przełożonej, usłyszała, jak roznosi się echem po całym bloku, aż po krańce osiedla.

Godzinę później wyszła z autobusu opatulona w strój maskujący. Nie był to zbyt udany zabieg. Nawet nie wiedziała, jak bardzo przyciągają wzrok jej szybki chód, spłoszone spojrzenie i zgarbione plecy. Na szczęście trwała lekcja i na dziedzińcu szkolnym zastała tylko pana Stanisława, który zamiatał podwórze.

– Wiosny nie widać, prawda? – Zmusiła się do uśmiechu. Tak została wychowana. Ma być grzeczna. Łagodna. Uprzejma. Troskliwa. Nawet wtedy, gdy sama o wiele bardziej wymaga łagodności, uprzejmości i troski.

– Dobrze się pani czuje? Coś marnie pani wygląda.

– Dziękuję, niedługo wracam do pracy.

– Niedługo?! Czterdzieści tygodni albo i dziewięć miesięcy. – Zaśmiał się chytrze woźny, jakby chciał udowodnić, że nic przed nim się nie ukryje.

Eryka spuściła wzrok. Tego nie przewidziała. Udawało jej się skrzętnie ukrywać niepłodność, na krótko stała się tematem rozmów i to w bardzo wąskim gronie. Ale radosna nowina o ciąży, w której nie była, rozeszła się w błyskawicznym tempie. Może więc tylko wydawało jej się, że zaledwie niewielu podejrzewa, jak bardzo pragnie dziecka.

– Przynajmniej jedno tylko – niezrażony ciągnął pan Stanisław. – Nie jak u tej naszej

Poziomki, żeby pani widziała, jak te kociaki żyć jej nie dają. Tak podrosły, a dalej za nią biegają. Wszystkie cztery. Żaden nie odpuszcza.

Eryka ożywiła się na te słowa i – choć jeszcze przed chwilą wcale nie zamierzała kontynuować rozmowy – dopytała:

– Cztery? To Paweł Bajtak nie wziął jednego?

– Wziął, owszem, wziął. Tyle że potem się nasłuchałem łaciny, kiedy go ojciec z powrotem przyniósł. Co za furiat, kochana pani. – Ściszył głos. – Nie radzę wchodzić mu w drogę. Ja to się wcale nie dziwię, że mu synów zabrali, tylko mnie nikt o zdanie nie pyta.

Eryka stała przed gabinetem dyrektorki i nie miała odwagi zapukać. W końcu drzwi otwały się same. Wahala się, czy je niezauważenie zamknąć, czy skorzystać z tego zaproszenia i jednak wejść do środka. Jaką historię miała właściwie do opowiedzenia? Czy aby nie o tym, jak dała się nabrać dziecku? Kiedy przypomniała sobie minę Tomasza odsłuchującego nagranie z telefonu, znowu zwątpiła, czy sześciolatek może tak przekonująco zmyślać.

– Co się tak pani czai, Eryko? Wejdz, kochanie, widziałam cię przez okno – usłyszała głos dyrektorki. – Nie bój się, już mi przeszło. Rozbieraj się. Wyglądasz jak siedem nieszczęść.

Eryka skorzystała z wieszaka i żałowała, że tak się pospieszyła. Źle się prezentowała i jeszcze gorzej się czuła w wydaniu *out-of-bed*. Tajemnica jej pewności siebie kryła się w równo zarysowanych kreskach na oczach, dokładnie wytuszowanych długich i kręconych rzęsach, cieniach, które zazwyczaj nakładała w dwóch uzupełniających się kolorach. Mogła zrezygnować z podkładu, tak nieskazitelną miała cerę. Latem jedynie maskowała piegi, które wiosną pod wpływem słońca rozkwitały jak pąki na drzewach, by w sezonie rozlać się jak ospa po twarzy. Nie korzystała też z różu, policzki miała zwykle rumiane. Lecz teraz, pomimo podenerwowania, siedziała blada i zgaszona.

– Boże drogi! – westchnęła przerażona Kicińska. – A to dopiero początek! Potem czekają cię lata użerania się z dzieckiem.

– Pani dyrektor, skąd te plotki, że jestem w ciąży?

– Zwolnienie przecież widziałam. Jest kod z dwójką. Zdziwiłam się już ostatnim razem, coś przeczuwałam, tyle lat pracy z kobietami nauczyło mnie podejrzliwości. Dopiero co Kwiatkowska zaciążyła i na gwałt muszę szukać anglistki. A teraz ty. Nieszczęścia chodzą parami.

A to dewotka Hermanowa się pospieszyła! Całą drogę Eryka zgadywała, skąd dyrektorka mogła pozyskać takie informacje, i teraz jej ulżyło, że macki jej wspólnoty nie sięgają aż tak daleko. Owszem, rozeszło się, że jest w ciąży. I ta myśl ją sparaliżowała. Okłamywać męża czy Bajtaków to jedno, ale całej dzielnicy oszukać się nie da.

– Już mnie pan Stanisław zaskoczył, ale zaczynam rozumieć. Lekarka się musiała pomylić. Zwykły lekarski błąd.

– Jaki znów błąd? – Dyrektorka się zdenerwowała.

– Nie jestem w ciąży – wyznała Eryka i nagle się rozpłakała.

Malwina Kicińska zazwyczaj była nieczuła na sceny z użyciem łez. Cierpliwie czekała, aż pracownice same odkryją, że jej pokój to nie gabinet psychoterapeutki, mimo że stoi

w nim kozetka, ani konfesjonał, chociaż wisi w nim krzyż. Jej wyniosłe milczenie sprawiało, że szybko dochodziły do siebie i jeszcze szybciej opuszczały pomieszczenie, upokorzone i nauczone, że sprawy intymne należy załatwiać poza szkołą. Sytuacja Eryki jednak zbyt przypominała Kicińskiej jej własną z początku małżeństwa, by miała zastosować sprawdzoną taktykę dyscyplinowania nauczycielek chłodem.

– Słonko, tak ci współczuję. – Położyła jej rękę na plecach. – Wiem, przez co przechodzisz. Strasznie mi przykro.

Dyrektorka myliła się w interpretacji, ale nie miało to dla Eryki znaczenia. Już dawno nie usłyszała od nikogo tak prostych słów pocieszenia. Nie dopuściła do swojego cierpienia ani Aśki, ani Tomasza, dlatego zamiast tłumić łzy, pozwoliła sobie rozkleić się kompletnie, nie bacząc na okoliczności.

Zadzwoił jednak dzwonek na przerwę i w Kicińską znowu wstąpił duch strażniczki szkolnego porządku. Odliczyła do dziesięciu i spytała doskonale znanym Eryce tonem:

– Już?

Na to pytanie była tylko jedna odpowiedź i choć Eryce wydobyć głosu wciąż przychodziło z trudem, skinęła głową.

Malwina Kicińska przeszła do rzeczy. Nie starała się być nawet szczególnie delikatna, co pracownica przyjęła z wdzięcznością. Spodziewała się wyrzutów. Pretensji. I owszem, dyrektorka wypunktowała, dlaczego sprawa „jej uczniów” nie została przeprowadzona należycie. Jeśli istniały tak mocne podejrzenia wobec rodziców Pawła i Piotra, pedagog powinna była już wcześniej dążyć do odseparowania dzieci. Mimo wczesnej pory, z samego rana udało im się złapać Izkę Kostecką, która przedstawiła stanowisko interdyscyplinarnego zespołu. W tym – co dyrektorka przyjęła za rzecz oczywistą, a czego Eryka nie śmiała kwestionować – ich stanowisko.

– Czy ty wiesz, kochana, co to by było, gdybym dała mu się kupić? – lamentowała Kicińska. – To boisko od początku wydało mi się podejrzane. Myślałam, że to z powodu wybryków Piotra, a tu się okazuje, że rodzinka nie taka święta.

Eryka chciała wspomnieć o kocie, ale dyrektorka nie dała jej dojść do słowa i od razu zastrzegła, że nic przeciw świętej rodzinie nie ma, a już na pewno nie „w adwencie”. Potem dodała:

– Sprawa jest jednoznaczna. Ale te media mnie niepokoją. Nie słuchałaś radia?

– Jakiego radia?

– W drodze do szkoły wskoczyła mi jakaś religijna stacja, wiecznie mi się wcina. I słyszę nagle, ni stąd, ni zowąd, że szkoła zabrała dzieci do domu opieki. Szkoła. Rozumiesz? Przecież ta szkoła to ja, a ja sobie nie życzę, żeby sobie mną publicznie wycierali gębę.

– Na razie to chyba wycierają sobie gębę mną – ostro zareagowała Eryka. – A skąd media? Nie wiem, pewnie po znajomości.

– To prawda, że w czwartek mają podjąć decyzję, czy dzieci spędzą święta w tym domu opieki? Domu dziecka – szybko się poprawiła.

– Pogotowiu opiekuńczym.

– No właśnie – skomentowała z wyrzutem Kicińska. – Schowałaś się na tym zwolnieniu i nic mi nie mówisz. A teraz nie wiadomo, co dalej. Przesłuchają rodziców. Ciebie też

będą maglować – dodała już spokojniej dyrektorka.

– Mnie?

– Mówili w tym programie, że szkoła dostarczy ekspertyzę. Dokumenty. No to chyba nie mnie!

– A tajemnica zawodowa?

– Tajemnica tajemnicą, po co to przedłużać. Przedstaw mocne dowody. Żeby ta mafia, ci krzykacze nie zepsuli nam opinii. Najlepiej, żebyś zajęła się tym od razu.

Eryka doskonale zrozumiała prośbę dyrektorki. Nie dowierzała jednak własnym uszom.

– No wiesz, kochana, skoro nas oskarżyli, musimy się oczyścić. Proszę, kalendarz. – Dyrektorka wyjęła z szuflady notes większego formatu niż ten kieszonkowy, w którym pedagog hasłowo zapisywała daty i inicjały. – Wystarczy przy każdym spotkaniu z Bajtakami, nawet prywatnym, albo w szkole z dziećmi, dopisać parę zdań, jakie dysfunkcje zauważyłaś. Będzie dowód.

Eryka pomyślała, że to tylko trzy miesiące. Wcale nie tak dużo pracy.

– Sąd może też poprosić o twoje osobiste notatki. Dzieciak wybrał ciebie nie bez powodu. Jaki to powód, do końca nie wiem. Ty masz znać odpowiedź na to pytanie, ale lepiej niech cię ta odpowiedź nie obciąża. Ani ciebie, ani mnie. I koniecznie wpisz gdzieś tam, że chłopcy rzucali asfaltem z boiska; albo nie, bo ktoś nam zarzuci, że teren niezabezpieczony. Zaznacz, że koty męczyli.

– Piotrek?

– Obaj. Kamieniami w koty rzucali. Jak ten duży zaczął krążyć, to ten mały nie mógł zdążyć i tak dalej. Obaj siebie warci. No – dyrektorka zadowolona spojrzała na Erykę – to wiesz, co robić. I czasu ci wystarczy, bo widzę, że do świąt masz wakacje. W domu to sobie spokojnie uzupełnisz.

Eryka oszołomiona zrozumiała, że na nią już czas.

– Ach, kochana, jeszcze jedno. – Zadowolona Kicińska szykowała się do podsumowania spotkania – To przykre, że z ciążą ci nie wyszło, ale... doszły mnie słuchy, że podobno świetnie prowadzisz w domu angielski. Coś się tak wystraszyła? Przecież ja to nie urząd skarbowy. Może chcesz to zastępstwo, skoro Kwiatkowska przechodzi po świątach na macierzyński? To by mi załatwiało sprawę. Tylko mi zaraz w ciążę nie zajdź. Po poronieniu chyba tak od razu nie można?

ROZDZIAŁ 23

Tomasz zajął łazienkę. Jak zwykle w piątek wstał nieco później, ale tym razem wyjątkowo długo szykował się do wyjścia. Słyszała, jak nuci coś przed lustrem w łazience. Erykę czekał następny dzień stracony na idiotycznym zwolnieniu. Kolejne puste godziny. Ścisnęło ją w gardle. Co dziwne, od kiedy się dowiedziała, że przyczyną wymiotów jest torbiel, a nie ciąża, nauczyła się kontrolować ten nieprzyjemny odruch. A może po prostu narodził się wchłoneńca. Pewne jest, że zamiast jak zwykle pobiec do łazienki, postanowiła sobie, że „już koniec z tym rzyganiem”, i natychmiast jej przeszło. Na stoliku nocnym leżał pusty kalendarz od Kicińskiej. Mogła od nowa napisać tę historię. Powinna ją jakoś zespolić w ciąg logicznych zdarzeń, nawet jeśli rzeczywistości brakowało logiki. Nie wiedziała tylko – jak. Najprościej byłoby po prostu spytać Izkę. Ta zawsze miała na wszystko gotową odpowiedź. Niestety, nie każda przekonywała Erykę.

– Tomek, siku mi się chce! – krzyknęła.

– Znowu? Już kończę.

Wyszedł zadowolony z siebie i wyjątkowo przystojny. Włożył marynarkę, zielony sweter w serek i ciemne sztruksy. Lekko wilgotne włosy przyniosły Eryce wspomnienia tych chwil, które spędzali nad wodą; Tomasz surfował, a ona wypatrywała go z brzegu. Dumna i niespokojna.

– Która godzina? – spytał, mijając żonę w progu.

Odpowiedział mu szum spłukiwanej wody.

– Mówiłeś coś?

– Pst – uciszył ją. – Posłuchaj.

W stacji Odnowa podawali właśnie informacje. Przeor Zakonu Braci Maluczkich gratulował inwestorowi uzyskania pozwolenia na budowę na Żoliborzu.

– Wiedziałaś o tym? – zdziwiła się.

– Tak.

– No proszę – odpowiedziała poważnie. – Co to oznacza dla ciebie? Zaczynacie?

– Nie wiem. Wojtek ma inne sprawy na głowie. Na mnie czas. Tylko błagam, nic nie sprzątaj. Nigdzie nie chodź.

– To co mam robić? – Grymas wykrzywił jej twarz.

– Oj, Rysiu, mazgaić się też nie wolno. Dzieciak będzie miał potem depresję. Mozarta posłuchaj.

Dał jej całusa, włożył płaszcz, wypastował buty i zamknął za sobą drzwi.

Też by tak chciała. Pokonywać kolejne przeszkody. Czy ukłucie, które przeszło ją na wylot, gdy obserwowała męża sprężystym krokiem podchodzącego do samochodu, to zazdrość? Jakże puste wydało się Eryce jej życie bez pracy. A i praca wydała jej się nagle

zupełnie czym innym, niż planowała. Na dzieciaki miała nikły wpływ, na nauczycieli żaden, rodzice traktowali ją pobłaźliwie, chyba że chcieli coś ugrać, wtedy kłaniali się z przesadną grzecznością, by za jakiś czas nie rozpoznać jej na ulicy. Na dodatek poddała się szantażowi Kicińskiej, bo jak inaczej nazwać ofertę przyznania dodatkowych godzin? Gdyby tylko naprawdę była w ciąży, udałoby się jej wycofać z tego podłego świata pod opiekuńcze skrzydła Tomasza. Skrzydła, jak się okazywało, o dużo większej rozpiętości, niż kiedykolwiek podejrzewała. Przyszło jej do głowy pytanie: po co właściwie jej dziecko?, i po raz pierwszy złapała się na tym, że właśnie po to, by wypełniło pustkę między nimi treścią. Tomasz miał swoją wiarę, której mu zazdrościła, znajomych, których się obawiała, ale na których mógł liczyć, swoje nadmuchane zawodowe ambicje. Ona miała jego. Kiedy wychodził, zostawała z niczym. Wielkim, rozpychającym się w niej jak puchnący balon niczym, które zaraz z hukiem wybuchnie.

Dawniej w stanie zwątpienia zwracała się o wskazówki do Boga. Pewien mądry ksiądz kazał jej podczas spowiedzi szukać w sobie dobrych cech, a w Biblii pocieszenia. Czytała więc Biblię, wierząc, że przypadkowo otwarty fragment da jej odpowiedź na pytania, podobnie jak niektórzy odrywają listki akacji. Kocha–lubi–szanuje. Nauczyła się otwierać Pismo Święte bliżej Nowego Testamentu, zamiast ryzykować połajanki Boga surowego. Od kiedy jednak Stwórca przestał jej słuchać i ona coraz rzadziej pytała go o zdanie. Zbyt ich różniło poczucie humoru. Eryka nie lubiła, gdy żartował sobie z niej tak okrutnie jak teraz, gdy zamiast dziecka podarował jej paskudną narośl. Cała wspólnota gratulowała jej torbieli. Jak to świadczyło o Bogu? Postanowiła sprawdzić.

Świątynia była pełna wiernych. Kolejki do konfesjonałów ciągnęły się wzdłuż ścian i ławek. Dominowała atmosfera jarmarku, a nie nabożnego skupienia. Eryka stanęła w ogonku, który wydawał się najkrótszy, ale gdy dostrzegła, że gdzie indziej spowiada ten sam młody ksiądz, którego ostatnio widziała z gitarą, zmieniła miejsce. Dzięki fizycznemu podobieństwu czuła się trochę, jakby wyjaśniała sprawy Tomaszowi, nie Bogu.

Zaufała mu.

– Okłamuję męża, że jestem w ciąży.

– Opowiedz.

Ksiądz wyszarpał jej z serca wszystko, co ją dręczyło. W sprawę Bajtaków był już wprowadzony. Środowisko aż huczało od plotek i domysłów, komu to Bajtak podpadł.

– Chciałaś decydować, a to Bóg decyduje, dając dzieci tym rodzicom, a nie dając ich innym. I państwo nie może się w to mieszać. Ani ty.

– Nie rozumiemy się, proszę księdza – postanowiła się jeszcze bronić, choć była bez szans.

Spowiednikowi puściły nerwy:

– Nie rozumiemy się i się nie zrozumiemy. Jak dojdziemy do władzy, takich jak ty będziemy wysyłać w kosmos.

Postukał trzy razy i zakończył sakrament pokuty brakiem pojednania. Postanowiła

poszukać rozgrzeszenia na forum.

Nie spodziewała się, że wybuchnie aż taka afera. Jej stały nick, pod którym rozpoznawał ją Tomasz – Córka marnotrawna – pasował do jej zachowania. Już kilka razy zdarzyło jej się zniknąć bez słowa z forum, wracała, kiedy opadły emocje. Ci, którzy ją obrazili, wciąż nieświadomi tego, jak mocne i niesprawiedliwe stali oskarżenia, witali ją radośnie po długiej nieobecności, a ona sama powtarzała sobie „jako i my im wybaczymy” tak długo, aż uchodziła z niej złość. Jakiegokolwiek próby podnoszenia tematu na nowo w celu wyjaśnienia różnicy zdań pozbawione były sensu. Fanatyków, a za takich miała co poniektórych, nie przekona siłą argumentów. Dlatego na początku prowadziła neutralne rozmowy o diecie jaglanej, filmach, wydarzeniach kulturalnych, do czasu aż ktoś poruszył temat wychowania dzieci. Wtedy, choć usilnie starała się milczeć, choć zastrzegła się, że w takich rozmowach uczestniczyć nie będzie, zawsze po pewnym czasie dzieliła się opinią. Chyba nikt nie wiedział o jej pedagogicznym wykształceniu, poza Tomaszem oczywiście. Było to grono złożone przede wszystkim z rodzin wielodzietnych, ale Eryka upodobała je sobie po części z tęsknoty za taką pełną dzieci rodziną, po części dlatego, że mało było na nim tematów politycznych, od których aż bolała ją głowa na prawicowych platformach. Tu anonimowo podglądała cudzą codzienność, śledziła konflikty małżeńskie, miała swoich ulubionych rozmówców i miała takich, których wypowiedzi omijała, żeby nie podnosiły jej ciśnienia. Liczba odpowiedzi w wątku modlitewnym za rodzinę Bajtaków wciąż rosła. Wreszcie otworzyła pierwszą stronę. W większości krzyżyki, oznaczające modlitwę, jeszcze się pilnują, czekają, kto pierwszy zacznie. Ubrudzone mąką po łokcie gospodynie domowe przeżyją kolejny reality show, ich mężowie zza biurka będą się wymądrzać w roli ekspertów od polityki antyspołecznej. Niech tylko znajdzie się pierwszy, który wyrazi swój pogląd na temat miejskich ośrodków pomocy społecznej, zwanych wściekłymi MOPS-ami, chcących rozszarpać biedną rodzinę na strzępy. Ileż to razy widziała podobne wątki, choć nigdy jeszcze nie dotyczyły jej w tak bezpośredni sposób. Bajtakowie występowali jawnie, ich wypowiedzi były wyważone i prawie pozbawione emocji. Nie postawiła krzyżyka. Na piątej stronie natknęła się na wpisy Tomasza. Pisał, że wszystko w rękach Boga.

ROZDZIAŁ 24

Eryka minęła znajdujący się przed blokiem parking, na którym Tomasz czasem po znajomości zostawiał samochód. „Nikommu od tego miejsca nie ubędzie”, usprawiedliwiał się stróż, a dzięki drobnym gratyfikacjom za życzliwość starczało na nasionka, którymi obsiewał z własnej inicjatywy trawnik wzdłuż płotu. I od razu dodawał, że wiele razy mówił właścicielowi terenu, że można by wprowadzić usługę parkowania na doby, zamiast oczekiwać, że mieszkańcy wykupią abonament miesięczny. Tomasz cieszył się jak dziecko za każdym razem, gdy zaoszczędził pieniądze, a tak traktował to parkowanie, podobnie zresztą jak banknot rzucony drogówce w razie kontroli albo przecenione jogurty z krótką datą ważności. Szukała wzrokiem pana Zenona, zateęskniła za jego rubasznym humorem i dopytywaniem o Tomasza, choć nierzadko ją drażniło, że zawsze pomija w rozmowie doświadczenia i osiągnięcia Eryki, a źródeł wszystkich sukcesów, w tym jej osobistych, upatruje w działaniach męża. Tego dnia pan Zenon siedział zamknięty w swojej budce i Eryka poczuła, że nawet w tej przypadkowej nieobecności doszukać się można upomnienia dla niej. Przyspieszyła kroku. Jeśli dobrze pójdzie, wyrobi się przed powrotem Tomasza z Żoliborza. Nie miała czasu czekać na autobus, a potem cierpliwie mijać gęsto usiane przystanki. Po kwadransie trafiła na Jagodową. Pchnęła masywną furtkę, którą ktoś zostawił niedomkniętą, i po raz kolejny pomyślała sobie, że na nic wszelkie zabezpieczenia, jeśli zawiedzie czynnik ludzki. Dostrzegła kamerę umieszczoną przy ganku. Ostatecznie to człowiek, nie jakiś domofon czy kamera, ponosi odpowiedzialność za wpuszczenie gości.

Niepotrzebnie obawiała się tej wizyty. Przez personel została przyjęta życzliwie, z nieco przesadnym zainteresowaniem, bo wcześniejsze demonstracje przed placówką wywołały lawinę plotek. Siedzieli stłoczeni w trójkę w pokoiku pełnym papierosowego dymu. Brzuchaty brodacz w rozciągniętym swetrze, którego poznała, składając kiedyś CV, przypominał jej styropianowego opozycjonistę, rozczarowanego wolną Polską. Do sali widzeń zaprowadziła Erykę młoda kobieta, prawdopodobnie jakaś stażystka. Po chwili wszedł do niej, a właściwie wbiegł, Pawełek. Na widok Eryki zatrzymał się, spuścił głowę i nadał. Tuż po nim wtarabanił się Piotr, niosąc przed sobą zrobioną z bibuły ogromną palmę wielkanocną. Ostrożnie przytrzymując kwiaty, najwyraźniej dopiero co skrócone, w ogóle nie krył rozczarowania.

Eryka wyjęła z torby woreczek krówek z Milanówka i położyła na ławce obok siebie.

– Cześć, chłopaki – przywitała się życzliwie.

Nie odpowiedzieli.

– Mam dla was coś słodkiego.

Pawełek podszedł do niej zaciekawiony.

– Na pewno zatrute – zauważył z przekąsem starszy brat.

Eryka zjadła jedną bez słowa. To zachęciło małego, który usiadł obok niej i odwinął papierek.

– Masz kruchą czy ciągutkę? – spytała Eryka.

Pawełek z dumą zademonstrował gęsty karmel.

– Ale jesteście po obiedzie? – przypomniała sobie jedną z zasad Bajtaków.

– Zaraz przyjdą rodzice – odezwał się zadziornie Piotrek, nie wiadomo, czy do brata, czy do Eryki. Zareagowali oboje. Paweł szybko przełknął cukierek i wypchał sobie kieszenie następnymi.

– Aha – powiedziała tylko, bo dobrze wiedziała, że Wojtek Bajtak jest na Żoliborzu, a Elżbieta nie wykorzysta czasu odwiedzin bez niego. – I chciałeś im pokazać palmę?

Podszedł bliżej i kiedy wyciągnęła rękę w jego stronę, uderzył ją wiązanką z bibuły. Rozpadła się i Eryka skoczyła na równe nogi, lecz nie po to, by się bronić. Zdezorientowana zaczęła zbierać porwane resztki palmy z parkietu. Piotrek wywrócił Pawłowi kieszenie w bluzie i wszystkie krówki spadły na podłogę.

– Nie wiesz, gówniarzu, co to post?!

Pawełek rozpląkał się bezgłośnie. Z oczu leciały mu łzy wściekłości, wargi trzymał mocno zaciśnięte.

– A teraz powiedz prawdę. No, dawaj, bohaterze. Powiedz jej – podpuszczał brata Piotr.

– Ciociu – zebrał się w sobie chłopiec. – Ja to wszystko wymyśliłem. Z kotem. Tato się tylko zdenerwował, jak tego kotka przyniosłem, i powiedział, że da na pożarcie wężowi. Albo go zaniemiemy z powrotem.

Eryka zaniemówiła. To nie może być prawda. Jeśli się nie przesłyszała, to mały po prostu broni ojca. Rozpaczliwie szuka dla niego usprawiedliwienia.

– Co z nami będzie? – bezradnie zamiauczał Pawełek.

– Jak to? Ostrzegałem cię, że tata kota odda, i oddał. Teraz ci mówię, że nas stąd zabierze, to nas zabierze – oznajmił ostro Piotrek. – Ale ty już nic jej nie mów, bo tylko pogarszasz sprawę.

– Groził ci? – wyrwało się Eryce. Dopadło ją poczucie odpowiedzialności i przełączyła się na tryb dochodzenia prawdy. – To dlatego do mnie wtedy przyszedłeś?

– Nie jesteśmy tacy głupi – wycedził przez zęby nastolatek. – I wszyscy właśnie zastanawiają się, co on u ciotki robił. I jak to się stało, że wszedł w majtkach, a wyszedł już bez.

Na te słowa Eryka straciła cierpliwość, przygryzła usta i uderzyła Piotra w policzek. Było to dla całej trójki tak nieoczekiwane, że Pawełek rozpląkał się na głos, Piotrek usiadł i pocierał zaczerwienioną skórę, a Eryka po prostu sięgnęła po torebkę i uciekła z sali bez słowa.

Kamera zarejestrowała, jak opuszcza pogotowie zaledwie po kwadransie jeszcze szybszym krokiem, w niedbale narzuconym na ramiona płaszczu, na którym ślad zostawiły rzucone w nią z korytarza na pierwszym piętrze rozwinięte krówki ciągutki.

Zamiast wrócić do domu, poszła na spacer do lasu. Był na tyle uporządkowany, że przypominał ogromny park, ale i tak czuć było obecność zwierzyny. Ileż to razy sama widziała, jak puszczane luzem psy ścigały sarnę czy zająca. Ileż to razy zwracała uwagę

właścicielom lub wręcz wdawała się w awantury z powodu ich ograniczonej wyobraźni. Odpowiadali, że gorsza od bezmyślności jest wybujała fantazja. Eryce trudno było się z tym nie zgodzić. Padła przecież jej ofiarą. Projektowała w głowie scenariusze, które czasem się realizowały, ale ich czysto hipotetyczne skutki realnie wpływały na jej postrzeganie świata. Bardzo rzadko szła na żywioł i zazwyczaj nie niosło to za sobą przykrych konsekwencji. Tym razem jednak stało się inaczej. Wizyta w pogotowiu opiekuńczym tylko ją pogrążyła, choć Eryka nie mogła jeszcze przypuszczać, jak bardzo.

Krażyła między sosnami, jakby zgubiła się w gabinecie krzywych lusterek. Analizowała swoje zachowanie i nie poznawała siebie. Obcasy grzęzły w błotnistej ziemi. Po co kobietom buty, w których chodzenie to mordęga? Po co im opięte spódnice, w których trudno zrobić krok? Po co im wreszcie biustonosze, które nie pozwalają oddychać pełną pierśią? Stała przy pasie. Oparła się o nią dłońmi i wykonała kilka głębokich oddechów. Po raz pierwszy w życiu kogokolwiek uderzyła. Do tego dziecko. Nie sądziła, że jest do tego zdolna. Strzepnęła z rąk brud i krople. Rozluźniła ramiona, na ile się dało. Nie opuszczało jej wrażenie, że jest śledzona. Zorientowała się, że z tak napiętą szyją nie zdoła dyskretnie obrócić głowy. Nie umiałaby krzyknąć, nie była w stanie nawet pisnąć. Nagle las wydał jej się wrogi, w ciszy jeszcze wyraźniej słyszała w uszach rozmowę z chłopcami. Najgłośniejsze przebijało się wyznanie Pawełka: „Ja to wszystko wymyśliłem”.

Ściemniało się coraz szybciej. W panice obracała się wokół swojej osi, ilekroć wydawało jej się, że z jakiegoś kierunku dochodzi trzask łamanych gałęzi. Pachniało wilgotną ziemią, jak pachnie otwarty grób. Biegła na obcasach i w niewygodnej spódnicy. Tomasz powinien już wrócić. Gdzie jest Tomasz? Szybkim krokiem minęła parking, upewniwszy się najpierw, że peugeot stoi zaparkowany blisko wjazdu. Drzwi do stróżówki były tym razem otwarte i pan Zenon przywołał ją krzykiem i gestami. Poruszony biegł do niej w półmroku z latarką. Szeptem, rozglądając się na boki, powiedział:

– Taka kreska, pani Papicka, taka kreska, kochana pani, to nie na moim parkingu. U mnie to się nie zdarza. No, przyjdzie pani, zobaczy sama, do czego to doszło.

Pociągnął Erykę za rękę w kierunku samochodu. Po chwili zademonstrował jej głęboką rysę na drzwiach od strony kierowcy. Mogłoby się zdawać, że to jakiś znerwicowany przechodzień zareagował na źle zaparkowane auto Tomasza. Jednak kiedy pan Zenon poświecił ponownie, Eryka od razu wykluczyła tę hipotezę. Po co bowiem ten ktoś miałby narysować rybę, a potem ją przekreślić?

Tomasz pstrykał długopisem i nawet nie podniósł głowy znad gazety, kiedy Eryka przestąpiła próg mieszkania. Nie zdejmując butów ani płaszcza, podeszła do męża przekonana, że w skupieniu rozwiązuje krzyżówkę. Kiedy zobaczyła, że na marginesie magazynu kreśli słupki cyfr, od razu domyśliła się, że już widział samochód. Jego strokana mina wskazywała, że kalkulacja finansowa wypadła nie najlepiej. Ojczym Tomasza był świetnym fachowcem od mechaniki samochodowej i lakiernictwa. Tomasz nie musiał martwić się ani o jakość wykonanej usługi, ani o koszty, bo Artur traktował go jak syna i wzbraniałby się przed przyjęciem pieniędzy. Jedynie sama konieczność zwrócenia się do niego o pomoc, przyznania, że się co do niego pomylił, że matka dobrze wybrała i zaznała z nim szczęścia, jakiego nie pamiętał z okresu choroby ojca, naznaczonego ciągłymi

wizytami u lekarzy i atakami spazmatycznego bólu, była dla niego na tyle przykra, że bezsilnie obracał długopis w rękach.

– Gdzie byłaś? – odezwał się wreszcie.

– Na spacerze.

– Czemu się nie rozbierasz? Herbaty ci zrobię, bo się przeziębisz. Powinna być jakaś resztką cytryny.

Po chwili przyniósł na tacy kanapki z miodem i dwa kubki z ich zdjęciami. W nich lubili pić herbatę. Najbardziej mu smakowała z kubka z jej zdjęciem, a jej z jego. Obowiązkowo z serduszkami. I z datą ich drugiej rocznicy. Tak niedawno. Bieszczady. Gitara. Cerkwie i kościółki. Konie. Lato. Wspaniałe wakacje. Czas sprzed tej rozmowy, gdy przyznała, że powinni się leczyć. Ten czas, gdy wierzyła w cuda. Eryka najpierw się rozmarzyła, a po chwili zachmurzyła i nie mogła powstrzymać się przed uwagą, że Tomasz już nie musi jeść tyle miodu.

– Jak to nie muszę? – zdziwił się mężczyzna, oblizawszy łyżeczkę, już miał zamiar zakręcić słoik, ale zdecydował się na dokładkę i cały rytuał oblizywania sztuczków rozpoczął się na nowo.

– No, już nie musisz jeść tyle miodu – powtórzyła Eryka, jakby sądząc, że nie ma tu nic, co należałoby dodatkowo objaśnić. Widząc jego niepewną minę, dodała jednak: – Nie musisz już poprawiać żołnierzyków.

Tomasz spojrzał na nią skonsternowany.

– Ale ja lubię miód. Smakuje mi.

I ugryzł się w porę w język, zanim głośno wyraził zdziwienie, że między płodnością a miodem istnieje jakikolwiek związek.

– I macę lubisz? – drążyła Eryka.

– I macę też – przyznał zgodnie z prawdą. – Co z tobą? Bo ja mam raczej kiepskie wieści.

Nie wiedziała, jak ma opowiedzieć Tomaszowi o nieudanej wizycie u chłopców. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć wyrzutów ze strony Tomasza i własnego sumienia, postanowiła w ogóle o tym nie wspominać. Może nawet uda jej się zapomnieć? Tomasz, widząc, jak żona bije się z myślami, podał jej na zachętę kawałek czekolady.

– Proszę.

– No co ty, ja cię nie znam? Najpierw prowokujesz, zaraz będziesz prawil mi kazania?

– Ryśka, to jest czysty magnez, marnie wyglądasz.

Wyciągnęła rękę z kieszeni tylko po to, by odgarnąć nią włosy z czoła. Przypomniała sobie od razu Piotra, trzynastolatka, który lepiej od niej przestrzegał postu, i Weronikę, która z potrzeby samokontroli popadła w anoreksję. Tomasz wzruszył ramionami, schował czekoladę z powrotem do przegródki skórzanej aktówki.

– Z Wojtkiem wszystko w porządku, wyjaśniliśmy sprawę, masz się nie zbliżać do chłopców i to wszystko – odezwał się, kiedy Eryka zjadła kanapkę.

– A co z chłopcami?

– Wyjdą z tego.

– Jak spotkanie z inwestorem? Będziecie ze sobą pracować? – Chciała to wiedzieć już na pewno.

– Waha się jeszcze, straszny tłok przy tym korycie.
– I smród – wtrąciła sarkastycznie, a po chwili dodała: – Masz przeze mnie kłopoty?
– On nawet nie obwinia ciebie, tylko ciągle bredzi, że system to, system tamto. Państwo, układ, instytucje. Jest rozżalony, to oczywiste. Dobrze by było ich przeprosić.
– Przeprosić? Jestem zaszczuta, nikt do mnie nie dzwoni, wszyscy nagle zaczęli mnie unikać, ksiądz wyrzucił mnie z konfesjonału, nie, no nie Jan, nie musisz się tak dziwić, inny, a ty mówisz o przepraszaniu? Widziałeś, jak wygląda nasz samochód? I wiesz już, że nie stać nas na naprawę? – Złapała gazetę i wskazała na wyliczenia. – To czemu, do cholery, o tym nie rozmawiamy jak ludzie, tylko pitu-pitu mi tu serwujesz, jak to wiesz lepiej i wszystkim się zajmiesz. Oczywiście z troski.

Opuścił głowę i przykrył ją rękami. Widziała, jak czerwienieją mu końce uszu. Dawniej lubili te herbaciane wieczory, ostatnio coraz częściej nadzieje, marzenia, plany zastępowały wyrzuty, pretensje i wzajemne oskarżenia.

– Czyli już wiesz? Nie będę jeździł na Żoliborz samochodem, bo nie wiadomo, do czego się posuną następnym razem. Cały czas protestują, teraz odrzuceni podwykonawcy podjudzają mieszkańców.

W ogóle nie brała pod uwagę, że to w Raju tak go urządzili. Szeroki uśmiech mimowolnie rozjaśnił twarz Eryki.

– Boże – wyszeptała z ulgą. – I co z tym zrobimy? – spytała.
– Święta w Łodzi? – zaproponował. – Powiemy o dziecku.
– Jeszcze za wcześnie. A droga krzyżowa?
– Nie słuchałaś, co mówiłem w kościele – obruszył się. – Niech inni poniosą ten ciężar.
– Dobrze. – Usiadła koło niego i zapięła z powrotem kozaki. – To pojedźmy teraz.
– Jestem zmęczony.
– Ja poprowadzę. Proszę – nalegała. – Na poniedziałek samochód będzie jak nowy. Nie damy im poznać, że się boimy.
– Ja się nie boję.
– A ja tak.
– Ale kogo?
– No, ich...

Wydawać by się mogło, że kto oswoił się z warszawskim stylem jazdy, nie powinien spodziewać się już niczego gorszego. Tak jednak może łudzić się tylko ten, kto nigdy nie był w Łodzi, nie ciągnął się po wąskiej brukowanej ulicy za tramwajem, co chwilę przepuszczając pieszych. To nie było na nerwy Tomasza, dlatego cieszył się, że Eryka wyręczyła go w prowadzeniu. W końcu z ulgą zaparkowała przed rodzinnym domem męża, jednym z wielu podobnych do siebie klocków na osiedlu domków jednorodzinnych z wczesnych lat osiemdziesiątych. Na podwórku w świetle podwieszonych reflektorów krzątał się Artur, mimo chłodu w samej koszuli flanelowej, kombinezonie i klapkach.

– Dobry wieczór. Tak zarysowałeś auto, że już cię żona za kółko nie puszcza? Pokaż no, co tu mamy. – Uprzedzony przez nich ruszył do drzwi od strony kierowcy. Na widok rybki gwizdnął z uznaniem.

– No, no, dzieło sztuki. Biegnijcie do środka, już tam Ania cały wieczór dla was pichci.

Ja się przyjrzę, na ile głęboka jest ta rysa.

– Może nie dzisiaj. Późno już – z grzeczności zaprotestował Tomasz.

– Jutro niedziela, nie dasz mi wejść do warsztatu. Zmykajcie, tylko byście przeszkadzali.

Eryka z Tomaszem posłusznie przekroczyli próg. Rzadko tu bywali, a dom bardzo się zmienił od czasu, gdy mieszkał w nim mały chłopiec. Na parterze zrobiono z mieszkania pomieszczenia gospodarcze, z garażu bezpośrednio wchodziło się do dużego holu, w którym pośród skrzyneczek z narzędziami postawiono biurko z telefonem i komputerem. Mało kto poznałby, że kiedykolwiek były to pokoje mieszkalne, tylko w suficie do tej pory tkwił hak po dziecięcej huśtawce, na którym teraz wisiał bokerski worek.

Anna Koniczynka czekała na schodach u góry, ledwie wychyliwszy czubek nosa.

– Zimna ta wiosna, ciemna. Dobrze, że już jesteście.

Matka Tomasza lubiła Erykę i miała dość taktu, by nie dopytywać się o wnuka. To wystarczyło, by ta odwzajemniła sympatię. Tomasz był o krok, by ogłosić ciążę. Okazja była znakomita, bo Anna lamentowała właśnie nad sylwetką synowej.

– Jaka z ciebie niteczka, wyglądasz jak spaghetti w kryzysie.

To w tej chwili Eryka postanowiła, że nic o ciąży nie wspomni. Ani dziś, ani kiedykolwiek. Po co sprawiać jej ból? Na szczęście to teściowa uruchomiła swój gawędziarski dar. Snuła opowieści o kunie, która wlaźła Arturowi pod maskę samochodu i poprzegryzała przewody. Mogło się to źle skończyć, ale w porę się zorientował, że nie działały hamulce. Niedawno też w okolicy zaginęło dziecko i odnaleziono je po paru godzinach śpiące w psiej budzie. Kura sąsiadów (tak, tak, sąsiedzi, choć w podeszłym wieku, wciąż trzymali kury) przechodziła na podwórko Koniczyneków, co nie powodowało większych kłopotów, poza sprzeczkami między Anną a Arturem. Ona twierdziła, że to zawsze ta sama kura, on utrzymywał, że przychodzą na zmianę, zawsze wyprawiając jedną na przespiegi. Zaangażowanie, z jakim opowiadała, świadczyło o tym, że kura stała się jej bliska, niemal jak członek rodziny – wnuczka czy wnuk – i dawało pewne wyobrażenie tego, jakiej siły charakteru wymagało od niej milczenie w temacie potomka. Siły osoby naznaczonej traumą choroby kogoś bliskiego. Anna wyraziła niepokój, że siatka odchodzi od gruntu aż z dwóch stron. Mały kundel sąsiadów, widząc na podwórzu kurę, dostaje wścieklizny i rzuca się na ogrodzenie albo się pod nim podkopyje. Z sukcesami, i gdyby nie czujność domowników, doszłoby do prawdziwej jatki. Tomasz zaproponował, że naciągnie siatkę, co powinno rozwiązać problem. Nic nie dawały argumenty, że Artur wiele razy już próbował, a pies zawsze znalazł sposób. Z zapalem podjął kolejne wyzwanie, by udowodnić swoją przewagę nad ojczymem. Eryka wykorzystała okazję, by wyjść z nim na podwórze, i tam poprosiła, podając młotki i druty, by na razie nic o ciąży nie wspominał.

– Poświeć tutaj – zarządził. – Domyśli się. Zobacysz.

– Nie domyśli, sama mówiła, że jestem cienka jak makaron.

– Już niedługo nie będziesz. I piersi trochę urosną.

– Nigdy nie narzekałeś.

– No wiesz, rodzynki dobre, ale winogrona lepsze.

– Z tymi porównaniami to się w matkę wrodziłeś całkiem.

– Zrobione – powiedział z dumą. – Chodź, zobaczysz, jaki byłem do niej podobny.

– Dalej jesteś.

Chwilę potem, pochyleni nad gorącym napojem imbirowym z plastrami pomarańczy i cytryny, oglądali zdjęcia.

– Tak szybko? Udało ci się!?! – Matka Tomasza z niedowierzaniem wpatrywała się w ciemną plamę za oknem.

Na fotografii w albumie na tej samej siatce suszyły się jakieś koce, czy też pokrowce na samochód. Zza nich wychylał się mały Tomaszek. Może czteroletni brzdąc.

– Włodek też miał słabość do samochodów. Ciągłe coś sąsiadom naprawiał, nawet tapicerkę prał, bardzo porządny był.

– Mamo – przywołał ją do porządku syn. Wiedział, co zaraz nastąpi. Pani Koniczynce oczy zajdą łzami i nikt nie znajdzie słów pocieszenia. – Opowiedz lepiej, jak to myślałaś, że w aparacie nie ma kliszy, i w zabawie wypstrykałaś cały film na mycie samochodu. A ja pójde wymyję auto.

Eryka patrzyła na niego zdumiona. Mrugnął do niej zawadiacko.

Tym razem uważniej przyglądała się fotografiom ojca i syna. Obaj spaleni słońcem, obaj roześmiani, ale... na tym podobieństwa się kończyły. Eryka nigdy by nie pomyślała, że ciemnowłosy rozczochrany chłopak może być synem ostrzyżonego na jeża mężczyzny ze zdjęcia. Pokrewieństwo ujawniło się w przewrotny sposób – obu ich zaatakował ten sam nowotwór. Coś jej w tym obrazie nie pasowało. Czują, że w tych zdjęciach tkwi jakiś logiczny błąd.

– Mamo, czy po chemii nie wychodzą włosy? – spytała wreszcie.

– Wychodzą. – Przełknęła ślinę i łzy. – W rzęsach i brwiach nawet.

– A Tomek...?

– U Tomka na strachu się skończyło. Trochę badań i już. Cud, choć Tomek był, jak by to ująć, rozczarowany. On zawsze miał w sobie taki głód cierpienia i głód cudów, rozumiesz? Jakby dobro, które samo przychodzi, było zbyt banalne. Wiesz, jak mi ciebie przedstawił? Że Duch Święty przez ciebie przemówił. Tak powiedział, kiedy cię poznał. I z tym rakiem tak bardzo potrzebował cudu, że aż sobie wmówił, że ozdrowiał. Jakby nie było wystarczającym cudem to, że po prostu nie zachorował.

ROZDZIAŁ 25

Telefon świecił Tomaszowi w oczy, mimo że Eryka starała się zasłonić wyświetlacz.

– Zgaś to słońce – jęknął. – Która godzina?

– Czwarta.

– Co ty tam czytasz?

Odłożyła telefon pod poduszkę i wzruszyła ramionami. Nie musiała się odzywać. Przecież wiedział.

– Na forum weszłaś? Po co się tak dręczysz? Wszystko wezmę na siebie. Ty nic nie rób. W ciąży jesteś. Nikt cię nie ruszy.

Na mszę pojechali autobusem. Eryka w przyciemnianych okularach, że niby z powodu wiosennego słońca, choć w rzeczywistości chciała zamaskować cienie po nieprzespanej nocy. Sama też chciała się ukryć, stać się anonimową osobą, której się nie współczuje ani nie zazdrości, kimś przezroczystym.

Wchodząc do kościoła, poczuła podobne zaciekawienie jak wtedy, gdy trafiła na pierwsze zebranie wspólnoty akademickiej. Wówczas spotkali się w niedużej salce pod arkadami. Kiedy zaczęła mówić językami, prawdopodobnie po aramejsku, wzbudziła entuzjazm wszystkich, a najbardziej szczęśliwy był brunet z niebieskimi jak bezchmurne niebo oczami. Wiele już widział, ludziom często puszczały nerwy, czasem krzyczeli, czasem szlochali, niekiedy ślinili się i przewracali oczami. Ale ta ruda drobna dziewczyna, oszołomiona tym, co się jej przytrafiło, wyglądała jak czysty cud. Wtedy się w niej zakochał.

Ludzie przepychali się do bliższych rzędów, ale Eryka powstrzymała Tomasza za rękaw i zajęła miejsce w jednej z ostatnich ławek. Lubiła siadać na końcu, miała stamtąd najlepszy widok. Wspomnienie ich pierwszego spotkania sprawiło, że z czułością pomyślała o tamtym okresie. Bez żadnego powodu została powołana do chwalenia Boga i było to doświadczenie, jakiego nawet nie starała się zrozumieć. Niestety, szybko dotknęła ją pycha i im gorliwiej starała się tę łaskę odtworzyć, tym skuteczniej pozbawiała się na to szans. „Bóg sam wie, kiedy i co komu dać”, tłumaczył jej spowiednik, gdy podzieliła się swoim rozczarowaniem. Tomasz był mniej wyrozumiały – „Musisz się więcej modlić”, strofował żonę.

Już słyszała od teściowej, że tradycją w tym kościele były modlitwy o uzdrowienie, dlatego nie zdziwiła jej obecność osób poruszających się o kulach lub na wózkach. Wielu przyjechało z innych części miasta, przywieźli ze sobą rozkładane turystyczne krzeselka. Cały kościół wypełnił się wiernymi z palmami. Jeszcze nie wkradły się niesnaski, niespłacone długi i podzyrowane siostram i braciom w wierze kredyty. Jeszcze nie

rozpoczęła się rywalizacja, kogo Bóg pobłogosławił liczniejszą gromadką dzieci. Choć Eryka trafiła w to miejsce przypadkiem, postanowiła pomodlić się o łagodne wyplątanie z sieci kłamstw. Jednak wobec tylu otaczających ją nieszczęść intencja wydała jej się niestosowna. Wybrała więc sobie dziewczynę w czerwonym berecie i całą swoją obecność tutaj postanowiła poświęcić problemowi, z jakim przyszła tamta. Wyglądała na studentkę, ale sprawiała wrażenie nieco spłoszonej. Charakterystyczna torba z filcu, z aplikacjami w koguciki czy inne ludowe wzory, wypchana była po czubek, przez co zupełnie straciła urok. Namówiła Tomasza, żeby przesiedli się do ławki za nią. Czerwony beret wskazywał jej drogę w tłumie. Ledwo usiedli, a dziewczyna zdjęła go z głowy i upchnęła w filcowej torbie. Jej głowa była zupełnie łysa.

Nie obeszło się bez wzruszenia i smutku. Kolejne osoby po mszy przedstawiały cierpienia, o jakich nie uczono na studiach medycznych. Na koniec poproszono zebranych o spontaniczną modlitwę. Każdy miał chwalić Pana w sposób, jaki był mu najbliższy. Niektórzy kiwali się, przytuleni do siebie, inni chwyтали za ręce, ktoś mruzczał i klaskał, ktoś jeszcze podnosił ramiona ku górze. I w tym amoku, w samym środku manifestacji nie tyle wiary, co nadziei, usłyszała przez głośnik słowa:

– Jest wśród nas kobieta, która pragnie dziecka. Nasz kochany Ojciec w swojej wielkiej, niezgłębionej miłości jej to dziecko zsyła. Niech wszyscy wiedzą, że niedługo urodzi syna, i cieszą się razem z nią.

Rozległy się oklaski, jęki, pomruki. Eryka nie wytrzymała napięcia. Depcząc ludziom po piętach i przepychając się łokciami, pobiegła do drzwi. Z ulgą chwyciła mosiężną klamkę i zaczerpnęła świeżego powietrza.

– Dlaczego tamtej, a nie nam? Dlaczego nie nam? – mamrotała, lecz Tomasz zamykał jej pocałunkiem usta, upojony atmosferą cudów. Musiał się przesłyszeć. Musiał ją źle zrozumieć. Albo to jej w głowie się pomieszało. Bo przecież była w ciąży. Była...

ROZDZIAŁ 26

Kalendarz uzupełniła zgodnie ze wskazówkami dyrektorki, dbając o to, by notatki wpisywać różnymi kolorami wkładów. Zwolnienie od Hermanowej kończyło się za tydzień, czyli w dniu, w którym Tomasz umówił wizytę u ginekologa. O dziwo, nikogo spośród znajomych, jakby też czuł potrzebę wyjścia poza teren wspólnoty. Zadzzwonił do tego, który szeptał Eryce do ucha, że bez wyników męża nie da się nic konkretnego powiedzieć, chyba że sama chce przechodzić nieprzyjemne badanie drożności jajowodów. Temu lekarzowi właśnie miała się wkrótce pokazać i kompletnie nie wiedziała, jak to rozegrać. Powinna też dać odpowiedź dyrektorce. Czy weźmie zastępstwo za anglistkę? Oczywiście, na więcej nie mogła w tej szkole liczyć, a dodatkowe godziny to przecież dodatkowy zarobek. W ich sytuacji raczej łatanie dziury, bo Eryka nie miała złudzeń, że nie tylko nie zdoła już zbierać grupy dziewczęcej na lekcje angielskiego, ale i regularnie prowadzona grupa chłopięca lada moment się rozpadnie. Wystarczyło, że odeszli Bajtakowie, za nimi pójdą Filip i Franek, i pozostali. Lekcje domowe były wyjątkiem. W dobrym tonie było bowiem nie przyjmować pieniędzy, naturalnie zawsze oferowano jej gratyfikację w innej formie, spośród których największą katorgą były zaproszenia na obiad w rodzinnym gronie. Nikt nie pomyślał o tym, że rodzina z kilkorgiem dzieci, a często i kolejnym w drodze, i opowieści z tym związane mogą być dla niepłodnej pary prawdziwą torturą. Dlatego czasem Eryka wołała wykręcić się od wizyty pracą albo obowiązkami rodzinnymi i wbrew dobrym obyczajom wziąć kilka złotych.

Eryka mogłaby przestać oddychać, jeśli miałyby jej to pomóc przeczekać życiowe zawirowania. Już niedługo Wielkanoc. Tuż potem rozstrzygną się dalsze losy chłopców. Ze względu na silne naciski Komitetu Obrony Rodziny Bajtaków (skręcane do idiotycznego KORB) na placówkę i na sąd, zrezygnowano z umieszczenia dzieci w rodzinie zastępczej. Jeśliby się na taką zdecydowano, twierdziła Izka Kostecka, to na tyle daleko od Warszawy, żeby umożliwić im w miarę spokojną adaptację. Skala represji, mogących dotknąć rodziców zastępczych, była bowiem nie do przewidzenia. Obrońcy Bajtaków domagali się przynajmniej wypuszczenia chłopców na święta do rodziców. Rysa na samochodzie uświadomiła Eryce, że nie ma symbolu, którego nie można by zbezczścić, żeby wyrazić swój gniew. Eryka patrzyła w sufit, nie mogąc przekręcić szyi ani w prawo, ani w lewo, i liczyła sekundy. Mijały minuty. Godziny. Jeszcze z tydzień tak przeleży i jej zbroja na brzuchu pokruszy się z napięcia na kawałki. Wybebeszą jej pustą macicę i wbiją na pal na dowód jej bezpłodnej wyobraźni. Mogła przewidzieć, w co się pakuje.

Nie ruszyła się, nawet kiedy wrócił Tomasz. Udawała, że śpi, więc chodził koło niej na palcach. Ciszę przerwał telefon. I rozpętała się burza.

– Włącz jedynekę, jedynekę włącz! – wydzierała się matka.

Eryka niechętnie uruchomiła odbiornik. Obraz był niewyraźny, ale nie miała wątpliwości, że widzi siebie wchodzącą do budynku pogotowia opiekuńczego. Nigdy nie podejrzewałaby, że jest tak wysoka i tak przygarbiona. Ktoś zadał sobie trud, żeby zdobyć to nagranie z kamery. Głos z offu komentował, że młodsze z dzieci uciekło ze szkoły do nauczycielki, która zbyt pochopnie poinformowała odpowiednie służby społeczne, a teraz podburza synów przeciw rodzicom. Podobno podczas wizyty dopuściła się przemocy fizycznej i do prokuratury skierowano w tej sprawie zarzuty.

– O co tu chodzi?! – krzyczała Stroicka.

Eryka rozłączyła się i znowu położyła głowę na szezlongu.

Tomasz, który przysiadł na oparciu, nie miał wątpliwości. Zbulwersowany powtarzał niewyraźnie:

– To ty ta? To ty tu? Ty to tam?

Mimo tych okoliczności rozbawiło ją jego zmieszanie. Wyłączył telewizor. Eryka w uszach wciąż słyszała szum „tę kobietę, tę kobietę...”, „dziecko schroniło się, schroniło się...”. No i do tego doszedł całkiem już wyraźny wrzask Tomasza:

– Po cholere tam polazłaś?! Powiedz mi, czemu konsekwentnie niszczysz wszystko, co z takim trudem udaje mi się posklejać?!

Nie miała szans się wytłumaczyć, bo zaraz ponownie zadzwonił telefon.

– Coś nas rozłączyło, ale mam drugą rozmowę! – Eryka starała się nie wybuchnąć, w końcu matka, to matka. Włączyła tryb głośnomówiący i dalej nie odrywała głowy od materaca. – Oddzwonię do ciebie.

– Skarbenku, a to nie ode mnie ten drugi telefon? – odezwała się dyrektorka.

– A, to pani, pani dyrektor. – Eryka, czując na sobie wzrok Tomasza, poderwała się, przeszła do kuchni i demonstracyjnie zamknęła za sobą drzwi. W pomieszczeniach była świetna akustyka, aż ściany pulsowały w rytm uderzeń jej serca. Sama mówiła niewiele, odpowiadała półsłówkami, ciągle powtarzała „rozumiem” i „rozumiem” i jasne było, że Kicińska zadzwoniła z ostrą reprimendą, a nie z pytaniami. Nie interesowały jej fakty. Żądała jedynie podporządkowania się jej poleceniom. A te brzmiały: zwolnienie jak najdłużej, pod byle pretekstem, po drugie – kalendarz, po trzecie – żadnych, bezwzględnie żadnych kontaktów z Bajtakami i z mediami.

Co do ostatniego Tomasz przyznał jej rację.

– Tylko czekać, aż zaczną tu wydzwaniać albo nas nachodzić.

– I tak im nic nie powiem. Tajemnica zawodowa.

– Im mniej mówisz, tym więcej mogą włożyć ci w usta. To są sępy i powinnaś trzymać się od nich z daleka. Którego z nich uderzyłaś? – zapytał wrogim tonem. Widząc, że Eryka czwarty raz próbuje odpalić palnik gazu, pohamował wzburzenie. – No, uspokój się już. Daj, pomogę ci.

– Ja już sama nie wiem, co właściwie zaszło i gdzie ja w tym wszystkim jestem – przyznała bezradnie. – Przerasta mnie to.

– Nie powiem, że cię ostrzegałem. Teraz nie chodzi już o to, jak było, tylko o to, żeby bronić swojej wersji. Więc się zdecyduj i tego się trzymaj, a jak cię złapią za rękę, to krzycz, że nie twoja. Rozumiesz?

– Ty na poważnie?

– Czas dorosnąć.

Owszem. Można wyłączyć telefon, zaryglować drzwi, zasłonić okna, ale w dobie internetu to nie wystarczy. Zaczęła od Facebooka. Niewinnie. By nabrać dystansu, Eryka starym sposobem zamierzała sprawdzić, czym żyją koledzy z Francji. O czym się mówi, co się czyta, gdzie spędza się weekendy. Ale na Facebooku coraz więcej osób deklarowało udział w wydarzeniu: *Zabierzmy dzieci państwu, oddajmy rodzinie* lub usuwało ją bez wyjaśnienia z grona znajomych. Demonstracja, jaką szykowano tym razem, miała odbyć się przed budynkiem sejmu i swoje poparcie wyraziło kilkaset osób, Eryka nie miała wątpliwości, że do rana ich liczba osiągnie co najmniej tysiąc.

Pomiędzy licznymi wiadomościami, w większości zawierającymi słowa oburzenia i krytyki, skopiowanymi najwyraźniej z udostępnionego nadawcom szablonu, znalazła też list, który – choć lakoniczny – wywołał w niej prawdziwe wzruszenie. „Córeczko, była u mnie mama. Nie odbierasz telefonu. Czy możemy coś dla ciebie zrobić?”

Doczekała się! Matka rozmawia z ojcem! A ten używa znowu liczby mnogiej! To dopiero świadczyło o powadze sytuacji.

ROZDZIAŁ 27

Tomasz po kilkanaście razy dziennie nagabywał ją o samopoczucie, zawsze z takim dziwnym napięciem na twarzy, jakby wiedział. Albo się domyślał. Jakby czekał, aż sama wszystkiemu zaprzeczy. Tymczasem ona odpowiadając mu co chwilę, prawie uwierzyła w całą intrygę. Tym bardziej, że choć minęły jej nudności i wymioty, wciąż dokuczały bóle pleców i szyi. Mąż od razu bolesne miejsca rozmasowywał, a wystarczyło, że raz zakręciło jej się w głowie, i zabronił wchodzić na toaletę. Zawartość szafek kuchennych przeorganizował w ten sposób, że wprawdzie nie musiała sięgać wysoko, ale za to nie była w stanie niczego znaleźć. Przyjmowała to cierpliwie. Kiedy po lekkim krwawieniu z nosa usłyszała, że powinna pomieszkać trochę u matki, zażądała:

– Powiedz mi, co się dzieje!

Żal jej było obserwować degradację pozycji Tomasza, na którego – była o tym przekonana – wywierano naciski, żeby przemówił żonie do rozsądku. Sąd w czwartek podejmie decyzję, czy chłopcy wracają do domu. Trwał szturm modlitewny na forach. Coraz więcej szczegółów przeciekało do gazet; na temat jej odwiedzin u dzieci krążyły legendy. Już nie tylko podjudzała przeciw rodzicom, biła, ale i molestowała. Dziwiła się, że do jej drzwi jeszcze nie zapukał prokurator. Bajtakowie śmieiej udzielali wywiadów świadomi, że służby socjalne mają związane ręce tajemnicą zawodową. Oni mogli pleść bzdury, tych drugich obowiązywało milczenie.

– Co się dzieje? – powtórzyła Eryka.

– Niektórych poniosło. – Wskazał gestem ręki okno. – Dobrze ci robi parę dni w Milanówku.

Otworzyła szeroko drzwi balkonowe i zobaczyła tę grupkę. Stali przy śmietniku z krzyżem i transparentem: „Dzieci należą do rodziców, nie do psychologów”. W pierwszej chwili miała ochotę zaprotestować. Dzieci nie należą do nikogo, mogłaby rzec, ale nie miała z kim rozmawiać. Obserwowała ich zza zasłonki. Nikogo nie znała, a oni nie znali jej, lecz przyszli tu z jej powodu. Tomasz nie próbował nawet udawać, że sprawa ma związek z Rajem. Przybyli, by przekonać ją, wszelkimi metodami, spośród których przymusowa modlitwa, jakiej doświadczała uprzednio, wydawała się niewinną pieszczotą, żeby poparła wypuszczenie dzieci do domu na święta. Naukowcy ustalili, że na Marsie da się przeżyć co najwyżej sześćdziesiąt trzy dni. Eryka byłaby gotowa wybrać się tam nawet z biletem w jedną stronę. Chciałaby uciec z tego bloku, dzielnicy, miasta, kraju. Ale uciec do matki oznaczałoby dla niej przegrać, dać się zastraszyć. Tymczasem Eryka wciąż wolała wygrywać. Szczególnie w słusznej sprawie.

– Trzeba by wyrzucić ten aloes. Nic już z niego nie będzie – powiedziała blada, jakby oznajmiała, że nadeszła epoka lodowcowa i wyginęły wszystkie rośliny świata.

Pokręciła się po domu. Z całych sił próbowała zignorować zbiegowisko. A jednak fascynowali ją. Przygotowała pierogi. Ugniatała ciasto zawzięcie i długo. Lepiąc pierożki mechanicznie, stwierdziła, że ta czynność uspokaja prawie jak różaniec. Nie udało jej się skontaktować z Aśką. Uwierała ją świadomość, że jej przyjaciółka zrobiła coś, przed czym powinna była ją powstrzymać. Eryka przechodziła przyspieszony kurs dojrzewania – dorastała, jak radził jej Tomasz, choć zapewne co innego miał na myśli. Dostrzegła, że człowiek składa się z krwi i mięsa, nie z nakazów, choćby i tych wyrytych w kamieniu. Pierwszy raz ze zgrozą odkryła, że rozumie męża Aśki. Że też chciałaby od problemów uciec. A jeśli problemem jest człowiek, opuścić i jego. Może więc ciąża jest najlepszym testem nie tylko związku, ale i przyjaźni? Nie miała serca obciążać Aśki swoimi kłopotami. Brakowało jej siły, by wziąć na barki te, z którymi borykała się tamta. Bała się, że nigdy już tego nie nadrobią, że straci tę przyjaźń bezpowrotnie, opuszczając Aśkę w takiej chwili, ale opanowały ją niemoc i strach. Niemoc, bo jak mogła rękę przyłożyć do czegoś, co uważa za zabójstwo? Strach, bo wiedziała, że nie zawsze bywała taka pryncypialna, nie zawsze taka kategoryczna, i przyjaciółka była jedną z trzech osób na świecie, które o tym wiedziały. Jedyną, która akceptowała jej wybór w pełni.

Po kilku próbach udało jej się skontaktować z Izką Kostecką. Postanowiła wyciągnąć ją na spacer i spokojnie wypytać o sytuację chłopców. Minęła blok przytulona do ściany budynku. Nikt z obecnych na podwórku nie zwrócił na nią uwagi. Tylko bezdomne koty wyglądały, jakby szykowały się na nią zapolować. Jakby zdawały się mówić, że im nie umknie żaden uciekający z tonącego okrętu szczur.

– Myślałam, że pobiegamy? – zdziwiła się Kostecka ubrana w T-shirt z krótkim rękawem i legginsy.

Eryka wzruszyła ramionami.

– Nie mogę. Przecież jestem w ciąży.

– Wow! – Izka wyszczerzyła zęby. – Gratulacje! Jednak będzie maleństwo? – Szybko się zreflektowała. – To znaczy, że dalej jesteś w niby-cięży?

– Sama mi to doradzałaś! – Eryka zrzuciła z głowy szalik i szczerzej otuliła szyję. Syknęła z bólu.

– Co ci jest?

– Pękł mi chyba kręgosłup. Moralny. Łeb też mi pęka. Ciągłe mi dudni w głowie. Modlą mi się pod blokiem, ale niestety nie za mnie.

– Daj mi dwadzieścia minut, skoro już się ubrałam, i pójdziemy do mnie pogadać. Muszę się trochę rozgrzać.

Las wreszcie pachniał wiosną. Słońce przebijało się przez hojnie obsadzone pąkami konary drzew. To był jeden z takich dni, na które czeka się od deszczowego listopada, poprzez pochmurne miesiące zimowe – prawdziwy, o miesiąc spóźniony, pierwszy dzień wiosny. Eryka zeszła ze ścieżki, rozejrzała się wokoło, podciągnęła kusą spódnicę, opuściła rajstopy i przykucnęła. Taki popularny teren spacerów, a nie postawią tam nawet toalet.

Nie zauważyła, że od samego domu śledził ją niepozorny, niewysoki chłopaczek. Obserwował, jak sika, wciąga majtki i rajstopy, depta chronione kwiaty, obciąga nisko kurtkę. Podszedł i powiedział jej prosto w twarz:

– Niebezpiecznie tak samej w las chodzić i dupę wystawiać. Żeby nie było potem, że nie ostrzegałem. Z Bogiem.

A potem, jak gdyby nigdy nic, ukłonił się szarmancko i zniknął pomiędzy drzewami. Eryka pobiegła kilka kroków za nim, ale zdawał się jej po chwili jakimś ulotnym fantomem z koszmarów. Na ścieżce wpadła prosto na Izkę, która po kilku kilometrach treningu, widząc koleżankę w jeszcze gorszym stanie, natychmiast zaproponowała jej ciepłą herbatę u siebie.

– Powtarzam ci, że mnie nie nachodzą. Siadaj wreszcie. Nikogo nie ma przy śmietniku.

Zapadły się w siedziska, które dostosowały się kształtem do ich sylwetek. Eryka wzięła głęboki oddech i zawahała się, czy ponownie zrelacjonować koleżance spotkanie w lesie. Izka najwyraźniej zrelaksowana joggingiem nie wydawała się przejmować pogróżkami. Osuszyła włosy ręcznikiem, potem wklepała krem i dopiero teraz, unieruchomiona w worku sako wypchanym styropianowymi kulkami, była gotowa wysłuchać Eryki.

– I nigdy wcześniej go nie widziałaś? Nie znasz go?

Eryka pokręciła przecząco głową. Chłopak był tak młody, że mógł być uczniem jej szkoły z rocznika, który niedawno opuścił tę placówkę. Jednocześnie biła z niego determinacja, tak obca nastolatkom, chowającym się jeden za plecami drugiego jak stado myszy uciekających z pola podczas żniw.

– Nie, ale miał nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Co dokładnie powiedział?

– Że to ostrzeżenie i mam więcej nie wchodzić do lasu.

– Hmm. – Izka westchnęła i wyciągnęła przed siebie nogi. – Świat jest pełen wariatów.

– Łatwo ci filozofować, bo nie wiesz, co to znaczy, kiedy pod twoimi oknami odmawiają cały dzień różaniec.

– Bajtak rozpuszcza plotki, że lubisz dzieci. Na razie nikt nie traktuje tego poważnie, ale to cholernie poważne oskarżenie.

Eryka przyglądała się Izce z otwartymi ustami.

– On nie cofnie się przed niczym – rzekła.

– Na to wygląda. Uruchomił swoje kontakty, nie mam już dostępu do chłopców. Wiem tylko, że kurator rozmawiał z Kicińską, ale chyba nic nowego nie wniosła, jej się to zamieszanie nie opłaca. Mogę ci jakoś pomóc?

– Mnie? Przecież ta sprawa dotyczy także ciebie. Nie boisz się?

– Przywykłam. Jakiś czas temu jedna matka straszyła mnie samobójstwem. – Izka przełożyła talerz z ciastkami ze stolika na podłogę bliżej pufów, obracała w ręce anyżki i ostatecznie zdecydowała się na jeden. Trudno powiedzieć, jakim kierowała się kryterium, gdyż wszystkie były tak samo małe, białe i pachnące.

– I co?

– Powiesiła się w końcu.

– Boże... to straszne.

– Ta kobieta szantażowała tak kilka innych osób. Bardzo chciała się zabić. Nie mogłam jej powstrzymać.

– Ale ja się boję akurat o własne życie.

Zagwizdał czajnik.

– Melisę czy zieloną? – Izka podniosła się leniwie.

Po chwili wróciła z filiżankami, Eryka wpychała w siebie akurat dwa ciastka naraz, co nie umknęło uwadze gospodyni, ale nie skomentowała tego. Eryka poczuła się wywołana do odpowiedzi.

– Przypomniały mi się te anyżki w cukierni naprzeciwko szkoły. Pamiętasz? – odezwała się. Włożyła kolejne ciastko pod język i czekała, aż się rozpuści. Tak jej najbardziej smakowało.

– Pewnie. I Janka pamiętam.

Ich przyjaźń zaczęła się od anyżek i na anyżkach się skończyła, gdy okazało się, że Janek z II „b” obu im ofiarował papierowe torebki pełne tych słodkości, co obie przed sobą zataiły.

– Niezły palant – uściśliła Izka. – Cały rok chodził w tenisówkach. Zimą suszył je na grzejnikach.

– Akurat tenisówki to fajne były – ożywiła się Eryka. – A te jego kolorowe sznurówki furorę robiły.

– Dwie różne. Ale kretyn.

– To my byłyśmy kretynki, żeśmy się o niego pokłóciliśmy.

Zaśmiały się obie. Od dawna nie wspominały szkolnych lat. Eryka czuła się w mieszkaniu Izki równie swobodnie, jak dawniej u niej w bursie. Nie było potrzeby wracać do sprawy rzeczywistych lub domniemanych pogroźek. Zbyt ładnie świeciło słońce. Zbyt słodko im było na językach. A może to napar z melisy złagodził wewnętrzne napięcie.

– Zagramy w scrabble? – zaproponowała Izka.

Rozłożyła planszę na dywanie w geometryczne wzory. Eryka dostrzegła na nim jakieś stare okruszki. Nie do pomyślenia w jej mieszkaniu. Nie umiała odpoczywać w bałaganie. Izka na strachy serwowała melisę, ciastka i zagadki logiczne.

„Szantaż”, ułożyła siedmioliterowe słowo Eryka i niepokój powrócił.

Dalej czekali pod blokiem. Patrzyli na nią wyzywająco, młodzi – całkiem normalnie wyglądający chłopcy – i dziewczęta ze swoimi dziadkami. Tylko średnie pokolenie zajęte było praktyczniejszymi rzeczami niż walka o przywrócenie światu porządku. To zabawne, że Eryce przyświecał początkowo ten sam cel. A jednak stanęli po drugiej stronie barykady. Ich było wielu, ona jedna, a prawda wcale nie leżała pośrodku.

Minęła ich bez słowa. Oni też się nie odezwali. Jakby jej nie rozpoznali. Nie zauważyła wśród nich młodego szantażysty z lasu. Wpisała kod do domofonu, zasłaniając go ręką. Na wszelki wypadek, bo i tak nie dojrzą, ale kto ich tam wie, mogli zamontować jakąś małą szpiegowską kamerę. Na razie stoją przy śmietniku, ale w końcu ktoś ich przegoni. Wdowa po wojskowym z parteru, któraś z dokarmiających koty emerytek albo ten elektryk spod szóstki. Komuś zaczął przeszkadzać, nie mniej niż jej, ale ona nie ma odwagi kazać im się wynosić. Zresztą niewykluczone, że ktoś do nich dołączy. Na pewno znalazłoby się tu parę osób, które za dobre miejsce na cmentarzu są w stanie jeszcze za życia pochować rozsądek. Trzeba przyznać, że bezpośrednie sąsiedztwo śmietnika sprzyjało sąsiedzkim

konwersacjom. Eryka patrzyła z okna na półpiętrze, jak do zebranych podszedł gruby rencista z jamnikiem. Kiwał głową z uznaniem, a potem jeden z chłopaków wyjął notes i coś w nim zapisał. Na pewno dotyczyło to jej osoby. Czym jednak mogła narazić się temu grubasowi? Nic ich przecież nie łączyło, nawet adres zameldowania mieli różny, bo rencista tylko pomieszkiwał u swoich rodziców. Początkowo odpowiadała na jego pozdrowienia, ale ponieważ bywały nieregularne, z czasem zaczęła odwracać głowę, gdy przechodził. Ceniła sobie zachowania jednoznaczne. Szczególnie w poprzednim wcieleniu, zanim zaczął się ten obłęd, kiedy jeszcze była po prostu Eryką po ojcu, Papicką po mężu, zwaną przez matkę Marią. Wszystko zaczęło się psuć, odkąd zdała sobie sprawę, że sama nie zwraca się do siebie żadnym imieniem. A kto nie ma imienia, ten nie istnieje.

Usłyszała trzask drzwi na dole i pędem ruszyła na swoje trzecie piętro. Za drzwiami mieszkania będzie znowu bezpieczna. Nie włączy komputera. Odwiesi słuchawkę domofonu. Wyciszy telefon. Wtuli się w fotel, włączy *Requiem* Mozarta. Ostatnie wielkie niedokończone dzieło, jak niedokończone zawsze jest życie. Biegła, idąc, szła, biegnąc, jak to ona – zawieszona między chęcią a koniecznością, niczym żaba nad garnkiem wypełnionym wodą. Albo wpadnie do zimnej i nawet nie poczuje, że zbliża się koniec, albo wrzuci ją do wrzasku i wówczas niechybnie zginie od razu.

– No, jesteś wreszcie – usłyszała. Z wnęki między drugim a trzecim piętrem, w której lokatorzy trzymali dziecięce wózki, rowerki lub sanki, podniósł się Bernard Stroicki.

Eryka stanęła jak wryta. Ojciec raz tylko był u nich z wizytą, tuż po ślubie, kiedy przywiózł jej w prezencie siodło. Z rozbieranym spojrzeniem i rozwianym włosom przypominał znowu ojca z jej dzieciństwa. Brzuch nadal był miękki jak poduszka, a ona wciąż była lekka jak piórko i pewnikiem zgodziłby się przewieźć ją z górki na dół w drodze ze szkoły do domu. Nigdy jej przecież nie odmawiał. Podkładał pod tyłek jakąś reklamówkę albo kawałek plastiku, nie wiedzieć skąd, zawsze coś w pobliżu wynalazł, i ruszali na dół. Ojciec szedł potem kawałek w mokrych spodniach i mokrych majtkach, czasem zamarzających w sopel lodu. Wszyscy uśmiechali się do niego, a on do wszystkich, nisko się kłaniając. I nikt, ale to nikt nie widział w tym nic zdroźnego. Poza matką Eryki, która na jego widok wydawała tylko bezradne westchnienie, przechodzące we wrzask, jeśli zdarzyło się, że domownik utrudzony zabawą przysiadł na sofie.

Eryka powstrzymała się przed sprawdzeniem, czy profesor Stroicki ma mokre spodnie, wystarczył jej obraz wielkiej kałuży błota, jaka rozlewała się spod jego niedokładnie wytartych butów.

– Tatusiu? Ty tutaj?

Ileż ciepła było w tym słowie. Od dawna nie myślała o nim inaczej jak „on”, „ten”, częściej „tamten”, z konieczności doprecyzowywała czasem „ojciec”. „Tatusiu” wyrwało jej się spontanicznie i było... całkiem na miejscu.

– Co z ciocią? – zaniepokoiła się. Od kilku dni nie dostała od niej żadnej przesyłki, a zdążyła już przywyknąć do nich na tyle, by odczuć ich brak.

– Z Matyldą coraz lepiej. Zresztą rozmawiałyście przecież niedawno. – Poprawił okulary i Eryka zorientowała się, że troska ojca obejmowała nie tylko ją samą, ale i nowe życie w niej. Już wie. Ścisnęło ją w gardle ze wzruszenia. Albo żalu. W każdym razie nie zaprzeczyła. Przytuliła się do niego. Po raz pierwszy od lat. Po raz siódmy w życiu.

Weszli do pustego mieszkania. Spojrzała na nie krytycznym okiem przybysza. Na pewno nie podobały się ojcu ciemne mahoniowe drzwi w korytarzu, zdziwił ogromny krzyż w miejscu siodła, bardziej nadający się do przydrożnej kapliczki niż do bloku. Stroicki zdjął buty i położył je na przyniesionym w tym celu starym ręczniku.

Eryka także kucnęła, by rozwiązać sznurówki, i nagle znaleźli się blisko siebie. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Uśmiechnęła się tylko, a potem chwyciła go za rękę, gdy pomagał jej się podnieść.

– Chciałem cię uspokoić, Eryko. To nie potrwa już długo. Myślę, że ta ciąża wszystko rozwiąże.

– Jaka ciąża?

– Nie wiesz? Spodziewają się dziecka.

ROZDZIAŁ 28

Zostawić ci samochód? – spytał przy śniadaniu Tomasz.

- Tak, obiecałam Aśce, że odbiorę jej dzieci od teściowej. Ale to dopiero po szesnastej.
- Przecież mamy wizytę u Kosowidzkiego?
- Przez to zamieszanie zapomniałam ci powiedzieć, że odwołał.
- No proszę – zaperzył się Tomasz. – A widzisz! I o czym to niby ma świadczyć?
- Chory jest podobno. Tomek, to się ludziom zdarza.
- Zobacz, teraz chory, a jak mnie próbował namówić na kretyńskie badanie, to jakoś nie chorował.
- Myślisz, że biedak dostał gorączki na samą myśl, że mogą być w ciąży? – Nałożyła maskę ironii Eryka.

– Myślę, że to całe leczenie to niezły biznes, a zdrowa pacjentka to żadna pacjentka. Eryka pominęła milczeniem fakt, że wizyt związanych z leczeniem odbyli co najwyżej trzy. Temat zawsze poruszany był przy okazji jej badań i obecność Tomasza przy pobieraniu cytologii albo badaniu piersi była całkowicie zbędna, a wręcz krępująca. Mimo wszystko upierał się, żeby jej towarzyszyć. Jakby się obawiał, że za jego plecami zajdzie w ciążę jedną z – jak mawiał wulgarnie – weterynaryjnych metod. Nigdy nie miała odwagi go wyprosić.

- To chcesz samochód? – dopytywał naburmuszony.
- Mówię ci, że dzisiaj mi się przyda.
- Ale jak te dzieciaki przewieziesz? Mandat tylko dostaniesz. I to potrójny! – zauważył uszczypliwie.

Eryka przygryzła wargi, żeby się nie wygadać. Nie twierdziła przecież, że ma te dzieciaki gdziekolwiek przewozić. Ma je tylko odebrać z domu babci, wyprowadzić za róg i przekazać Aśce. Wszystko po to, by Sosnowska uniknęła kazania teściowej, że w tej rodzinie rozwodów nie ma. Zdrady – to co innego. Normalna kolej rzeczy, że mężczyzna szuka młodszej. Tego mądra kobieta nie zauważa, jak mądrzy mężowie udają, że nie widzą rozstępów i obwisłych piersi. Bo dzieci są najważniejsze. Bo wszystko dla dobra rodziny.

Eryka mogłaby Tomaszowi samochód zostawić, ale czuła coraz większą satysfakcję z uprzykrzania mu życia. Tak. Obowiązkowo powinno się poznać przed ślubem przyszłych teściów. W rzeczywistości poślubia się ich kopie sprzed trzydziestu lat. Z czasem psuje się nawet głupie jajko, a co dopiero człowiek. Gdyby Aśka Sosnowska przypatrzyła się rodzicom męża, zwiewałaby gdzie pieprz rośnie po jednym niedzielnym obiadku, na który tatuś zwlekał się z ciepłego łóżka kochanki. Bo wspólny obiad – święta rzecz. Gdyby Tomasz przyjrzał się profesorowi Stroickim, pojąłby od razu, że sensem życia niektórych jest nie dać żyć innym. Kto nasiąknie jadem w dzieciństwie, będzie go sączył przez resztę

życia. To groźniejsze niż teflon.

– Przykro mi. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Nie chcesz chyba, żeby ktoś mnie zobaczył, jak urządzam wycieczki po osiedlu. Zresztą kobieta w ciąży to chodzący pomnik. Zobacz, taka Elżbieta, nikt jej już teraz nie ruszy. Ani jej, ani mnie.

– Miałem jechać na Żoliborz. – Nie wdawał się w rozważania, co wzbudziło lekką podejrzliwość Eryki. – Trudno, jakoś się dotelepię.

I wtedy Eryka znowu to zrobiła. Skapitulowała. Na złość Tomaszowi potrafiła upierać się przy rzeczach mało istotnych, bronić ich jak autentyczności Ewangelii, ale natychmiast składała broń, gdy tylko on odpuszczał.

– No dobrze, ale podwieziesz mnie do Hermanowej? – poprosiła Tomasa. – Tylko po zwolnieniu do niej pójde. Jeszcze tydzień i wrócę do pracy. Skończy się ten cyrk.

Tomasz wyraził wątpliwość, czy to najlepszy pomysł, by szła do doktor Herman.

– Odradzam. Czy to już nie przesada? Akurat do niej po to zwolnienie?

– Daj spokój, ostatnio zadziałało. Jest nam bardzo życzliwa, lub raczej tobie. A na ciążę mówi wyłącznie „stan błogosławiony”.

– Jak chcesz. A ten szarlatan Kosowidzki na kiedy nas zaprosił?

– Za tydzień w piątek.

– Przed majowym weekendem? Coś czuję, że znowu odwoła.

– Zobaczymy – odpowiedziała z ulgą, a nawet radością z faktu, że do tego czasu spektakularnie poroni w terminie miesiączki i żadna wizyta nie będzie konieczna. Sąd wypuści dzieci Bajtaków do domu i wszyscy o tym przykrym epizodzie przez wakacje zapomną. W nowym roku szkolnym Eryka dostanie angielski w szkole i poprowadzi go tak, że wszystkim w piąty pójdzie. Szczególnie Kicińskiej, która zdawała się zgadzać z Kwiatkowską, kiedy ta narzekała, że w szkole języka nie da się nauczyć. A potem, gdy sprawa ucichnie, Eryka na poważnie umówi wizytę u Kosowidzkiego. Bo przez ostatnie dwa tygodnie Tomasz pokazał, jak dobrym mógłby być ojcem. I naprawdę mu uwierzyła, choć nigdy wcześniej tak często się nie okłamywali. Tak, to był jeden z tych dni, gdy ciemne chmury zasłoniła plandeką z beduińskim haftem i znowu odzyskała święty spokój.

W przychodni panowała napięta atmosfera. Od czasu, gdy placówka podpisała kontrakt z NFZ, istotnie obniżył się standard obsługi. Starsi pacjenci zamiast stać w kolejce do rejestracji, siadali po zajęciu miejsca na krzeselkach pod ścianą i zniecierpliwieni wstawali, gdy zbliżał się ich numer. Za każdym razem wybuchały konflikty. Eryka sprawdziła, że doktor Herman przyjmuje po południu, i ucieszyła się, sądząc, że większość osób zostanie do tego czasu przebadana przez innych lekarzy i z żadną z nich nie spotka się pod gabinetem.

Tak jak się spodziewała, zanim doszła do kontuaru, skończyły się numerki. Recepcjonistka niechętnie wysłuchiwała Eryki, zaproponowała jej konsultację u lekarza dyżurnego, ale ta nalegała na wizytę u doktor Herman, tłumacząc się, że jest wprowadzona w historię jej choroby. Próbowowała argumentować, że potrzebuje wyłącznie recepty, którą lekarka na pewno jej wypisze. Kobieta spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta.

– Proszę przyjść przed dwunastą albo po osiemnastej. Pani doktor zaczyna w południe, ale zwykle przyjmuje nieco wcześniej. Pani spróbuje. Gabinet piętnaście, pierwsze piętro, po lewej przy windzie.

- Mogę od razu zabrać kartę?
- Nie trzeba, pani doktor musi się najpierw zgodzić – wyjaśniła opryskliwie recepcjonistka.

Nie miała nic do roboty, usiadła więc przed gabinetem i zaczęła bawić się telefonem. Od jutra zaczynała się przerwa w szkole, więc zwolnienie było jej potrzebne wyłącznie do sądu. I to tylko w razie konieczności. Nie dostała przecież żadnego wezwania, ojciec uprzedzał ją, że skład sędziowski wydaje orzeczenie bez świadków. Po wstępnym zapoznaniu się z dokumentami decyzja została już podjęta. Opinia Eryki byłaby brana pod uwagę w razie dalszych kroków prawnych, których nie przewidywano. Dzieci wrócą do domu i będą oczekiwać narodzin dzidziusia. Ona wróci do pracy i będzie oczekiwać ciąży. Dopadło ją poczucie osamotnienia. Wyłączyła wcześniej telefon, obawiając się pogróżek, tymczasem lista nieodebranych połączeń była pusta. Nawet Aśka się nie upewniała, czy Eryka pamięta o ich umowie i na pewno odbierze dzieci. Na Eryce można polegać jak na Zawiszy. Nikt nie dzwonił, jak jeszcze miesiąc wcześniej, by zaprosić ją na warsztaty przygotowywania potraw wielkanocnych (i tak by nie skorzystała, bo męczyły ją matki ciągle paplające o tym, które z ich dzieci je tylko białko, a które opycha się samymi żółtkami) albo na domową drogę krzyżową (tu czasem ulegała milczącym napomnieniom Tomasza i brała udział, przeżywając męki). Czasem proszono ją o przypilnowanie dzieci w parafialnej świetlicy, zawsze narzucając jej program. Pamięta, jakim przerażeniem napawały ją korony cierniowe, wykonane w zeszłym roku z wykałaczek. Gdy dziecko dotrzymało postu, z korony wyjmowano wykałaczkę, gdy postanowienie złamało, musiało wykałaczkę w koronie umieścić po wysłuchaniu bolesnej opowieści o Męce Pańskiej. Miałyby chęć zająć do Piotrka i Pawełka, pocieszyć, że niedługo wyjdą. Jakby się nic nie stało. Czy przeprosić? Nie. W końcu to nie ona skłamała. Tym razem nie wzięłyby krówek. Ewentualnie jakieś mniej klejące cukierki.

Eryka nie spodziewała się, że Hermanowa wyjdzie z windy prosto na nią. Tak samo zaskoczona była zresztą lekarka.

– Kogo ja widzę? – zasyczała gniewnie, ale opanowała emocje, gdy się zorientowała, że przysłuchują się pozostali pacjenci. – Będę wzywać po nazwisku – zapowiedziała, po czym zamknęła za sobą drzwi gabinetu i zapaliła lampę z napisem „Proszę nie wchodzić”.

– Jaki ma pani numer? – zareagowała od razu starsza kobieta.

– A pani? – rzuciła agresywnie Eryka. Było coś niepokojącego w zachowaniu Hermanowej. Chłód, który w połączeniu z przestrogą Tomasza układał się w ostrzegawczy wzór wykrzyknika.

- Pierwszy.
- Gratuluję, a na którą godzinę?
- Na dwunastą.
- To jeszcze chwila. A ja zerowy. Na jedenastą pięćdziesiąt.
- Zerowy? – Staruszka uniosła brwi w zdziwieniu.
- Szczególnie zakaźne przypadki – wyjaśniła Eryka i schowała telefon do torebki.

Drzwi otwarły się z impetem, jak gdyby Hermanowa miała zamiar w porę przerwać tę konwersację, zanim przemieni się w awanturę.

- Proszę, pani Papicka – zaprosiła Erykę gestem do środka.

Eryka weszła i od razu poczuła, że nie jest tu mile widziana.

– Nie mam cię wpisanej w system – zaczęła doktor.

– Nie było już numerków.

– W takim razie co tu robisz? Zaniemogłaś czy znowu chcesz wyłudzić zwolnienie?

– Jak to: wyłudzić?

– Wiesz, że mogę przez ciebie mieć kłopoty z ZUS-em? Zwolnienie z „dwójką” jest pełnopłatne, dałam ci takie, bo do głowy mi nie przyszło, że jesteście z Tomaszem w zmwowie. Dawać świadectwo kłamstwu? Tego bym się po nim nie spodziewała.

– O czym pani mówi?

– O tym, o czym cała dzielnica, a może i Marysin wiedzą. Wojtek Bajtak usłyszał od dyrektorki, że cała ta twoja ciąża to zasłona dymna. Masz coś na swoje usprawiedliwienie? – dodała, a w jej głosie czuć było rozczarowanie.

Eryka podniosła się z krzesła i chwyciła za klamkę.

– Stój – powstrzymała ją gwałtownie Hermanowa. – „Mowa wasza niech będzie: Tak, tak; nie, nie”, powiedział Pan. Czy twoim zdaniem Elżbieta i Wojtek zasłużyli na to, co ich spotkało?

– Nie da się zaprzeczyć, że istniały pewne nieprawidłowości.

– W tej rodzinie wszystko działa jak należy. Dzieci się rodzą przynajmniej, a Bóg wie, czyjej modlitwy wysłuchać.

Eryka wybiegła z gabinetu i nacisnęła przycisk przywoływania windy. Staruszka, z którą wcześniej zadarła, przyglądała jej się wrogo. Podniosła się z trudem i spytała:

– Pani nazywa się Papicka? Eryka Papicka?

– Tak – potwierdziła zdziwiona.

– Idź do diabła! – usłyszała, zanim została energicznie zdzielona po głowie beretem. Broszka wypięła się z wełny, zaczepiła o włosy i błyszczała w nich jak dowód jej win.

Zawartość torebki Eryki była odzwierciedleniem jej wnętrza. Mieściła w sobie tabletki „po” (wprawdzie przeterminowane, ale jednak) i broszki – antyaborcyjny manifest (niechciany prezent, ale prezent). Ani jednego, ani drugiego Eryka nie mogła tak po prostu wyrzucić. Zgodziłaby się najchętniej, żeby ktoś jej tę torbę z czerwonej skóry ukradł, nie było jednak śmiazków. Pozbawiona wyboru, gdyż wybór oznacza działanie, a ona najbardziej lubiła czekać, aż sprawy rozwiążą się same lub z boską interwencją, Eryka przyciskała torbę do siebie jak samobójca bombę z włączonym zapalnikiem.

Ulicę znalazła bez problemu. Odprowadzała Aśkę do teściów już parę razy. Podwórze wzbogaciło się o piaskownicę i huśtawkę, szczelnie zasłonięte przed ciekawskimi oczami przechodniów roslimi tujami, które sadzili wspólnie z teściem po narodzinach Kaśki. Dobrze się przyjęły. Głębiej zapuściły korzenie niż Łukasz. Eryka zadzwoniła do furtki, ale nikt nie otwierał na tyle długo, że nacisnęła klamkę, a potem przekręciła klucz w furcie. Pies zdechł jakiś czas temu i pozostała po nim tylko ostrzegawcza tabliczka. Przyjrzała się uważnie oknom, ani śladu ludzkiej obecności. W ogóle dziwnie pusty wydał jej się ten ogromny dwupiętrowy dom. Przeszło jej przez myśl, że Łukasz porwał dzieci. Takie rzeczy się zdarzają, o czym ciągle trąbią media, niektórzy piszą nawet o tym książki, które

wskakują na listy bestsellerów. Ludzie z upodobaniem czytają o okrucieństwach, jakby ich życie nie było jeszcze dość przykre. Eryka nacisnęła dzwonek u drzwi. Otworzył się natychmiast. Stała w nich matka Łukasza. Szeroko rozstawiła nogi, skrzyżowała ręce i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Tupet to ma, no, no, no... – zaczęła.

Nic dziwnego, że Aśka wolała się z nią nie widzieć, jak teściowa na nią przy obcych najeżdża.

– Asia miała uprzedzić.

– Tupetu to jej nie brak. Myśli, że jej dzieci dam?

Eryka zrozumiała, że nie synową ma na myśli. Nie miała czasu zastanowić się nad sensowną ripostą, bo kobieta ciągnęła wywód:

– Dzieci zabrać chciała? Niech się sama stąd zabiera, zanim ją karetka zabierze, bo nie ręczę za siebie. Moich wnuków takiej nie oddam.

– Matka, do domu! – nakazał stanowczo Łukasz. Poskutkowało. Zostali sami i Łukasz zaprosił ją do środka, przeczesując mokre włosy rękoma. – Widzisz, nawet pod prysznic nie mogę pójść.

– Ja to wszystko słyszę – dobiegł głos zza zamkniętych drzwi ganku.

– Dzieci, mam, lepiej ubieraj, pani Papicka do domu odwiezie! – krzyknął, po czym zwrócił się do Eryki: – Zaraz zejda. Jesteśmy teraz sąsiadami – zażartował i zapadła krępująca cisza.

Przyglądał się jej trochę rozbawiony, trochę zaciekawiony, a trochę z naganą, jakby to ona właśnie wyprowadziła się do kochanki i namówiła żonę do aborcji.

– Co u niej? – spytał wreszcie.

– Mało ostatnio rozmawiamy.

– Mnie też unika.

– Dziwisz się? – spytała takim tonem, że nie miał już nic do dodania.

Wzruszył tylko ramionami i zapalił papierosa.

– Ja wszystko czuję – odezwała się ponownie jego matka.

Na schodach rozległo się dudnienie. Kaśka i Antek ścigali się między sobą i potem walczyli o to, któremu z nich uda się przekręcić gałkę u drzwi. Szyba ostała się cudem. Dzieciaki złapały Erykę za nogi i zaczęły się ganiać wokoło.

– A mały gdzie? Spodziewałam się trójki.

– Z matką. Oni się nie rozstają. Ciągle go karmi. W dzień i w nocy, rozumiesz?

To już przesada, żeby od niej domagać się zrozumienia! Chwyła Kasię za rękę, Antek się wyrwał, więc pod kurtką mocno przytrzymała go za nadgarstek. Spociała się, czekając na nich, na dodatek kurtka przeszła smrodem papierosowego dymu.

– To cześć – pożegnała się i wyszła.

Odetchnęła dopiero za furtką, a kiedy zniknęła za rogiem, rozluźniła uścisk i zwolniła kroku. Była skrajnie zmęczona i zachowanie dzieci ją drażniło. Antek robił balony z gumy do żucia, pokleił sobie przy tym całą brodę, a Kasia domagała się świeżej gumy, bo starą niechcący połknęła, próbując naśladować brata. Aśka powinna czekać pod Biedronką, ale nigdzie jej nie było.

– Dobrze, chodźcie, kupię wam tę gumę – skapitulowała.

Niestety wejście do sklepu pogorszyło tylko sprawę. Nie znaleźli ulubionej gumy, a Kaśka nie mogła się zdecydować na nic innego, pewnie rozpraszały ją coraz większe balony, którymi popisывał się Antek. Prawdziwy horror rozegrał się przy lodówkach, bo okazało się, że wprawdzie gum nie ma, za to lody występują we wszystkich ulubionych smakach.

– Mogę kupić Kasi loda? – spytała przez telefon.

– No co ty, w takie zimno? – Aśka przekrzykiwała wrzeszczącego niemowlaka.

– Co mu jest? – Eryce coraz trudniej było ukryć irytację.

– Głodny jest, obudził się. W korku go nie nakarmię. Za kwadrans jestem. Weź je na plac zabaw zamiast lodów. Dasz radę.

Kaśka i Antek, zwani już w myślach „bachorami”, rzeczywiście dali się przekonać, że im szybciej opuszczą sklep, tym dłużej pobawią się na placu. Odprowadzani wzrokiem przez ochroniarza po chwili znaleźli się na ulicy. Eryce zdawało się, że uwziął się na nią cały świat. Kierowcy zbyt długo się nie zatrzymywali na przejściu, a kiedy stanęli, to na zebrze. Jakiś pies, jeden z tych ujadających na wszystko kurdupelków, obszczał całą trójkę, co Eryka starała się przyjąć z godnością. Nie chciała, by szczekanie weszło jej w nawyk, choć była bliska, by powiedzieć, co o tym myśli.

– Pussy, Pussy, zostaw. On nic nie robi! – wołała czterdziestka z odrostami dłuższymi od tipsów.

Kaśka szarpała Erykę za płaszcz i z płaczem chowała się za nią przed kudłatym mikrusem.

– Sio! – tupnęła Eryka, aż zatrzęsły się huśtawki.

– Sio to może do swoich dzieciaków wołać! – oburzyła się tleniona blondynka.

– Niech pani zabiera tę cipę z placu zabaw, zanim na dobre się wkurwię – usłyszała Eryka i rozejrzała się z niedowierzaniem. Doprawdy, rzecz niebywała, głos wydobywał się z niej. Odkryła ze zdumieniem, że czystą łaciną mówi bez udziału świadomości, bieglej niż po aramejsku.

– To nie pani podwórko – zaprotestowała kobieta dobrze znanym Eryce z dzieciństwa argumentem. – Co się rządzi?

Rozbawiło ją to, a może ciało domagało się rozluźnienia, bo niechcący, naprawdę nie celowo, tylko jakoś samo przez się, podniosły jej się ramiona i wstrząsnął nią śmiech. Kiedy kobieta popukała się po głowie i krzyknęła po raz kolejny: „Puuuussy!”, Eryka skulona ze śmiechu zalewała się już łzami na tartanowej nawierzchni. Po chwili dołączyła do niej Aśka. Rechotały obie, starając się powstrzymać głupawkę, żeby nie obudzić nakarmionego i słodko śpiącego niemowlaka. Rozłożyły ramiona szeroko, wciąż na leżąc złapały się za ręce i popatrzyły sobie w oczy. To był błąd. Jedno spojrzenie doprowadziło je do czkawki, a czkawka do kolejnego napadu. Klęły zawzięcie po angielsku jak małe dziewczynki, które podsłuchały dorosłych mówiących brzydkie wyrazy. Wreszcie zrzuciły z serca ciężar nagromadzonych latami frustracji.

– To było lepsze niż orgazm – stwierdziła Eryka.

– Oralna masturbacja zawsze dobrze robi psychice – zgodziła się z nią Aśka.

– Podasz mi chusteczkę z torebki? Cała się zasmarkałam – poprosiła Eryka.

Aśka włożyła rękę do dużej kieszeni torebki i głośno syknęła. Obracała broszkę

w dłoniach, uważnie przyglądała się stópkom. Eryka wzięła zamach ręką i wycelowała woreczkiem z zawartością w kubel na śmieci. Wyjęła chusteczkę, podała przyjaciółce i serdecznie ją objęła. Ale nie mogła przestać myśleć, gdzie są tamte stópki. Nie mogła tak bardzo, aż znowu się popłakała.

ROZDZIAŁ 29

W ten czwartek, gdy rozstrzygnąć się miały losy Bajtaków (i jej), postanowiła być wśród ludzi. Pojechała tam, gdzie nikt nie mógł jej niepokoić, wszyscy bowiem zajęci byli sobą. Wpatrzona w wyświetlacz telefonu w kawiarni z wi-fi w Centrum, siedząc w kucki na głębokim fotelu, który przytulał przed nią inne potłuczone dusze, rozejrzała się dokoła. Same dzieciaki. Licea pozamykane, wielka wieczerza odbywa się przy kawiarnianych stołach. Nie prowadzili hałaśliwych dysput, całkiem inaczej niż w czasach jej dorostania. Każdy z osobna wpatrywał się w ekran, niektórzy oglądali filmy ze słuchawkami na uszach. Eryka sięgnęła po prasę codzienną, ale odłożyła ją zirytowana, gdy na jednej z pierwszych stron znalazła doniesienie o kolejnym księdzu pedofilu. Niebawem rodzice przestaną ze strachu wysyłać dzieci na religię. Czas płynął jej wolno. Minęło południe. Zanim zamówiła kolejną kawę, długo wpatrywała się w tablicę. Zapomniała, że życie oferuje aż tak szeroki wybór. Że kawa nie ogranicza się do napoju z brązowych granulek zalanych lekko przestudzonym wrzątkiem. Zdecydowała się spróbować czegoś nowego, ale ze względu na cenę wzięła najmniejszy kubek. Napój okazał się być zbliżony w smaku do latte, którą wypiła wcześniej. Ziewnęła. A więc wybór jest tylko złudzeniem. Rzeczywistość jest płytka jak ten kubek, ratuje nas jedynie wyobraźnia. Po czternastej wyjęła komórkę i sprawdziła forum. Ktoś lamentował, że pogotowie opiekuńcze to najgorsza przechowalnia zbędnych ludzi, pełno tam patologii, przemocy, narkotyków. Wychowawcy są sfrustrowani i agresywni, a dzieci wychodzą z takich miejsc z nieuleczalną traumą. Eryki nie zdziwił podobny ton. Starali się oddzielić jasność od ciemności tak usilnie, że nie zauważyli, że jedno i drugie w nadmiarze tak samo oślepia. Po piętnastej podano, że sąd zezwolił dzieciom wrócić do domu. Bajtakowie zgodzili się kontynuować terapię. Na forum dominowała atmosfera entuzjazmu. Największe krzywdy mają sens, jeśli tylko objawia się przez nie łaska Boga.

Po wyjściu z kawiarni wykręciła numer ojca. Jeśli ktoś mógł jej wyjaśnić, o co w tym od początku chodziło, to tylko profesor Stroicki, który miał za sobą niejedną podobną sprawę w sądzie.

– Jestem akurat w Bibliotece Narodowej – usłyszała jego szept. – Przyjdź tutaj. To zbyt skomplikowane na telefon.

Spotkali się przy szatni. Ojciec, zaniepokojony dobrym humorem córki, zaproponował jej zamiast trzeciej kawy spacer. Ledwie weszli do parku, a profesor zaczął iść do tyłu. Przemilczała to, od razu pożałowała, że zwróciła się do niego. Dziwak. Rację ma matka. Nieszkodliwy, ale dziwak.

– Rozmawiałem z adwokatem Bajtaków. Sprawa wydaje się być zakończona.

– Mają adwokata?

- Oczywiście. Przecież złożyli zażalenie.
 - I ten adwokat nie wie, że jestem twoją córką? Gadał z tobą?
 - Przecenisz swoją rolę, Erysiu – uspokoił ją ojciec. – Nie popełniaj tego błędu. Znaczymy mniej, niż nam się wydaje. Mogłabyś się do końca życia zadreć wyrzutami sumienia. Że pomogłaś albo nie pomogłaś, zawsze można mieć do siebie o coś żal. Tylko że bez ciebie i tak by do tego doszło. Jakaś gruba ryba posmarowała, żeby utrzyć facetowi nosa, przypadkiem znalazłaś się w złym miejscu i o złej porze.
 - Pediatra, psycholog, policja. Oni wszyscy dali się nabrać?
 - To nie jest święta rodzina. Mają swoje problemy, które ktoś wywlekł i podał wam na talerzu.
 - Kto?
 - Tej informacji akurat ci nie zdradzę.
 - Dlaczego?
 - Mniej wiesz, dalej zajedziesz. – Profesor rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Powiem ci tak: mogę podać wiele innych adresów, pod które powinni zapukać kuratorzy. Całe szczęście tego nie robią. Państwo nie ma twarzy. A rodzice mają te swoje krzywe ryje, ale są.
 - Uważaj, tato, wpadniesz na kosz.
 - Nie wpadnę. Chciałem ci tylko coś zademonstrować. Widzisz, dokładnie tak postępuję. Nie szukam miejsc, gdzie nie ma koszy na śmieci, tylko nauczyłem się je omijać. To jest mój życiowy surwiwal.
 - Więc co ja mam zrobić? Jak mam to wszystko odkręcić? Ty mi ciągle powtarzałeś, że powinnam się angażować.
 - Gdybym tylko wiedział, że mnie słuchasz, uważałbym bardziej na słowa... To nie ty sprawiłaś, że rzeka płynie. Nie ty ją zatrzymasz. Tylko ludzie próżni łudzą się, że jest inaczej.
 - Przemawiasz do mnie zagadkami. Na dodatek wszyscy się gapią, jak idziesz do tyłu.
 - To pobudza komórki do myślenia. Wykonujesz niestandardową czynność i tym samym ćwiczysz umysł.
 - Bez sensu, tato.
 - Spróbuj. To chińska metoda.
- Eryka stanęła przodem do budynku biblioteki, a tyłem do ojca, który cofnął się jeszcze o parę kroków.
- Chodź – zachęcał. – Za tobą równy chodnik.
 - Boję się, że się przewrócę.
 - Chodź, jestem tu, pomogę ci.
- Eryka bez przekonania zrobiła krok w tył. Potem śmieiej kolejny i kolejny. W końcu oparła się o miękki brzuch ojca.
- Widzisz? To chińska metoda, bardzo przydatna w życiu. Cofnij się, ale patrz przed siebie.
- Lepszej rady nie mogła usłyszeć.

Tomasz nie tracił czasu na rozważanie, czy kurier zostawił awizo, ponieważ nikogo nie zastał w domu, czy po prostu przerzucił – w dosłownym sensie – ciężar na barki adresata, bo nie chciało mu się nosić paczki na górę. O wiele bardziej zaprzętała mu głowę kwestia, co niesie z poczty na plecach. Nie uwierzył Wojciechowi, gdy zadzwonił do niego wzburzony po ostatniej wizycie w pracy Eryki. Nie rozumiał, jak Eryka mogła udawać ciążę. Nie – jak mogła udawać w ogóle – tylko przed nim. Słyszał o tym, że kobiety czasem kupują w internecie testy ciążowe z pozytywnym wynikiem. Sam przecież widział dwie kreski. Czy w swoich kłamstwach mogła posunąć się tak daleko, by zamówić także łożeczek?

Mało prawdopodobne. Jej mina nie pozostawiała wątpliwości, że o przesyłce nie miała pojęcia. Nadąsała się i wysyczała:

– Po co łożeczek? Trzeba było poczekać, wszystko się może jeszcze zdarzyć.

– Co by się miało zdarzyć? To przecież przesady, kochanie.

– A więc jednak – Eryka zmarszczyła czoło – cierpliwość jest obcą ci cnotą. Najpierw świadectwo o wiele za wcześniej, teraz zaczynasz urządzać mieszkanie. A jeśli ta ciąża to blef, to co? No wiesz, jak się nie uda.

Na te słowa Tomasz aż usiadł z wrażenia.

– Zaadresowane na nas oboje – zauważył.

– Przyniosę nożyczki.

Najpierw zdarli folię i papier, potem kolejną warstwę folii, aż wreszcie dotarli do gładkiej faktury bielonego drewna. Patrzyli oniemiałi na pachnącą jeszcze sosną i lakierem dziecięcą trumnę.

Wyjęta ze środka kartka nie pozostawiała wątpliwości. Nie było mowy o żadnej okrutnej pomyłce. Nawet Eryka, która tłumaczyła sobie zło i niepowodzenia na rozmaite sposoby i znajdowała usprawiedliwienie dla wszelkich ludzkich słabości, tym razem poczuła, jak przeszywa ją zatruta nienawiścią strzała. „Niszczysz rodziny. Bóg ci tego nie wybaczy”. Boski mściciel postanowił dać jej nauczkę i za sprawą tego rekwizytu osiągnął swój cel.

– Wyniosę to. – Szybko poderwał się Tomasz.

– Gdzie? Do piwnicy? Czy może za sofę do dużego pokoju? A może przykryjemy serwetą i posłuży nam za stół?

– A co chcesz zrobić? – warknął na nią.

– Trzeba zawiadomić policję.

– Nie – zaprotestował. – Mało masz kłopotów? Sami sobie poradzimy.

Tomasz przesunął pakunek pod drzwi wejściowe, usiadł na nim i podparł głowę rękami.

– Nie jestem pewien, czy to ma związek ze sprawą Bajtaków – zaczął ostrożnie. – To nie w ich stylu.

– Taaa... – Czego innego mogła się po nim spodziewać?

– Nie panikuj.

– Siedzisz na dziecięcej trumnie i dajesz mi takie rady?

– Siedzę na kawałku drewna.

– Zwariowałaś? – Poczuła, jak wściekłość przeradza się w siłę. Wspięła się na trumnę i sięgnęła po ogromny krzyż wiszący nad drzwiami. Zdjęła go. – A to? Czy to też tylko

kawałek drewna? Przyda mi się do mieszania zupy w garnku. Niezły uchwyt.

– Przestań, Eryko. Słyszać cię w całym bloku.

– Nie martw się, Bóg i tak nie usłyszy. Gdyby był, w życiu tak by się nie pomylił – burknęła, ale się opanowała. Osunęła się pod ścianę. Kiedy Tomasz wstał, by ustąpić jej miejsca, machnęła ręką, co miało znaczyć, że nie ma zamiaru siadać na dziecięcej trumnie, którą ktoś wrzucił jak granat w sam środek jej marzeń o dziecku. Zrezygnowana jednak usiadła.

– Wiesz, kto to mógł zrobić? – spytała cicho Eryka.

– Ktoś z Raju. To pewne.

– Jeszcze nie Raju – sprostowała i zdziwiła się, ile grzechów trzeba popełnić, żeby zbudować niebo. – A skąd wiesz, że nie ktoś z tych, co stoją pod śmietnikiem? Czy dziś stali pod sądem? A jutro co? Skąd pewność, że jutro nie zabarykadują się przed szkołą? To jakiś obłąd.

– Ci z KORB-y są wściekli, przejdzie im. Musisz tylko przestać się ukrywać i wyjść do nich.

– Jak gdyby nigdy nic? – Eryka nie dowierzała własnym uszom.

Skinął głową i przeszedł do łazienki. Nie uznała rozmowy za zakończoną. Stanęła obok niego i patrzyła, jak wyciska resztkę pasty do zębów na szczoteczkę.

– Ale dziecko, sam mówiłeś, że potrzebuje spokoju? – próbowała jeszcze powstrzymać nieuniknione.

– Cii. – Położył palec na ustach. – Nie ma dziecka. Jeszcze go nie ma, Eryko. – Szczotkował zęby, jakby zamierzał oczyścić je ze wszystkich osiadłych na nich kłamstw.

– Wiedziałaś?

– Sama mi powiedziałaś. W Łodzi. Wojtek to tylko potwierdził. – Wypluł pastę i wytarł twarz ręcznikiem. Cała operacja szczotkowania, podjęta w jakże niestosownej chwili, trwała nie dłużej niż pół minuty, co mogło świadczyć tylko o tym, jak nieudolnie Tomasz starał się ukryć napięcie.

– A Elżbieta? – spytała szeptem Eryka.

Tomasz zrozumiał, co chce wiedzieć, ale nie przerwał grzebania sobie między zębami nitką dentystyczną. Wyszczrzył się do lusterka, gotowy na dalszą bitwę, i poinformował Erykę tonem dyktatora:

– Powiemy, że poroniłaś w domu, to będą nam współczuć. Współczucie bardzo nam się przyda, dużo ostatnio przeszłaś, więc płacz, ile chcesz, i żyj dalej. Jutro o dziewiętnastej rusza droga krzyżowa. Sami znajomi. Szykuj się.

– Jesteś chorym człowiekiem, Tomaszu. Zawsze tak mną manipulowałaś? Zresztą, co za różnica, czy zawsze, czy też nauczyłaś się od swojego wielkiego bossa. Z kim ja jestem? Kim ja jestem? – powtarzała bez ładu i składu, jakby do głosu doszła ta część osobowości, którą zbyt długo uciszała. – To moje życie? To się dzieje naprawdę?

– Ćwicz posłuszeństwo mężowi, Eryko, będzie ci łatwiej. Beze mnie teraz nie istniejesz.

ROZDZIAŁ 30

Tylko broda jest prawdziwa, skostatowała Eryka. I nienawiść. Przyszli całą grupą. Nie więcej niż czterdzieści osób. Znani, a jacyś odmienieni. Golgota wawerska. Spektakl dla wybranych. Z rzadka śpiewają, czy raczej zawodzą, ale podobnie jak rok temu, Eryce przechodzą ciarki po plecach na każde wypowiedziane słowo i każdą chwilę milczenia. Znowu daje się na to nabrać. Po drugiej stacji Bajtak zmienia się w Chrystusa. Nawet peruka przestaje być groteskowa. Gdy korona cierniowa wplątuje mu się we włosy, cierpi naprawdę. Nikt Eryki nie przegania. Ale i nikt nie wita. Wszyscy ją widzą, choć nikt na nią nie patrzy. Krok po kroku Tomasz odzyskuje kontrolę nad sytuacją, rozluźnia uścisk na jej ramieniu. Choć atmosfera staje się coraz gęstsza, on powtarza kojącym szeptem, że zagrożenie minęło. Przecież porozmawiali, skruszała. Znow będzie jak dawniej. Czy nie tego chciała? Spokoju? Krok po kroku, stacja po stacji zbliżają się do śmierci Jezusa. Napięcie rośnie, ale Eryka czuje, że z niej uchodzi. Ciągnie się na końcu i wszystkich obejmuje wzrokiem. Myśli o tym, że zawiniła. Że się do śmierci Boga brakiem pokory przyczyniła. Znow, podobnie jak w katedrze, dochodzą do głosu wyrzuty sumienia. Ta droga po piachu i błocie, w ciemności, w asyście wołających o wybaczenie to jej pokuta. Pośród tych, którzy oskarżają i domagają się ukrzyżowania coraz cichszy jej głos. Wyczerpanie daje się poznać i po Bajtaku. Nie jest na tyle dobrym aktorem, by tak zmaleć z upokorzenia i samotności. A taki staje przed nimi i Eryka rozumie, że to nie krzyż tak go zmęczył, nie ten brzozy, pusty w środku, lecz ten życiowy, który wyrósł niczym nos Pinokia na jednym niewinnym kłamstwie sześciolatka i gorliwości pewnej pedagog. Przy szóstej stacji przez nikogo niepowstrzymywana przedziera się przez tłum i wyciera twarz Chrystusowi.

*Kłaniamy Ci się, Panie Jezu, i błogosławimy Tobie,
Żeś przez krzyż i mękę swoją świat odkupił raczył.*

Dała się z powrotem wessać wspólnocie, ciągle trącana łokciami, popychana, deptana po piętach, czuła, że odnalazła siebie w tym rytuale, w tym spektaklu, który przejął ją, jak gdyby rzecz się zdarzyła nie dwa tysiące lat temu, lecz teraz, i jakby ona była po części Piłatem, a po części tym, którego twarz odbiła się w chuście.

Kiedy Bajtaka w ciemności przypinają linami do krzyża, rozlega się szloch. I Eryka znow poddaje się ekstazie. Słysząc stukanie młotka, rozpacz ustępuje ciszy. Elżbieta podchodzi pod krzyż i staje się przez chwilę matką, która nie opuści dziecka swojego, choćby mieli ją siłą od niego oderwać. Klęka zapatrzona w cierpienie, w sens którego trzeba wierzyć z taką gorliwością, z jaką zapewnia się o ponownym spotkaniu umierające dziecko. Bez dowodów, bez ran w dłoniach. Nikłe światło lamp i agonía. Las nasiąka łzami wiernych jak poranną rosą.

Wojtek Bajtak jęczy głośno i w końcu ktoś postanawia zdjąć go z krzyża. Cierniową koronę razem z peruką i strojem składają w prowizorycznym grobie. Po chwili wszyscy rozchodzą się w milczeniu, bez pożegnań. Każdy zatopiony w mroku własnych grzechów roztrząsa tajemnice Golgoty. Jedną idą drogą, ale kruszą się na miliony cząsteczek, roztopiają jak lód w ciepłej wodzie. Tylko niedawne niesnaski krążą jak pyłek między nimi, przeganiane, strzepywane, zdmuchiwane. Eryka prosi Tomasza, by pozwolił jej zostać przy grobie dłużej. Dobrze wie, jest przecież dużą dziewczynką, że nikogo w nim nie ma. Ale czuje, po raz pierwszy od dawna czuje, że tak w ogóle to Ktoś jest.

- Nic nie kombinuj – przestrzega Erykę Tomasz.
- Pomodlić się chcę.
- Chyba że tak.

Las pustoszeje. I cichnie. Eryka odzyskuje spokój. Już wie, że takich jak ona zawsze były dziesiątki, a może setki. Jak ona niepewnych, jak ona wątpiących, jak ona poszukujących. I za nich również umarł Bóg. A może za nich szczególnie. Bo ci, którzy wierzą, lepsi są od tych, którzy wiedzą. Wiara to najwyższy stopień zaufania. Eryka poprawia niewygodną i ciężką czołówkę, której nie lubi, ale która wciąż działa bez zarzutu. Za sobą słyszy trzask gałązki. Ktoś jeszcze wrócił się pomodlić. Ktoś duży i ciężki jak niedźwiedź, bo ziemia aż drży pod jego ciężarem. Ten, kto idzie, sprawia wrażenie zdecydowanego. Eryka nie odwraca głowy, droga krzyżowa to doświadczenie osobiste, każdy przechodzi własną.

- Nabrałaś nas wszystkich – słyszy tuż nad uchem.

Odwraca głowę i świeci czołówką prosto na ogromne jabłko Adama, które drga Bajtakowi pod jasną skórą. Tak samo jak drgają mu wargi, grube, suche, nabrzmiące od wyrzutów. Stanowczym ruchem zdejmuje jej z szyi szalik, którym tak niedawno dokonała aktu żalu, i podtyka Eryce pod nos.

– Czujesz? Tak pachnie grzech. Strachem. Ludzie narozrabiają i boją się kary. I ty się boisz, prawda? Ale nie wiesz, co to znaczy się bać o dzieci.

- Wiem – szeptem mamrocze Eryka.

– Gównu wiesz. Schowałaś się wygodnie z tą ciążą w pustym kurzym jajku. Wszyscy czekają, co się wykluje, a to wydmuszka. Śmierdząca pusta skorupa. To był pomysł Tomasza?

- Nie.

– Zapewnia, że nic nie wiedział. Ta twoja dyrektorka to straszna plotkara. Wymachiwała mi przed nosem jakimś kalendarzem i mówiła, że teraz mamy na ciebie haka. Że już nie podskoczysz.

– Nie chciałam podskakiwać, to mnie usadziła. Przepraszam. – Eryka szarpnęła gwałtownie za szalik, aż czołówka zsunęła jej się na szyję.

– Chwila! Łudzisz się, że możesz tak sobie do nas wrócić?! Że nic się nie stało? Chcesz poczuć prawdziwe pot i łzy, to masz.

Zakneblował jej usta szalikiem. Eryka bezskutecznie się wrywała i nie miałyby szans, gdyby Bajtak się nie opamiętał. Oswobodził ją.

- Mów. Daj mi choć jeden powód, dla którego warto było tak nas upokorzyć.

Cofnęła się o krok.

- Zboczeńcu jeden. Normalnie ci nie staje, co? Powiedz, musisz kobietę skępować,

dopiero wtedy masz erekcję.

– Nie prowokuj mnie – warknął. – Jesteś cała przezarta złem, a zło wyzwala w innych zło.

– Impotent.

– Jałówka.

Eryka poczuła, jak przywiera do niej wielkim cielskiem. Czołówka oświetlała mech, zielony, miękki, wygodny, a na tym mchu buciory, które wgniatały go w ziemię. Silne ręce podniosły jej sukienkę do góry. Rozerwały rajstopy. Odsunęły majtki.

– Jałówka – powtórzył. – Chcesz, to cię zapłodnię. Fuj. – Splunął. – Co ty w sobie masz, więdźmo jedna? Miałem tylko z tobą porozmawiać. Tylko o to prosił mnie Tomasz.

ROZDZIAŁ 31

Rysiu, co z tą święconką? Gotowa jesteś?! – wołał Tomasz zza zamkniętych drzwi łazienki.

Kiedy nie odpowiadała, wszedł i zastał ją na klapie od sedesu z podkurczonymi nogami. W dłoni kurczowo ścisnęła komórkę i nie podnosząc głowy, wybierała numer, potem kasowała go, nie próbując nawet uzyskać połączenia. Wyglądało to tak, jakby na ślepo wciskała przypadkowe klawisze.

– Kurwa. Nawet nie mam komu o tym wszystkim powiedzieć. Sam Pan Bóg mnie nie wysłuchał, co dopiero ludzie – wyrzuciła z siebie.

– Ty wołasz, Rysiu, jak ten tłum wokół Jezusa: jeśli jesteś Synem Bożym, zejź z krzyża. A gdzie zaufanie? Powinnaś wiedzieć, że Bóg jest dla ciebie codziennie w Eucharystii.

– Codziennie? Znowu pieprzysz... A dziś?

– Dziś w kościele dzień wielkiej pustki. Co ty w ogóle robisz?

– Kąpiel szykuję.

– We wrzątku?

– Ma być gorąca. Śmiertelnie. Wyjź.

– Przestań już. – Zanurzył rękę i zaraz ją cofnął. Odkręcił kurek z zimną wodą, ale Eryka prędko go zakręciła i włożyła dłoń do wanny. Patrzyła z zaciśniętymi ustami, jak czerwienieje, i z ulgą odnotowała, że coś jeszcze czuje. Nawet jeśli to coś jest bardzo nieoczekiwane, to znak, że jest w niej życie. A póki żyje, jest nadzieja.

– Wyjź – powtórzyła z naciskiem.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział z wyrzutem.

– To ciekawe. Zawsze mi tak obszernie tłumaczyłeś, co myślę, co czuję, kim jestem, a kim nie mogę się stać. Teraz, kiedy mógłbyś się przydać, widzę, że nie wytrzymujesz tempa.

Wyregulowała temperaturę wody. Podniosła klapę sedesu, wyjęła z niego zmoczony test i jeszcze raz spojrzała na wynik. Miała nadzieję, że w wodzie obraz się rozplynie jak płatek śniegu na języku. Nic z tego.

Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie dwoiło jej się w oczach. Nadzieja wrosła w nią jak torbiel. Nieuleczalna.

ROZDZIAŁ 32

Najpierw przyjechała ona. Kazała wstać. Żądała tego. Domagała się odpowiedniego zachowania, sama łamiąc wszystkie zasady. Eryka widziała, jak z minuty na minutę matka coraz głośniejsze świszczy, sapie, parska, ale obserwowała ją z całkowitym spokojem, a raczej – obojętnością. Doprowadzona do ostateczności Stroicka złapała Erykę za ramię i chcąc wyciągnąć kompletnie bezwładne ciało córki z łóżka, zrzuciła ją na podłogę. Eryka rozłożyła się na parkiecie płasko, jakby była wzorem na terakocie.

– Nie wierzę. Nie wierzę. Nałykałaś się czegoś? Tomek, może ona znów coś brała? Jakie znów? No, jak we Francji na studiach. Leki, narkotyki i różne takie. Nie wiedziałeś? Jak to nie wiedziałeś? Co innego mogła na Sorbonie robić? – Do Eryki dolatywały strzępki monologu matki. Słuchała tego bełkotu jak audycji radiowej. Miała wrażenie, że dotyczy kogoś innego.

Krystyna Stroicka przeszukała kosz na śmieci i półeczkę przy łóżku. Nie znalazła nic podejrzanego. A jednak Eryka wiedziała, co robi, gdy podejmowała próby spłukania testu w sedesie. Dwieście dwadzieścia litrów, żeby pozbyć się dowodu boskiego okrucieństwa. Fałszywego świadectwa ciąży.

– Oszalałaś całkiem? – odwołała się do jej rozsądku zdesperowana rodzicielka. – Wstawajże i siadamy do stołu. Jajkiem się podzielimy. Wstawaj, do cholery.

– Zobacz, Pan Jezus miał siłę zmartwychwstać, a ja nie mogę nawet szyją ruszyć.

– Nie bluźnij, bo się z tej podłogi już nigdy nie podniesiesz.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zrzuciłaś mnie z łóżka.

Matka, bezradna i porażona tak uporem Eryki, jak bezsilnym przerażeniem Tomasza, wybrała numer Bernarda.

Pojawił się po godzinie. Wszedł do pokoju, popychany jak za dawnych czasów przez eksmałżonkę, która stała za drzwiami i nasłuchiwała. Do sypialni dochodził głos Tomasza, który starał się odciągnąć teściową i na szczęście okazał się w swoich próbach skuteczny. Ojciec Eryki odsłonił zasłony i oślepiła ją smuga słońca. Mruknęła niezadowolona i zmrużyła oczy.

– Czemu nie wstajesz? – spytał, kładąc się obok niej.

– Coś mi w szyję wlało, tato.

– To stres, odreagowujesz napięcie. Już wszystko się skończyło, Eryczko.

– No właśnie, tato, no właśnie, wszystko... Przekręć klucz w zamku, zatkać czymś dziurkę i poleż tu przy mnie, dobrze?

Zrobił, o co prosiła, i zamilkł. Ze zmoczonej śliną chusteczki higienicznej ulepił kulkę, wcisnął ją w otwór i przywarł plecami do podłogi. Westchnął. Niczego od córki nie wymagał. O nic nie prosił. Niczego nie zabraniał.

– Przyjemnie. – Rozłożyła ramiona. – Czuję to moje ciało, jakby mnie ktoś ukrzyżował, i dobrze mi z tym. Mam łopatki, kręgosłup, szyję, pośladki. Taki miły ten ból. O, zobacz, ile tam kurzu pod łóżkiem – zauważyła.

– Co cię dręczy?

– Boję się.

– Czego?

– Że może naprawdę spełniło się moje marzenie. I tego, że Bóg jednak jest.

– Jest.

Eryka, podtrzymując sobie głowę rękami, podniosła się z podłogi i podeszła do okna. Krople deszczu rozbijały się o szybę.

– Zobacz, może on tak sobie patrzy na ludzi jak ja na te krople i nie odróżnia jednych od drugich, ciebie ode mnie, mnie od matki, matki od Tomasza, członków wszystkich popieprzonych Kościołów. Patrz, jak dużo tych kropli, ciągle nowe i nowe, no jakim sposobem miałyby ogarnąć nas wszystkich?

– To proste, Eryko. Staje się deszczem.

Wydlubała wsuwką chusteczkę, przekręciła klucz w dziurce i bez słowa podeszła do świątecznego stołu. Był prawie pusty. Matka na szybko przygotowała kiełbasę, sałatkę śledziową, chrzan z buraczkami, wystawiła chleb, sól i oczywiście pisanki, które Tomasz poprzedniego dnia poszedł poświęcić. Eryka przeżegnała się, wzięła do ręki talerz z pokrojonymi w ósemki jajkami, każde dokładnie obejrzała, żadnych zapłodnionych. Czy to znak? I jaki ma sens doszukiwanie się znaków? Odstawiła je z powrotem i przyjrzała się krytycznie nakryciu. Nic się nie zmienia. Nic. Matka zawsze kładzie łyżeczkę obok noża i widelca, a jej córka przy każdej okazji przekłada je nad talerz, zgodnie z zasadami *savoir-vivre*'u. Serwetki jak zwykle zostały pozwijane w pozbawione skrzydeł ptakopodobne potworki.

– To zaczynajmy – powiedziała Eryka i nikt nie miał odwagi zaprotestować.

Tylko Tomasz spytał:

– Może jednak jakoś się wytłumaczysz?

– Przepraszam. Ale nie.

– Czemu nie?

– Nie, bo nie.

Obróciła całe ciało na prawo i spojrzała na matkę. Potem na lewo i objęła wzrokiem ojca. Ostatnim razem siedzieli w tym składzie na Wielkanoc, kiedy Tomasz się oświadczył. Po tylu latach niewiele się zmieniło, tylko gorzej udawali. Osłabła ich motywacja, bo nikt już nie liczył na szczerść. Eryka czekała, aż jedno się odezwie, a drugie natychmiast zakwestionuje wypowiedź współmałżonka. No niech zacznie się ten festiwal nienawiści, zanim głowa zapadnie się jej tak głęboko w szyję, aż kręgosłup przebije jej mózg. Ból stawał się nie do zniesienia. Od siedzącego naprzeciwko niej Tomasza też nie mogła spodziewać się ratunku. Ten manewr z ucieczką w małżeństwo nie wypalił. Eryka mogła patrzeć tylko na wprost, obserwowała więc niezdarne ruchy Tomasza, zaabsorbowanego tym, jak nałożyć na talerz sałatkę z buraczków, śledzia i jajka, nie pozostawiając na obrusie trwałych plam.

- Czemu nic nie jesz, Eryko? – spytał ojciec.
- Nie mogę ruszać szczęką. Boli. Auuu! – zawyła z bólu, jakby puściły jej wszystkie hamulce.

Na szczęście nie był to sezon urazowy i podany na ostrym dyżurze zastrzyk rozluźnił mięśnie. Erykę też. Drugie wkłucie uśmierzyło ból i po kwadransie odpłynęła w niebyt głupkowatej radości. Ubierali się przy szatni, a matka narzekała:

- Ketonal wzięła! Po co się od razu uzależniać? Co z tą młodzieżą, jakaś mało odporna. Co ona tam wie o bólu? Poród to dopiero boli.
- Przecież miałaś cesarkę – przypomniał jej z przekąsem ojciec. – Cesarka to nie jest poród, tylko operacja.
- Specjalista się znalazł.
- Siostró, czy mogę prosić jeszcze jedną dawkę? – Pociągnęła szatniarkę za rękaw Eryka.

ROZDZIAŁ 33

Tomasz jak co roku popsikał Erykę perfumami, a ona poddawała się temu biernie. Siła tradycji. Tyle wkradło się między nich okrucieństwa, a gdy przychodził śmigus-dyngus, wchodzili jakby nigdy nic w swoje role i posłusznie je wypełniali. Udało jej się znaleźć w szufladzie pełnej tabletek z propolisem i kwasem foliowym strzykawkę i wierząc w siłę sprawczą zwyczajów, psiknęła też Tomasza. Zareagował z ulgą, jakby również odnalazł w tym rytuale bezpieczną przewidywalność. Droczyli się z sobą, lecz kiedy próbował ją przytulić, uciekała wzrokiem i ciałem; gdy gładził jej włosy, od razu potrząsała głową, chcąc na powrót przywrócić im niesforny wygląd.

– Rysiu, co to się wczoraj działo z tobą? – spytał ośmielony tym, że odważnie wpuściła do domu słońce, otwierając oba skrzydła balkonowe na oścież. – To przez szyję?

– Widzisz, Tomaszu, przestało mi się chcieć udawać.

– Przede mną nie musisz udawać. Ja wszystko wiem.

– Trochę za późno mi to mówisz. Nie wiem już, kim jestem. Kiedy gram, w co gram, o co gram.

– Po co szukać daleko? Jesteś, kim jesteś, spójrz w lustro i odpowiedź gotowa.

– Patrz. – Wskazała ręką w kierunku śmietnikowej altanki. – Już ich tam nie ma, prawda? Poszli. Skończyło się i co dalej? Jaki następny ruch? Czekamy na listonosza, szukamy lakiernika, idziemy wybierać wózek? Co nam zostanie, jak przestaniemy grać? Gdybym chociaż wiedziała, kto nam to zrobił.

Milczał, drapał się po głowie, rozprostowując loki damskim, kokieteryjnym gestem. Wreszcie przyznał:

– To Wojtek wymyślił trumienkę.

– I rybę też?

Skinał głową.

– Biedne dzieciaki. – Kręciła głową, pojękując z bólu. – Biedne. Wracają do tego pojeba. Jak my się z tego wyplączemy? – domagała się odpowiedzi z nadzieją, że zaprezentuje konkretny plan. Nie zawiodła się.

– Powiedziałem już paru osobom, że poroniłaś. Teraz czekamy, aż plotka się rozejdzie. Ty nic nie rób. Tyle, co zawsze. Ułóży się. Pójdziemy do kościoła i wszystkim spojrzymy w twarz.

– Zgodziłam się iść z ojcem do ewangelików. Gra się toczy o wysoką stawkę. Albo Bóg, albo wspólnota. Wybór jest prosty.

Patrzył na nią zaskoczony, mrużył oczy, jakby szczypały go powieki.

– A jaką alternatywę mam ja? Albo ty, albo wspólnota?

– Nie, Tomaszu. Albo my – albo nie my. My to ty i ja, tacy, jacy jesteśmy. Nie-my to także

ty i ja, tacy, jakich udajemy przed innymi.

– Musisz wszystko komplikować? Nie lepiej po prostu robić to, co właściwe?

Eryka pozwoliła mu się objąć. Był niski. Niższy niż tamten. Był chudy. Chudszy niż tamten. Był ogolony. Gładszy niż tamten. Pozwoliła mu się przytulić po szybkim porównaniu cech. Był bezpieczny, bo nie był tamtym, a jednak poczuła wstyd, że pozwoliła się tamtemu dotknąć. I niedowierzenie, że to on go nasłał. Było za późno, by zignorować ten fakt.

– Auuuuuu! – jęknęła. Nie z bólu, lecz z żalu za straconymi latami.

Tomasz poderwał się prędko i sięgnął po czerwoną torebkę Eryki. Ketonal schowała do małej przegródki. Tuż obok Postinoru.

ROZDZIAŁ 34

Wiesz, co to znaczy nikogo nie nieść, nie pchać wózka, nikogo nie pilnować, tylko po prostu iść przed siebie? – zachwycała się Aśka. – Zła ze mnie matka, że tak mnie te dzieci męczą.

– To znaczy?

– Złe matki to takie, które wybrały dzieciom złych ojców.

Spacerowały nad Wisłą. Zmęczone usiadły na schodkach pod mostem Świętokrzyskim i patrzyły na przejeżdżające przez rzekę pociągi.

– Myślisz sobie czasem, jak by to było tak wsiąść do pociągu i pojechać gdzieś daleko? Do ostatniej stacji? – spytała Sosnowska.

– Nie.

– Szczęśliwy z ciebie człowiek. Nie musisz przed niczym uciekać.

– Myślę za to czasem, jak to by było skoczyć z mostu – nieoczekiwanie przyznała się Eryka. Może dlatego, że Aśka była jedyną osobą, po której nie spodziewała się lamentów lub grożenia jej palcem bożym.

– I jak?

– Nie wiem. Zależy od dnia, ale czasem zastanawiam się, czy ktoś by mnie powstrzymał; kiedy indziej myślę o tym, że woda z tej wysokości byłaby twarda jak beton; ale są też takie dni, że wyobrażam sobie sam lot – nabieram rozpędu i w ostatniej chwili już dotykam rzeki i wzbijam się w powietrze. No, nie patrz tak, nie myślę o tym codziennie, tylko od dawna.

– Od kiedy? Bywałyśmy tu często, a pierwszy raz mi o tym opowiadasz. Naprawdę masz to wszystko przemyślane.

– Pamiętasz, jak na ślubie obsypaliście nas ryżem?

Eryka uśmiechnęła się na widok miny Aśki zaskoczonej nagłą zmianą tematu.

– Powpadał mi w buty, chciałam się zatrzymać i wyjąć, ale Tomasz tak mocno trzymał mnie za rękę, że nie mogłam. Uśmiechałam się, ale ziarenka gniotły mnie w stopy. Przeszłam tak sześć lat.

Eryka sięgnęła do torby i wyjęła kupioną we francuskim sklepie marmoladę z róży.

– Miała być dla dzieciaków, ale jest dla ciebie. Nic nigdy nie mam dla ciebie, zawsze tylko dla nich.

– Postinor miałaś. To chyba najlepszy prezent, jaki mogłam od ciebie dostać.

– Nie przydał się.

– Zanim zadzwoniłam do ciebie, byłam w szpitalu, w przychodni i w prywatnym gabinecie. Wszędzie mnie odsyłali. Od razu wiedziałam, że popełniłam błąd. Że nic z tego nie będzie. Że ciąża to najgorszy scenariusz. Nigdy nie czułam się tak upokorzona.

– Nawet wtedy w Londynie?

– Nie. Tam czułam już tylko ulgę, ogromną ulgę, że to jest szpital, lekarz, pielęgniarka, znieczulenie. Wiem, że tobie ciężko tego słuchać, boję się nawet spytać, co o mnie myślisz, ale prawda jest taka, że w Londynie wreszcie odetchnęłam.

Eryka przysunęła się do Aśki i pozwoliła jej położyć głowę na swoich kolanach.

– Ja też czułam ulgę – uświadomiła sobie nagle Eryka. – Wtedy we Francji. To dziwne, bo zawsze patrzyłam na to wyłącznie w kategorii grzechu, ale jak cię słucham, to wiem, o czym mówisz. Potem wystraszyłam się, że Bóg mnie ukarze bezpłodnością. Dostałam jednak rozgrzeszenie na spowiedzi, więc może to nie Bóg stoi mi na przeszkodzie, tylko ja sama.

– Nabierasz mnie? – Aśka podniosła głowę i spojrzała zdziwiona na Erykę.

– Dostałam. We Francji oczywiście. Francuski Bóg ma widać ważniejsze sprawy na głowie niż zdrowie reprodukcyjne Polek.

– Więc po co ci cała ta pokuta?

– Jaka pokuta?

– Twoje małżeństwo.

Eryka obruszyła się.

– Po co? Po co? Po dziecko. A tu niespodzianka. Pana Boga nie przechytrzysz. Zanurzyła w słoiku konfitur palec wskazujący, który zaraz oblizała.

Drzewa kołysały się na wietrze. Szli pod rękę po prawie pustych Łazienkach. Byli jak dwie gałęzie, które choć wyrastały z tego samego pnia, nie potrzebowały wzajemnego dotyku. Eryka poruszała się w zółwym tempie, Tomasz właściwie ciągnął ją za sobą.

– Naprawdę – powtórzył zapewnienie Tomasz. – To wszystko za tobą. Mówisz, że to jakieś stare tabletki, i ja w to nie wnikam. Po co mi to w ogóle opowiadasz? Z taką przeszłością lepiej dać świadectwo, niż roztrząsać. Wiem, że nie byłem pierwszy. Jesteśmy dorośli.

Po raz kolejny zauważyła, że tym słowem Tomasz nazywał mało przyjemne rozczarowanie rzeczywistością. Kopał kamyk spod nóg jak sztubak i przestał dopiero, gdy potoczył się na gładko przystrzyżony trawnik.

– Wojtek jest pod wrażeniem rozmowy z tobą.

– Doprawdy? – dziwiła się na głos, dodając w myślach epitety, jakie przychodziły jej do głowy. Rozmową to nazwał. Ciekawa byłaby reakcji Tomasza, gdyby ujawniła jej przebieg. Ale jego nie interesowała jej wersja.

– Wszystko się ułoży – próbował pocieszyć żonę Tomasz.

– To też powiedział?

– Nie. Ja tak mówię. Ryśka, nie ma co lamentować. Ważne jest to, co dalej.

– Do czego ja ci jestem potrzebna?

– Ja cię kocham.

– Kocham. Najczęściej powtarzany banał świata. Wyświechtany. Nie przekonałeś mnie. Wiesz, jakie zadanie najchętniej zadaje do domu nasza katechetka? Napisz modlitwę

o nawrócenie grzeszników. Nawrócenie to znaczy podporządkowanie się, nie Bogu, bynajmniej. Proboszczowi. Nie będziemy już żyć jak kiedyś, Tomaszu. Nie rozumiesz, że to niemożliwe? Nikt nie dzwoni, nikt już nie potrzebuje żadnych zaświadczeń, opinii, papierków, chłopcy stali się orłami w angielskim, a żadna z tych matek Polek, które szeptały po kątach o naszych kłopotach, nawet nie spyta, jak się trzymam po poronieniu. I całe szczęście, bo ja nie jestem tak dobra w kłamstwach jak ty. Dzisiaj wtorek. Wtorek był u nas jak niedziela. Angielski u Papickich pewny jak msza święta. Pamiętasz, oburzałeś się, kiedy tak mówiłam. Skończyła się pewna epoka, Tomaszu, chociaż tak sobie niewinnie spacerujemy pod rękę, mógłbyś tu zostać albo pójść, mnie już naprawdę wszystko jedno.

Spojrzał na nią uważnie:

– To jest nasze pięć minut w życiu, Eryko. Niedługo pieniądze same z Raju do nas przyjdą. Kupimy dom pod Warszawą...

– Nie chcę cholernego domu pod Warszawą. Mówiłam tyle razy. Ja myślę o domu na wsi, ty szukasz cholernej willi w Konstancinie.

– Kupimy, jaki zechcesz. Weźmiesz angielski w szkole. Ja zrobię te badania.

Dopiero ta obietnica nieco ją poruszyła. W gruncie rzeczy na tę jedną ciągle czekała.

– Ale po co? – Starła się opanować drżenie głosu. Przeprowadzi ten test. Test jego motywacji. Niewiele to zmieni, może tylko tyle, że tych sześciu lat nie uzna za całkiem stracone. – Przecież po chemii jesteś bezpłodny.

– Skłamałem.

Nigdy nie sądziła, że się jej przyzna.

– Stan nie był na tyle poważny, brałem lekarstwa, ale ich wpływ na płodność jest żaden. Chciałem to tak przedstawić, żeby zrobiło wrażenie, żeby nikt się nie połapał w niuansach. Chemia to konkret, trafia do ludzi.

Parsknęła śmiechem, słysząc ten argument, ale Tomasz nie dał się sprowokować.

– Co się z tobą dzieje, Rysiu? Od dawna nie byliśmy tak blisko. Mamy szansę, na jaką czekaliśmy...

Eryka spojrzała na uginające się pod ciężarem spróchniałych gałęzi konary. Już dawno powinno się je przyciąć, zanim zrzną niewinną osobę.

– Co to za bliskość? Głuchy jesteś nawet na to, że nie znoszę, jak mówisz do mnie Rysiu. Nie znoszę! – darła się, aż przepłoszyła głodne wiewiórki. – Bliższy mi byłeś, kiedy kłamałeś, niż kiedy znów zastawiasz pułapkę. Wracajmy. – Przyspieszyła kroku. Wiedziała, że Tomasz się zatrzymał i patrzy, jak jej sylwetka maleje w opustoszałej alejce. Zaraz potem dopadła ją myśl, że jeśli czegoś od niego kiedykolwiek chciała, to dziecka. I jeśli ma szansę teraz to dostać, nie ma powodu, by rezygnować tuż przed metą. Pozwoli mu zbadać to nasienie. Niech stanie się dziecko. Nie ich, lecz jej. Że z nim? Cóż, trudno. W jej wieku kobieta nie powinna wybrzydzać.

Ledwo weszli do mieszkania, a rozległ się dzwonek do drzwi. Wtrącił się w ciszę ze swoim natarczywym brzmieniem. Długi, krótki, długi, krótki sygnał. Eryka zajrzała przez wizjer, nie opuszczała jej podejrzliwość. Mimo zapewnień Tomasza nie dowierzała, że zwykany tak po prostu się skończy. Na wycieraczkę stało wielkie kartonowe pudło. Natychmiast zatrzasnęła drzwi. Wystarczy jej jedna trumna schowana w sofie w pojemniku na pościel.

– Kto to? – Podszedł do niej równie zaniepokojony Tomasz.

– Nikt.

Dzwonek zadźwięczał ponownie i Tomasz zamaszystym ruchem otworzył drzwi, gotowy do ataku. Piasecka, kociara spod ósemki, stała w szlafroku, jak zwykle, gdy na chwilę opuszczała mieszkanie, odkąd zachorowała na depresję. Chwiejnym krokiem cofnęła się i chwyciła poręczy. Speszona wskazała na pudło i powiedziała ściszym głosem:

– Ktoś podrzucił. Przechowałam w mieszkaniu, nie mogłam beczynie słuchać tego miauczenia.

– Kiedy? – Tomasz rozejrzał się podejrzliwie. Z uchylonych drzwi mieszkania Piaseckiej cuchnęło kocim moczem na całą klatkę. Skąd mieliby mieć pewność, że nie próbuje im wcisnąć jednego z miotu kolejnej przygarniętej bezdomnej kotki?

Eryka wyjęła oszołomionego kociaka, który od razu wbił się jej pazurkami w pierś. Była pewna, że zostanie jej zadrapanie. Może blizna na całe życie.

– Dziękuję – powiedziała niewyraźnie i zatrzasnęła drzwi. Poczula coś, co nie przytrafiło jej się nigdy wcześniej, nawet w pogotowiu opiekuńczym – miłość od pierwszego wejrzenia.

– Cholera, po co nam kot? – zapomniał się Tomasz, jakby sądził, że ma jeszcze cokolwiek do powiedzenia.

Ale Eryka już wyciągnęła trumienkę i szykowała legowisko w satynowej pościeli.

ROZDZIAŁ 35

Eryko, proszę do mnie – nakazała dyrektorka. Czekwała na nią. Zamknęła drzwi i zamiast usiąść za wielkim biurkiem, stanęła przy wyjściu, jakby obawiała się, że rozmówczyni może się jej wymknąć, zanim wszystko sobie wyjaśnią. Kiedy Eryka zajęła wskazane krzesło, dyrektorka zdjęła z szafy segregator. Eryka dobrze знаła ten gest. Ileż to razy obserwowała, jak Kicińska kładzie papiery na biurku, wzdycha ciężko, przewraca szeleszczące koszulki, wyjmuje kartki, chowa je ponownie, a na końcu odczytuje na głos jakąś korespondencję od rodziców. Zażalenie, skargę, podanie, różnie to nazywali, ale zawsze chodziło o to samo – szkoła z czegoś się nie wywiązała i zadaniem Eryki było polubowne rozwiązanie sporu, co zazwyczaj oznaczało udowodnienie, że szkoła jest bez winy. Tym razem dyrektorka sprawiała wrażenie, jakby cały ten spektakl odgrywała, bo po chwili przeszukiwania papierzysk zamknęła segregator z hukiem, nic z niego nie wyjąwszy, i oznajmiła:

- Jest skarga na ciebie.
 - Od Bajtaków?
 - Nie. Od rodziców Zosi Malanowskiej. To uczennica, która nie chodzi na wychowanie do życia w rodzinie.
 - Wiem. I przesiaduje w kawiarniach ze starszymi facetami.
- Napotkała karcący wzrok dyrektorki i uzupełniła:
- No, nie tak bardzo znowu starszymi, koło dwudziestki. Przyszła do mnie prosić o poradę, w końcu na tym polega moja praca.
 - I chcesz powiedzieć, że z czystej troski dałaś jej ulotki o antykoncepcji?
 - Tak. A pani chce powiedzieć, że z czystej troski teraz mnie z tego rozlicza? Do jasnej cholery, dałam jej tylko do poczytania ogólnie dostępne ulotki.
 - Uważaj na język, dziecino. Ostatnio mam przez ciebie same kłopoty.
 - No, niezupełnie. – Eryka podeszła do okna i otworzyła je. Do pomieszczenia wdarł się warkot pneumatycznego młota. – Za boisko to może mi pani dyrektor podziękować. A tak swoją drogą, czy informacja o moim stanie zdrowia była wliczona w tę transakcję?
 - Dziewczyno, czy tobie się w głowie pomieszało? Zamknij to okno. Próbniję ocalić ci skórę, a ty jeszcze z pretensjami!
 - Proszę mi oddać kalendarz. Już go pani nie potrzebuje.
 - Nie wiem, gdzie jest – broniła się dyrektorka.
 - Ostatnio był w tej szufladzie. – Eryka wskazała na regał, ale dyrektorka nie odwróciła nawet głowy. – W tej. – Eryka podeszła do mebla i lekko trąciła go butem.
 - Aha. – Kicińska wyjęła kalendarz i z ociąganiem przekazała go Eryce. – Nie widzę możliwości naszej dalszej współpracy. Zwolnisz się sama czy mam złożyć skargę

w kuratorium?

– Niech sobie pani robi, co chce.

Wyszła i trzasnęła drzwiami. Nogi jej drżały z emocji. Spoconą ręką odgarnęła włosy. Zamknęła się w swoim gabinecie, który sprawiał wrażenie nigdy nieużywanego. Jakby cała jej praca w tym miejscu była tylko walką o utrzymanie pozorów. Przycisnęła kalendarz do piersi, całym ciałem przywarła do drzwi, w razie gdyby ktoś próbował je otworzyć. Niepotrzebnie się tutaj chowam, powinnam raczej uciekać jak najdalej, przemknęło jej przez myśl, ale nie mogła uczynić żadnego ruchu. Zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Czy to możliwe, że padła ofiarą spisku? Czy Zosia także została na nią nasłana? Wzdrygnęła się na taką ewentualność. Ten trop doprowadzi ją do absurdalnej konkluzji, że Poziomka celowo się okociła, żeby Pawełek mógł okłamać Erykę. Nie wiedziała, jak się zachować. Skapitulować i odejść? Dzieci Bajtaków zostały na czas pobytu w pogotowiu opiekuńczym przeniesione do innej szkoły. Kiedy wrócą do domu, będzie się z nimi spotykać na korytarzu. Jak wówczas zareaguje? Co powie, widząc ich na świeżo odremontowanym boisku? Będą na celowniku tak jak i ona. Eryka uruchomiła internet i zaczęła sprawdzać wzory wypowiedzeń. Wybrała taki, który wydał jej się najbardziej neutralny, bez zbędnych podziękowań, oszczędny w słowach. Wydrukowała, podpisała, przeszła przez korytarze, powiewając kartką jak białą flagą, i bez słowa położyła Kicińskiej na biurku. Tamta też się nie odezwała. Kiwnęła tylko głową, machnęła ręką, otworzyła usta, jakby miała coś dodać, ale westchnęła tylko ciężko.

Eryka wyszła, nie czekając na aprobatę lub naganę. Na korytarzu minęła się z wuefistą, który spojrzał na nią z nieco większą sympatią, a może tylko współczuciem. Po chwili odebrała w gabinecie telefon. Kicińska ochłonęła i znowu przejęła ster.

– Od jutra proszę być pod komórką. W razie potrzeby zadzwonię. W takim trybie może pani doczekać końca roku szkolnego – powiedziała oficjalnym tonem.

– To znaczy, że mam nie przychodzić do pracy? – Tego Eryka zupełnie się nie spodziewała, choć wydawało się oczywiste. Zwolnić się, uczynić gest, na to była gotowa, ale nie docierały do niej jeszcze następstwa tej brawury.

– Dla dobra tych dzieci.

– Mam się od razu spakować? – wciąż nie dowierzała.

– Tak byłoby najlepiej.

Pozbierała z szuflad notesy, długopisy, kilka miętowych cukierków, wsuwki do włosów, krem do rąk, chusteczki, małego słonia z porcelany i parę innych szpargałów w jeden sportowy worek z Myszką Miki, którego zapomniał któryś z uczniów. Biblia już jej się nie zmieściła.

ROZDZIAŁ 36

Czekając na Izkę, przejrzała listy od Matyldy. Sześć lat zapraszania bratanicy przyniosło skutek. Eryka uwierzyła, że ma wybór. W chwilach zwątpienia uciekała w świat fantazji. W świat Paryża, który był wszystkim, czym nie była (i nie stanie się nigdy) Warszawa, w którym Eryka była tym, kim nie jest (i nie stanie się nigdy) w Warszawie. Karton z listami był wypełniony po brzegi, jakby ciotka wiedziała, że czas zakończyć korespondencję. Że wybór powinien stać się decyzją.

Izka przysłała do niej z chlebem watykańskim. Dostała od kuzynki i włączyła się do łańcuszka szczęścia. Eryka musiała przyznać, że smakował lepiej niż ten upieczony przez nią, a może po prostu ostatnio nie jadła zbyt wiele i zwyciężył głód. Odłamywała kęs po kęsie i obojętnie słuchała Izki, która straciła charakterystyczną pewność siebie. Kot kręcił się wokół stołu, dopóki nie skosztował kawałka, który natychmiast wypluł. Rozczarowany wskoczył Eryce na brzuch. Włożyła go pod gruby sweter, grzał ją w okolicy pępka i unosił się w rytmie jej oddechów.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale tamten terapeuta już nie pracuje. – Strzepała okruszki na podłogę Izka. Widać czuła się w gościach jak u siebie.

– Ten magik od wschodnioeuropejskich technik wyciągania zeznań?

– Aha.

– Wiesz, że to o niczym nie świadczy. – Uśmiechnęła się pobłaźliwie Eryka, smarując dżemem kolejny kawałek.

– Należało mu się. To on rozpętał tę burzę.

– Ja też już nie pracuję – stwierdziła Eryka. – I tak samo mówią o mnie. Że się doigrałam. Może powinniśmy się razem upić z tym nieszczęśnikiem.

– A to suka. Nie wiedziałam. Ale ten kumpel ma już nagrany robotę – pocieszyła ją Izka.

– Gdzie?

– Na Jagodowej.

– Mam nadzieję, że kopci, bo głupio umrzeć na raka od wdychania cudzego dymu.

– Wiesz, i do nas przysłała skarga na ciebie. Padły oskarżenia o molestowanie. Prokurator nie wniesie oskarżenia, przegadałam go.

– Mam ci być wdzięczna?

– Oj tam – spieszyła się Izka. – Chciałam po prostu, żebyś wiedziała.

– Nawet nie spytasz, czy coś w tym jest? Znajdujesz u mnie dzieciaka bez majtek i nie pofatygujesz się spytać: „Cholera, Eryko, czemu ten smarkacz chodzi goły?”. Albo: „Uważaj, Eryko, to nie wygląda dobrze”.

– No dobrze – westchnęła Izka. – Eryko, czy molestowałaś Pawła Bajtaka?

Eryka zaczyna się śmiać, odczuwa satysfakcję, że poniżyła Kostecką, nawet jeśli

wymagało to od niej poniżenia samej siebie. Siłąc się na powagę, odpowiada:

– Już nie musisz być zazdrosna i wywlekać dawnych spraw, gówniarze w trampkach przestali mnie interesować w liceum. Nie czujesz się nabita w trąbę? – ciągnie przesłuchanie.

– Nie pierwszy raz. Ryzyko zawodowe. Wiesz coś o tym, że Bajtak był zastraszony? Podobno samochód mu porysowali.

– Nie jemu, tylko nam.

– No sama widzisz, smród się rozchodzi i osiada na wszystkich.

– Wszyscy odstąpili, wespół się splugawili. „Nie ma nikogo, kto by dobrze czynił, nie ma ani jednego”. Znasz to? – pyta Eryka.

– Kto to śpiewa?

– Psalm czternasty.

– Muszę lecieć.

– Odprowadzę cię. Wezmę Drapka na spacer.

– Wyprowadzasz kota? Po co? Tylko go przyzwyczaisz.

– Bo lubię. On i tak załatwia się do kuwety.

– Mogę o coś spytać? – odezwała się niepewnie Izka.

Eryka skinęła głową.

– Czemu śpi w trumnie?

– Nie lubię, jak rzeczy się marnują.

Izka z widoczną ulgą zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu. Eryka również odetchnęła pełną piersią. Tyle lat szukała u Boga przebaczenia, a poczuła wolność, dopiero gdy sama sobie odpuściła. Drapek rozważnie stawiał kroki. Dzięki niemu mogła rozglądać się czujnie wokół siebie. Że niby to kota bronić będzie przed psem spuszczonej ze smyczy. Właściciele psów omijali ją jednak z daleka. Eryka zatrzymała się na przejściu. Kociak wyrwał się do przodu. Ściągnęła linkę, wzięła go na ręce i odezwała się do niego czule:

– Gdzie ci się spieszy? Nie widzisz, że mamy czerwone? Na zielonym się przechodzi.

Para, która mijala ją na rowerach, rzuciła sobie porozumiewawcze spojrzenia i parsknęła śmiechem. Po chwili światło się zmieniło, a Eryka zauważyła, jak z samochodu, który zatrzymał się na pasach, śledzą ją uważnie dwaj chłopcy, ich matka o spuchniętej twarzy i brodac. Szybko odwróciła wzrok i gdy po chwili chciała utwierdzić się w swoich przypuszczeniach, było za późno. Oni czy nie oni, nieważne. Tutaj wszystko i każdy będą jej o tym przypominać. A najbardziej Jezus na krzyżu, z tym zbolalym wyrazem twarzy, jakby obrażony, że nikt jego ofiary nie zrozumiał.

ROZDZIAŁ 37

Zanim przyszła ich kolej, Eryka zdążyła przejrzeć trzy magazyny o rodzicielstwie. W żadnym nic nie przykuło jej uwagi. Pisma przypominały katalogi reklamowe z rozbudowaną częścią opisową. Inwestycją stawał się w nich człowiek, którego od najmłodszych lat, lub wręcz pierwszych tygodni ciąży, należało edukować, kształcić, rozwijać, na ostatnim miejscu wychowywać. Zasada była prosta – najpierw inwestuj, potem czerp zyski. Niedawne rozmowy z Tomaszem uświadomiły Eryce, że i on jej hołdował. Cieszyła się, że w tej wyłożonej marmurem prywatnej klinice nie spotka nikogo ze znajomych. Tu prowadzone były cięższe tych, którym w macierzyństwie dopomogło leczenie hormonalne, inseminacja albo in vitro. Doktor Kosowidzki zaprosił ich do gabinetu zamaszystym gestem i szerokim uśmiechem. Doskonale ich kojarzył. Mało którzy pacjenci tak uparcie protestowali przeciwko leczeniu, a jednocześnie przy każdej wizycie kontrolnej, każdej cytologii temat ciąży pojawiał się na nowo i bezradność kobiety była wręcz irytująca.

– Panie doktorze – uśmiechnął się niepewnie Tomasz – właściwie to ja jestem pacjentem. Chciałbym zbadać nasienie.

– Świetnie, to powinno dać nam jasny obraz sytuacji. Ale może sprawdzimy najpierw, co słyhać u żony. – Spojrzał na Erykę, oczekując przyzwolenia z jej strony.

– Miałam niedawno torbiel, dostałam lekarstwa i chyba się wchłonęła, tylko całkiem rozregulował mi się cykl.

Kosowidzki wiele już widział. Jego pacjentki cechował wysoki poziom ciąż urojonych, z wszelkimi objawami. Naprawdę rzadko zdarzały się cięższe, które pomimo wątpliej wiary nazywał „cudami”. Spytał o datę ostatniej miesiączki, Eryka odpowiedziała konkretnie, podkreślając, że takie przesunięcia nigdy wcześniej się nie zdarzały. Przyszedł czas odarcia ze złudzeń, przecież dwie kreski na kolejnym teście nie pozostawiły jej obojętną. Przebrana w przezroczystą spódniczkę, przypominającą baletowe tutu, przeszła na fotel. Zbadał ją delikatnie, prawie nic nie poczuła. Poza zażenowaniem wynikającym z faktu, że Tomasz siedzi tuż za parawanem, a ona znowu nie ma siły go wyprosić. Z pomocą przyszedł jej lekarz.

– Dziwne. Zapraszam panią jeszcze na USG do gabinetu obok, przyjrzymy się tej torbieli. Nie dalej jak dwa tygodnie temu dyżurny na izbie przyjęć poinformował ją, że nosi w sobie nie życie, lecz zgniły owoc. Kosowidzki zapatrzył się w obraz i mruknął coś niewyraźnie. Minę miał stroskaną i niepewną, aż Eryce zrobiło się go żal. Nie patrzyła na monitor, tylko na twarz doktora.

– Dziwne – powtórzył. – Ale to czasem się zdarza, gdy para decyduje się na leczenie. Poczwała w pochwie ruch głowicy i usłyszała:

– Gratuluję. Mamy tu siedmioletnią ciążę pojedynczą. Trochę się maluch ukrył pod torbielą; dobrze, że nie miała pani łyżeczkowania.

Eryka podniosła się z wrażenia i już chciała zaprotestować, że to niemożliwe, że jest gotowa na prawdę, dość już kłamstw, ona jest gotowa stawić czoło światu, lecz zanim otworzyła usta, lekarz zdążył dodać:

– Proszę posłuchać. – Podłączył głośnik.

Bib-bip-bip. Eryka uniosła się na rękach i ze zdumieniem, jakby objawił jej się Bóg, i bezgraniczną czułością, jakby okazał się miłosierny, wpatrywała się w pulsującą na ekranie czarną kropkę. Nie widziała dziecka. Tylko cud.

– Proszę nic nie mówić mężowi. Chcę zrobić mu niespodziankę.

Lekarz wyrozumiale skinął głową.

Jeszcze w przebieralni wystukała esemesa do Aśki: „Masz plany na sylwestra?”. Odpisała jak zwykle od razu: „Nie, bo co?”. „Chcę urodzić z tobą dziecko”. Spojrzała w lustro. Twarz jakby jej się zaokrągliła i Eryka przestała przypominać postać z najsłynniejszego obrazu Muncha.

ROZDZIAŁ 38

Trzeba przyznać, że Tomasz wkładał wiele wysiłku w przywrócenie normalności. Obdzwoił wszystkich uczniów i zaprosił ponownie na lekcje angielskiego. Zrobił listę dziewczynek do nowej grupy. Przyniósł jej sushi, którym za jego plecami podzieliła się z kotem. W jej obecności starał się umiarkowanie cieszyć awansem, choć z twarzy nie schodził mu triumfalny uśmiezek. I znowu zaczął nosić Erykę na rękach, ale było jej na nich za ciasno. Coś się skończyło. Coś w niej pękło. Nieodwracalnie. Drażniła ją sterta magazynów na ławie w stołowym. Same wnętrzarskie. Tomasz obrobił chyba stoisko z tanią prasą, bo numery sięgały paru wydań wstecz. Eryka siedziała na fotelu przy szeroko otwartym oknie i zastanawiała się, czy kot przez nie wyskoczy, czy nie wyskoczy. Chodził po parapecie zainteresowany światem na zewnątrz, ostatecznie zawsze mościł się wygodnie pod swetrem swojej pani. Tomasz oczekiwał od żony oklasków. W końcu poszedł jej na rękę. Oddał nasienie. Pokonał barierę. Zaczną się leczyć. Wymodlą sobie – z małą pomocą Kosowidzkiego – ślicznego synka, którego w białym beciku z koronkami zanoszą na chrzest. Szybko zdecydują się na następne dziecko, bo potem pójdzie jak z płątka. Kiedy trochę podrosną, Eryka założy żłobek. Najnowszy pomysł Tomasza na nią. A potem rozszerzy go o przedszkole. Językowe. To też on wymyślił. I znów będzie przepięknie. Projektował im przyszłość na białej kartce jak w bajce o zaklętym ołówku: Eryka nie odejdzie ze szkoły. Wycofa wypowiedzenie. Wspólnota stanie za nią murem i dyrektorka przyjmie ją na klęczkach. Już Wojtek ich przegada, sam obiecał. Przecież jej przebaczył.

Ale ona nie podzielała tego entuzjazmu.

– Co ci jest? Od wczorajszej wizyty jesteś jakaś osowiała – zauważył Tomasz pod wieczór, po całym dniu kompletnej obojętności Eryki na jego nagabywania, kuszenie, obietnice. Nie reagowała, jakby nie słyszała, naciągnęła tylko koc na czubki stóp i szalik na szyję. Telepała się z zimna. W końcu spojrzała na męża i powiedziała:

– Zastanowiłam się i nie chcę, żebyś tam pracował.

– Jak to?

– On mnie prawie zgwałcił.

Tomasz odwrócił się do żony znad planów architektonicznych i ciężko westchnął.

– Nie wierzysz mi, prawda? – odezwała się cicho. – Trudno w to uwierzyć. Mnie też trudno w to uwierzyć.

– Wiem o tym.

– Co wiesz?

– Powiedział mi.

– Co powiedział?

– Że szatan go opętał. Po tym, jak do ciebie wrócił. Był na egzorcyzmie. Pomogło.
– Pomogło? Chryste, o mało mnie nie zgwałcił. Słyszysz, człowieku? Zdjął mi majtki. Podarł rajstopy. Zakneblował usta.

– No, ale do niczego nie doszło, prawda? Nikt tego nie widział nawet. Zresztą to nie on. Szatan. To jak schizofrenia... Winna jest choroba, nie chory.

Eryka podeszła do szeroko otwartego okna, ale Tomasz ubiegł ją i zamknął oba skrzydła.

– Przeprosi cię, ale uprzedziłem, że nie jesteś na to gotowa. W pewnym sensie rachunki krzywd zostały wyrównane. Można zacząć od zera. Przeprowadzimy się, zmienimy otoczenie, dołączymy do innej wspólnoty. Zapomnisz. Musisz tylko chcieć zapomnieć. Nie rozgrzebywać. Rozumiesz?

ROZDZIAŁ 39

Dziecko, tobie nie wolno targać ciężkich rzeczy – protestował Stroicki, wyrywając Eryce siodło.

Tak sprawnie załatwił zmianę nazwiska pasażera na bilecie, że Eryka doszukiwała się w tym ręki Matyldy. Pomógł też córce spakować rzeczy. Te do Paryża i te, w które nie zmieści się co najmniej rok. Z Milanówka odbierze je sobie Aśka. Mieszkała teraz po sąsiedzku z bezdzietną siostrą. „Tylko kota nam brakuje”, zażartowała, a Eryka szybko, choć nie bez żalu, rozwiązała ten problem i uszczęśliwiła przyjaciółkę Drapką. Przygotowania do wyjazdu odbywały się pod nieobecność Tomasza, który wciąż niczego nieświadomy – głuchy i ślepy na rzeczywistość – spędzał w Raju więcej czasu niż na ziemi.

– Daj, tato, poradzę sobie. – Poglądziła czule pomarszczoną dłoń ojca. – To ciężkie.

– Nie wygłupiaj się. Mowy nie ma!

Wszedł za Eryką do stajni, która była wyjątkowo jak na niedzielę pusta. Długi weekend majowy sprzyjał raczej dalekim wycieczkom. Piorun stał w swoim boksie. Eryce zrobiło się przykro na jego widok. Szczególnie, że ogier ucieszył się i miał nadzieję na wspólną wycieczkę.

– Zaczekaj tutaj, poszukam kogoś – zapowiedziała Eryka. – Zobacz, to ten. Śliczny, prawda?

– Poznaje cię.

– Tak, to mądry koń.

– Erysiu, we Francji też są konie – przypomniał z troską ojciec. – Pozbywasz się ślubnej pamiątki. To jest cenne siodło. Prezent.

– Wiem, ale po co mi pamiątka czegoś, o czym wolałabym zapomnieć? Chcę je podarować jednej szczególnej dziewczynie.

– Komu?

– Anecie. Kocha konie i umie cieszyć się życiem.

Nie tak miał wyglądać ten wieczór. Przygotował mule, których nie tknęła. Zapalił świece w lichtarzu, którego używali przede wszystkim podczas wizyt duszpasterskich. Ten symboliczny gest, zupełnie nie w jego stylu, sprawił, że poczuła się jeszcze gorzej. Zgasła płomień zdecydowanym dmuchnięciem. Wyjęła świecę, wciągnęła do przedpokoju walizę na kółkach i nasmarowała woskiem zamek, który się zacinał.

– Musisz to teraz robić? W ogóle po co ci ten bagaż? Wyjeżdżasz przecież na tydzień.

– Może zostanę dłużej, Tomaszu.

Tylko na taką część prawdy mogła się zdobyć w tej chwili. Tyle wystarczyło, by wstał i wyszedł. Patrzyła z balkonu, jak w mroku zmierza w kierunku bloku Bajtaków.

ROZDZIAŁ 40

Czuję, że to chłopiec. Pewnego dnia spadnie śnieg. Zima przydarza się nawet Francuzom. Czekam na pierwszą śnieżkę wycelowaną przez Krystiana w kogoś, kto ma ojca. Wiem, że będzie o swojego pytał, pytał, pytał, ale nic mu nie powiem. I przyjdzie taki dzień, że na to pytanie odpowiem: Nie pamiętam. Kiedyś zapomnę o wszystkich naszych kłamstwach – zanotowała w kupionym na lotnisku notesie Eryka i odłożyła go na parapet okna pokoju z widokiem na wieżę Eiffla.

A potem wyrwała kartkę i zgmiotła ją w kulkę. Na nowej namazała pospiesznie: Boże. Boże. Boże. Dodała trzy znaki zapytania. Uformowany z niej samolocik posłała z czwartego piętra w stronę nieba. O mały włos wylądowałby na dachu sąsiedniej kamienicy, lecz podmuch wiatru uniósł go wysoko w chmury.